



*Maurice Druon*

**Królowie  
przekleci 3**



**Trucizna  
królewska**



**Księgozbiór DiGG**



**2010**



## Prolog

**F**ilip Piękny pozostawił Francję jako pierwszy kraj Zachodu. Bez podbojów, lecz za pomocą układów, małżeństw i paktów pokaźnie rozszerzył terytorium, a jednocześnie wciąż dążył do centralizacji władzy i wzmocnienia Państwa. Jednak zarządzenia administracyjne, finansowe, wojskowe i polityczne, którymi obdarzał królestwo, okazywały się często nadmiernie postępowe w stosunku do epoki, nie były dostatecznie zakotwiczone w obyczajach i przeszłości, by móc się utrwalić bez osobistego nacisku wybitnego monarchy.

W pół roku po zgonie Króla z Żelaza, większość jego reform zdawała się skazana na zagładę, a wysiłki - na zapomnienie.

Syn jego i następcą, Ludwik X Kłótlivy, warchoł, miernota, ignorant, od pierwszego dnia panowania nie dorastał do swego stanowiska i beztrząsco przerzucił pieczę o rządy na stryja Karola de Valois. Ten dobry dowódca, lecz marny administrator długo i próżno szukał dla siebie tronu, aż nareszcie dorwawszy się do władzy mógł wyładować swe wicherzycielskie ambicje.

O potędzie poprzednich rządów stanowili ministrowie pochodzenia mieszczańskiego, obecnie zostali oni uwięzieni, a ciało najwybitniejszego z nich, Enguerranda de Marigny, byłego generalnego współrządcy królestwa,gniło na hakach szubienicy w Montfaucon.

Reakcja triumfowała: ligi baronów siały zamęt na prowincji i trzymały w szachu królewską władzę. Moźnowładcy z Karolem de Valois na czele bili własną monetę, którą puszczali w obieg ciągnąc z tego zyski. Administracja pozostawiona samopas grabiła na własny rachunek, a skarb był pusty.

Kłeska nieurodzaju i w ślad za nią wyjątkowo surowa zima spowodowały głód. Śmiertelność rosła.

Równocześnie Ludwik Kłótlivy zajmował się przede wszystkim łataniem swego małżeńskiego honoru i zacieraniem - o ile to było możliwe - skandalu w wieży Nesle.

Ponieważ konklawe nie zdołało wybrać papieża, który mógłby unieważnić małżeństwo, król Francji pragnąc ożenić się ponownie polecił zadusić swą żonę Małgorzatę Burgundzką uwięzioną w Zamku Gaillard.

Tak oto odzyskał wolność, by poślubić wybraną dlań przez Karola de Valois piękną księżniczkę z rodu Andegawenów Sycylijskich i łudził się, że będzie z nią dzielił błogie lata długiego królowania.





## CZĘŚĆ PIERWSZA

# Francja czeka na królową



### I

## Pożegnanie Neapolu

Stara królowa-matka Maria Węgierska w białych szatach stała przy oknie olbrzymiego Nowego Zamku, skąd roztaczał się widok na port i Zatokę Neapolitańską; patrzyła, jak okręt rozwija żagle. Ocierając sztywnym palcem łzę, która zwilżała bezrzesną powiekę, szepnęła:

- Już teraz mogę umrzeć.

Godnie wypełniła swe życie. Córka króla, żona króla, matka i babka królów utwierdziła swe potomstwo na tronach południowej i środkowej Europy. Wszyscy jej żyjący synowie byli królami lub udziałnymi książętami. Dwie córki nosiły koronę. Płodność jej była narzędziem potęgi Andegawenów Sycylijskich, młodszej gałęzi rodu Kapetyngów, która zamierzała stać się równie potężna jak pień.

Chociaż Maria Węgierska utraciła już sześcioro dzieci, miała przynajmniej pociechę, że jeden z synów, wstąpiwszy do zakonu, znajdował się na drodze do kanonizacji. Będzie matką świętego. Jakby królestwa tego świata stały się zbyt ciasne dla zachłannego rodu, stara królowa-matka pchnęła swe potomstwo aż do królestwa niebios.

Przeżywszy siedemdziesiąt lat winna była tylko zapewnić przyszłość jednej ze swych wnuczek, sierocie Klemencji. To się już dokonało.

Wielki okręt, który w olśniewającym słońcu podnosił w porcie kotwicę w dniu 1 czerwca 1315 roku, uosabiał w oczach królowej-matki triumf jej polityki, a zarazem melancholię spraw zakończonych.

Doprowadziła bowiem do najświetniejszego związku, do olśniewającego małżeństwa swą umiłowaną Klemencję, dwudziestodwuletnią księżniczkę bez wiana we włościach, a bogatą jedynie w rozgłos urody i cnoty. Klemencja będzie królową Francji. Tak więc najubożej wyposażona ze wszystkich księżniczek Andegaweńskich otrzyma najpotężniejsze królestwo. Zaprawdę: to jakby ilustracja do ewangelicznych pouczeń.

Zapewne, mówiło się, że młody król Francji, Ludwik X, nie miał zbyt miłego oblicza ani najlepszego charakteru.

„No cóż! mój małżonek, świeć Panie nad jego duszą, był kulawy, a

niezle się doń akomodowałam - myślała Maria Węgierska. - Przede wszystkim nie jest się królową, aby być szczęśliwą.”

Poszeptywano również ze zdziwieniem, że królowa Małgorzata umarła w więzieniu akurat wtedy, kiedy król Ludwik miał kłopoty z uzyskaniem unieważnienia małżeństwa. Czyż należy jednak nadśłuchiwać wszystkich plotek? Maria Węgierska była niezbyt skłonna litować się nad kobietą, zwłaszcza królową, która popełniła wiarołomstwo. Nie zaskoczyło jej, że kara Boża spadła zasłużenie na gorszącą Małgorzatę. „Moja piękna Klemencja wywyższy cnotę na dworze paryskim” - rzekła jeszcze do siebie.

Zamiast pożegnania szarą ręką nakreśliła w prześwietlonym powietrzu znak krzyża, później z twarzą wstrząsaną tikiem w nieskazitelnym welonie pod wąskim diademem udała się krokiem sztywnym, lecz jeszcze stanowczym, do kaplicy, by tam podziękować niebu za pomoc w wypełnianiu długiego królewskiego posłannictwa i ofiarować Najwyższemu wielką boleść kobiet, które zakończyły służbę.

Tymczasem *San Giovanni*, olbrzymia okrągła nawa o biało-złotym kadłubie, uwieńczona w rozwidleniach masztów banderami Andegawenii, Węgier i Francji, jęła manewrować, by odpłynąć od brzegu.

Kapitan i załoga przysięgli na Ewangelię bronić podróżnych przed burzą, barbarzyńskimi piratami i wszelakim niebezpieczeństwem żeglugi. Figura świętego Jana Chrzciciela, patrona statku, lśniła na dziobie w promieniach słońca. W kasztelach, do wysokości połowy masztów najeżonych blankami, stu zbrojnych czatowników, łuczników, miotaczy kamieni stało gotowych odeprzeć napaść rabusiów morskich, gdyby zaszła potrzeba. Na dnie okrętu złożono w obfitości żywność: amfory z oliwą i winem tkwiły w piasku obciążającym okręt, zagrzebano tam również setki jaj, by zachowały świeżość. Wielkie kufry okute żelazem, zawierające jedwabne szaty, klejnoty, wyroby złotnicze i wszystkie dary ślubne księżniczki, piętrzyły się pod ścianami ładowni, obszernej komnaty między głównym masztem a rufą, gdzie na wschodnich kobiercach mieli sypiać dworzanie i rycerze z eskorty.

Neapolitańczycy zgromadzili się na nabrzeżu, by oglądać odjazd statku, który się im wydawał okrętem szczęścia. Kobiety unosiły w ramionach dzieci. Z hałaśliwego i poufałego tłumu, jakim był zawsze lud Neapolu, padały okrzyki:

- *Guarda come 'e bella!*\*
- *Addio Donna Clemenza! Siate felice!*\*
- *Che Dio Ia benedica la nostra principessa!*\*
- *Non vi dimenticate di noi!*\*

Donnę Clemenzę bowiem otaczała w oczach Neapolitańczyków jakby legenda. Pamiętali jej ojca pięknego Carla-Martella, dziedzica Neapolu i Węgier, druha poetów, a zwłaszcza Dantego, księcia erudyte, muzyka, znamienitego szermierza, który uganiał się po półwyspie na czele dwustu

---

\* Patrz jaka piękna!

\* Żegnaj Pani Klemencjo, bądź szczęśliwa!

\* Niech Bóg błogosławi naszą księżniczkę!

\* Nie zapomnij o nas!

rycerzy z Italii, Prowansji i Francji, odzianych jak i on na poły w szkarłat i ciemną zieleń, na koniach w srebrzystych kropierzach. Mówili, że jest synem bogini Wenus, bo posiada „pięć darów wybrańców miłości, a są nimi: zdrowie, uroda, bogactwo, wolny czas, młodość”. Padł rażony zarazą w dwudziestym czwartym roku życia, na wieść o tym zmarła jego żona Habsburżanka, darząc fantazję ludową tragicznym mitem.

Neapol przeniósł swój sentyment na Klemencję, która z biegiem lat coraz bardziej przypominała ojca. Błogosławiły królewską sierotę ubogie dzielnice, gdzie osobiście rozdawała jałmużnę. Malarze ze Szkoły Giotta lubowali się w odtwarzaniu na freskach jej jasnej twarzy, złocistych włosów, długich, wysmukłych dłoni.

Z obwarowanej blankami platformy, tworzącej dach nad kasztelem przy rufie, trzydzieści stóp nad wodą, narzeczona króla Francji rzucała ostatnie spojrzenia na krajobraz z lat dzieciennych, na Stary Zamek Jajo, gdzie się urodziła, na Nowy Zamek, Maschio Angioino, gdzie wyrosła, na rojący się tłum, który jej słał pocałunki, na całe to miasto olśniewające, zakurzone i wzniosłe.

„Dzięki, Pani Babko - myślała z oczami skierowanymi ku oknu, skąd znikła sylwetka Marii Węgierskiej. Zapewne nigdy was nie zobaczę. Dzięki, żeście tyle dla mnie uczyniła. Skończywszy dwadzieścia dwa lata rozpaczałam, że niezamężna; nie spodziewałam się, iż znajdę małżonka i byłam gotowa wstąpić do klasztoru. To wy miałyście rację nakazując mi cierpliwość. Oto będę królową wielkiego królestwa zraszanego czterema rzekami i skąpanego w trzech morzach. Kuzyn mój, król Anglii, stryjna z Majorki, krewniak z Czech, siostra, żona delfina we Vienne, a nawet mój stryj Robert, tu panujący, którego poddanką byłam aż do dziś, zostaną mymi wasalami z tytułu ziem, jakie posiadają we Francji, lub powiązań z francuską koroną. Ale czy to dla mnie nie za ciężkie?”

Doznawała radosnej egzaltacji, a zarazem lęku przed nieznanym i zmieszania, jakie ogarnia duszę przy nieodwołalnych zwrotach losu, nawet gdy przekraczają marzenia.

- Lud wasz okazuje wam wielką miłość, Dostojna Pani - rzekł tęgi mężczyzna u jej boku. - Ale ręczę, że lud francuski równie szybko was pokocha i widząc was powita podobnie jak ten żegna.

- Ach! Wy zawsze będziecie moim wielkim przyjacielem, panie de Bouville - odpowiedziała serdecznie Klemencja.

Odczuwała potrzebę rozsiewania szczęścia wokół siebie i dziękowania za nie wszystkim.

Hrabia de Bouville, wysłannik króla Ludwika X, wiodący negocjacje, przed dwoma tygodniami wrócił po księżniczkę do Neapolu i towarzyszył jej w drodze do Francji.

- A i dla was żywię wiele przyjaźni, Signore Baglioni - dorzuciła zwracając się do młodego Toskańczyka, sekretarza Bouville'a, jednocześnie rządzącego talarami na podróż, pożyczonymi przez włoskie banki.

Młodzieniec skłonił się w podziękę.

Oczywiście, wszyscy byli szczęśliwi tego ranka. Hugo de Bouville, pocąc się w czerwcowym upale i odrzucając za uszy czarne i białe kosmyki

był wielce rad i bardzo dumny, że wypełnił misję i wiezie swemu królowi tak wspaniałą małżonkę.

Guccio Baglioni marzył o ślicznej Marii de Cressay, swej potajemnej narzeczonej; wiózł jej kufer pełen jedwabi i haftowanych strojów. Nie był pewny, czy miał rację prosząc wuja Tolomeia o kierownictwo kantorem bankowym w Neauphle-le-Vieux. Czy miał się zadowolić tak skromną przyszłością?

„Ba! to tylko na początek; rychło zmienię stanowisko, a zresztą większą część wolnego czasu będę spędzał w Paryżu.” Pewny poparcia nowej monarchini, nie przewidywał granic kariery. Już widział Marię jako damę dworu królowej i wyobrażał sobie, że otrzyma niebawem urząd w królewskim pałacu... Z ręką na sztylcie, z zadartym podbródkiem, Guccio patrzył, jak Neapol rozpościera się przed nim w słońcu.

Dziesięć galer odprowadziło okręt na pełne morze; Neapolitańczycy ujrzeli, jak oddala się, maleje ten biały warowny zamek sunący po wodach.







## II

### Burza

Po kilku dniach San Giovanni był tylko trzeszczącą skorupą, bez połowy masztów, gnaną szkwałem. Zataczał się wśród olbrzymich bałwanów, a kapitan próbował utrzymać go na kursie w domniemanym kierunku wybrzeży Francji.

W pobliżu Korsyki zaskoczyła okręt jedna z owych burz, tyleż gwałtownych co niespodziewanych, jakie niekiedy sięją spustoszenie na Morzu Śródziemnym. Stracił sześć kotwic, usiłując je zarzucić pod wiatr wzdłuż brzegów wyspy Elby; mało brakowało, a morze cisnęłoby nim o skały. Później podjął kurs między ścianami wody. Dzień, noc i jeszcze dzień tej żeglugi po piekle. Kilku majtków poraniło się ściągając resztki żagli. Czatownicze kasztele zawały się wraz z ładunkiem kamieni, przeznaczonych na barbarzyńskich piratów. Toporem trzeba było roztworzyć ładownię, by uwolnić neapolitańskich rycerzy uwięzionych wskutek upadku głównego masztu. Morze zmiotło wszystkie kufry z szatami, klejnotami, wyrobami złotników i wszystkie ślubne dary księżniczki. W infirmerii cyrulika-chirurga tłoczyli się chorzy i okaleczeni. Kapelan nie mógł nawet odprawić „suchej mszy”<sup>1</sup>, bo fala uniosła monstrancję, kielich i ornaty. Z krucyfiksem w dłoni, uczepiony liny wysłuchiwał ściszonych spowiedzi i udzielał rozgrzeszenia.

Namagnesowana igła była już do niczego. Kołysała się na wsze strony pływając w naczyniu na resztkach wody. Kapitan, krewki Latyńczyk, na znak rozpaczy rozdarł szatę po pas. Słyszało się, jak wrzeszczy między jednym a drugim rozkazem „Boże dopomóż”. A przecie zdawał się znać swe rzemiosło i starał się jak najlepiej wybrnąć z nieszczęścia, kazał wydobyć wiosła tak długie i tak ciężkie, że aż siedmiu ludzi trzeba było ucześcić do każdego, żeby nimi poruszać. Przyzwał do siebie dwunastu majtków, by pchali drąg sterowniczy, po sześciu z każdej strony. Mimo zalet kapitana, zaatakował go hrabia de Bouville w napadzie złego humoru, skoro tylko rozpętała się wichura:

- Ejże! panie marynarzu, to tak się potrzęsa księżniczką, narzeczoną króla, mego pana? Źle obciążyliście nawę, skoro się tak zataczamy, a wy się nie znacie na żegludze! Jak się migiem nie poprawicie, przekażę was po przybyciu jurystom króla Francji i nauczycie się morza na galerniczej ławie...

Gniew ten jednak szybko opadł. Były wielki szambelan zwymiotował na wschodnie dywany, a w ślad za nim zresztą prawie cała eskorta. Blady i przemoczony od stóp do głów, gotów oddać ducha za każdym razem, gdy

---

<sup>1</sup> Cyfry w tekście oznaczają odsyłacze do *Not historycznych* na końcu tomu, gdzie czytelnik znajdzie również *Noty biograficzne* dotyczące występujących w książce osób. W nawiasach kwadratowych - przypisy tłumacza.

fala unosiła okręt, grubas jęczał - między jednym a drugim czknięciem - że nigdy nie ujrzy rodziny i nie nagrzeszył w życiu tyle, aby aż tak cierpieć.

Natomiast Guccio okazywał zadziwiające męstwo. Rześki, żwawy, kazał starannie zabezpieczyć swoje skrzynie, a zwłaszcza kuferek z talarami; w chwilach względnej ciszy biegał po odrobinę wody dla księżniczki albo rozlewał wokół niej pachnidła, by stłumić fetor, jakim zionęli chorzy towarzysze podróży.

Są ludzie, zwłaszcza młodzi, którzy instynktownie tak się zachowują, by usprawiedliwić mniemanie o nich. Patrzy się na nich pogardliwym okiem? Są wszelkie dane, że się zachowują w sposób godny pogardy. A gdy czują natomiast szacunek i zaufanie? Wyłażą ze skóry i choć mrą ze strachu jak pierwszy lepszy, postępują po bohatersku. Guccio należał właśnie do tego gatunku. Ponieważ Donna Clemenza tak traktowała ludzi, biednych czy bogatych, możnowładców czy chłopów, by uszanować ich godność, ponieważ ponadto okazywała specjalną uprzejmość młodzieńcowi, który był po trosze zwiastunem jej szczęścia, Guccio czuł, że się staje przy niej rycerzem, i zachowywał się godniej niż wszyscy herbowi.

Mimo że Toskańczyk, a więc zdolny olśniewać niewieście oczy wszelakim bohaterstwem, był z krwi i kości bankierem i grał na losie, jak się gra na giełdzie.

„Niebezpieczeństwo to świetna okazja, żeby zdobyć zaufanie możnych” - mówił do siebie. - „Jeśli wszyscy mamy zatonać i zginać, to nie zmieni naszego losu rozplywanie się w lamentach, jak to robi drogi Bouville. Jeśli jednak ujdziemy cało, to zyskam szacunek królowej Francji.” Móc tak myśleć w takiej sytuacji już świadczy o niezłej odwadze. Ale Guccio tego lata czuł się niezwyciężony: kochał i wiedział, że jest kochany.

Zapewniał księżniczkę, wbrew rzeczywistości, że się rozpogadza; twierdził, że statek jest mocny, gdy trzeszczał przeraźliwie; dla porównania opowiadał o burzy, jaką przeżył ubiegłego roku, przepływając La Manche, a wyszedł z niej przecież bez szwanku:

- Wiozłem list do królowej Izabeli od Dostojnego Pana d'Artois...

Księżniczka Klemencja też zachowywała się wzorowo. Schroniwszy się do paradyżu, wielkiej komnaty przeznaczonej dla królewskich gości w kasztelu przy rufie, nawoływała do spokoju towarzyszące jej damy, które podobne stadu przestraszonych owieczek beczały i obijały się o ściany przy każdym wstrząsie morza. Klemencja bez słowa przyjęła wiadomość, że jej kufry z szatami i klejnotami wyleciały za burzę.

- Chętnie dałabym dwakroć - rzekła tylko - aby maszt nie powalił naszych dzielnych marynarzy.

Nie tyle przerażała ją burza, ile omen, jaki w niej widziała.

„Niestety, za świetne było dla mnie to małżeństwo - myślała - bardzo się cieszyłam i grzeszyłam pychą. Bóg zatopi statek, bo nie jestem godną zostać królową.”

Piątego dnia tej okropnej przeprawy, gdy okręt znajdował się w oku wichury, chociaż morze nie zdawało się uspokajać, księżniczka zobaczyła grubego Bouville'a, jak w skromnej szacie, bosy i rozczochrany, klęczał na okrętowym mostku skrzyżowawszy ramiona.

- Co tu panie robicie? - krzyknęła.



- Naśladowuję Miłościwego Pana Ludwika Świętego, gdy o mało nie utonął koło Cypru. Przynależał ofiarować statek za pięć srebrnych grzywien<sup>2</sup> świętemu Mikołajowi z Varengeville, jeśli Bóg raczy odprowadzić go do Francji. Opowiadał mi to pan de Joinville.

- Przynależam ofiarować tyleż świętemu Janowi Chrzycielowi, patronowi naszego okrętu - rzekła wtedy Klemencja. - A jeśli ujdziemy cało i Bóg łaskawie obdarzy mnie synem, ślubuję dać mu na imię Jan.

- Ale żaden z naszych królów nigdy nie zwał się Janem, Miłościwa Pani.

- Bóg o tym postanowi.

Natychmiast uklękła i zatopiła się w modłach.

Około południa wzburzone morze jęło się uciszać i wszyscy odzyskali nadzieję. Później słońce przerwało chmury, ukazał się ląd. Kapitan z radością poznał wybrzeże Prowansji, a w miarę zbliżania się coraz wyraźniejszy zarys przystani w Cassis. Niepoślednio był dumny, że utrzymał statek na kursie.

- Myślę, że jak najrychlej wysadzicie nas na ten brzeg, panie marynarzu - rzekł Bouville.

- Muszę was dowieźć aż do Marsylii, panie - odparł kapitan - już jesteście blisko. W każdym razie nie mam dość kotwic, żeby je zarzucać przy tych skałach.

Pod wieczór *San Giovanni* pchany wiosłami stanął przed portem w Marsylii. Spuszczono na morze barcę, by uprzedzić miejskie władze i opuścić łańcuch zamykający wejście do portu między wieżą Malbert a fortem Świętego Mikołaja. Wnet burmistrz, ławnicy i radcy przybiegli gnąc się wpół pod naporem mistralu<sup>3</sup>, by powitać bratanicę swego suwerena, gdyż Marsylia była wtedy w posiadaniu Andegawenów z Neapolu.

Na nabrzeżu robotnicy z salin, rybacy, skutnicy, tragarze, maklerzy, kupcy z dzielnicy żydowskiej, urzędnicy z banków genueńskich i sienneńskich patrzyli w osłupieniu na ten wielki, potrzaskany statek bez masztów i żagli, gdzie na pokładzie tańczyli i ściskali się marynarze obwieszczając cud.

Rycerze neapolitańscy i damy ze świty starali się oporządzić stroje.

Hrabia de Bouville, który schudł o kilka funtów i pływał w swych szatach, głosił wokół, jak skuteczny okazał się jego ślub, i zdawał się uważać, iż wszyscy zawdzięczają życie jego pobożnemu natchnieniu.

- Panie Hugonie - rzekł doń Guccio ze szczyptą przekory - jak słyszałem nie bywa burzy, aby ktoś nie złożył takiego jak wy ślubu. Jak więc wyjaśnicie, że tyle okrętów jednak tonie?

- Bo na pewno na pokładzie znajduje się jakiś niedowiarek taki jak wy - odparł z uśmiechem były szambelan.

Guccio pierwszy chciał skoczyć na brzeg. Lekko odbił się od drabiny, by dowieść swej odwagi. Wnet rozległ się jego wrzask. Po wielu dniach spędzonych na ruchomych deskach stały ląd okazał się dlań niegościnnie. Noga mu się powinęła na oślizgłym kamieniu. Wpadł do wody. Mało brakowało, a zostałby zmiażdżony między nabrzeżem a kadłubem statku. W jednej chwili woda wokół się zaczerwieniła. Padając zranił się o żelazny hak. Wyłowiono go wpół omdlałego, okrwawionego, z biodrem otwartym po kość. Wnet zaniecono go do hospicjum<sup>4</sup>.



### III

## Hospicjum

Wielka sala oddziału męskiego miała wymiary katedralnej nawy. W głębi wznosił się ołtarz, przy którym co dzień odprawiano cztery msze i nieszpory, i kompletę. Uprzywilejowani chorzy zajmowali nisze w ścianach, zwane „separatkami z polecenia”; pozostali leżeli po dwóch na łóżku, na waleta. Bracia szpitalni w długich brązowych szatach przemykali się między łózkami, spiesząc pielęgnować chorych, albo śpiewać nabożne pieśni i rozdawać posiłki. Pobożne praktyki ściśle wiązały się z terapią. Wersetom psalmów odpowiadało bolesne rżenie. Zapach kadzidła nie mógł stłumić straszliwego odoru gorączki i gangreny. Śmierć była wystawiona na pokaz publiczny. Napisy biegnące wysokimi, zdobnymi literami wzdłuż ścian skłaniały raczej do przygotowania się do śmierci niż do powrotu do zdrowia.

Prawie od trzech tygodni Guccio leżał tu w alkwie, dysząc w uciążliwym letnim upale, który czynił cierpienie dotkliwszym, a pobyt bardziej ponurym. Ze smutkiem patrzył na słoneczne promienie, jakie wpadały przez wysoko przebite okna i kładły wielkie złote plamy na to zbiorowisko nędzy. Najmniejszego ruchu nie mógł zrobić bez jęku. Żywym ogniem paliły go balsamy i eliksiry szpitalników. Przy każdym opatrunku przechodził tortury. Nikt jakby nie był w stanie powiedzieć mu, czy raniąc się uszkodził kość, lecz wyraźnie czuł, że choroba tkwi nie tylko w mięśniach. O mało nie zemdlał, gdy mu opukiwano biodro i nerki.

Medycy i chirurdzy uspokajali go, że nie grozi mu niebezpieczeństwo śmierci, a w jego wieku zawsze wraca się do zdrowia, zaś Bóg w swym domu dokonuje wielu cudów, jak tego dowiódł na tragarzu z rozprutym brzuchem, który zjawił się pewnego dnia podtrzymując rękami jelita, a po pewnym czasie, na oczach wszystkich wyszedł wesół i silny jak dawniej. Marna pociecha dla Guccia. Już trzy tygodnie... i nic nie wskazuje, że miną jeszcze dalsze trzy, zanim wstanie, a może i trzy miesiące, i czy na zawsze nie zostanie kaleką.

Chwilami widział się koślawym i o kulach, skazanym na zakończenie życia za byle ładą marsylskiego kantoru wymiany. Czy będąc niedołęznym mógł myśleć o podróżach, a tym bardziej o małżeństwie? - Jeśli nawet wyjdzie żywy z tego okropnego szpitala! Co rano widział, jak wynoszą jeden lub dwa trupy, które przybrały przykrą, czarniawą barwę. Czy to nie zaraza?... I to wszystko po to, żeby bawić się w fanfaronę, skakać na brzeg przed towarzyszami, kiedy ledwie uratował się od utonięcia.

Wściekał się na swój los i własną głupotę. Wzywał prawie co dzień skrybę i dyktował mu długie listy do Marii de Cressay, żałośliwe a

płomienne. Kazał je wysłać przez lombardzkich kurierów do kantoru w Neauphle, by pierwszy urzędnik oddał je potajemnie dziewczynie.

Guccio zapewniał Marię, że pragnie wyzdrowieć tylko po to, by mieć szczęście ją odnaleźć, oglądać, kochać w każdym dniu darowanym przez niebiosa. Błagał ją, aby dochowała mu wiary, którą sobie zaprzysięgli, i obiecywał tysiące rozkoszy. „Mego serca tylko wy jesteście panią i nikt inny rządzić nim nie będzie, a jeśli wasze serce mnie zawiedzie, uciecze wnet moje życie.”

Ten pyszałek bowiem, odkąd wrogi los przykuł go do szpitalnego łóżka, jał wątpić we wszystko i lękać się, że ukochana nie będzie nań czekała. Maria, zniechęcona długotrwałą nieobecnością zalotnika, będzie odeń wolała jakiegoś szlachcica z prowincji.

„Całe szczęście - myślał - że byłem jej pierwszą miłością. Lecz oto rok, a wkrótce i sześć miesięcy, jak się pierwszy raz pocałowaliśmy.”

Oglądając swe wychudłe nogi rozważał, czy kiedykolwiek wstanie i starał się w swych listach okazać bohaterem. Podawał się za protegowanego i zausznika nowej królowej Francji. Czytając jego listy można by uwierzyć, że to on skojarzył królewską parę. Opowiadał o swym poselstwie do Neapolu, o burzy, i jak to się on zachowywał wówczas umacniając załogę w odwadze. Swój wypadek przypisywał rycerskiemu porywowi. Rzucił się, by podtrzymać księżniczkę Klemencję, uchronić ją przed upadkiem do wody, gdy schodziła ze statku, którym nawet w porcie wstrząsały fale...

Guccio napisał również do wuja Spinella Tolomei, by mu opowiedzieć, lecz z mniejszym patosem, o wypadku i poprosić o kredyt w Marsylii.

Dość liczne odwiedziny dostarczały mu trochę rozrywki. Konsul kupców sienneńskich przybył go powitać i ofiarować swe usługi, korespondent Tolomeiów obsypywał go względami i kazał dostarczać jadło lepsze niż w szpitalu.

Pewnego popołudnia Guccio z radością ujrzał swego przyjaciela Boccaccia da Chellino, podróżnika Bardich, będącego właśnie przejazdem w Marsylii. Przy nim Guccio mógł sobie polamentować do woli.

- Wyobraź sobie, co mnie ominie - mówił. - Nie będę na weselu Donny Clemency, a zająłbym tam miejsce wśród wielkich panów. Tyle zrobić dla tego małżeństwa i nie być na weselu! I ominie mnie także koronacja w Reims. Ach, co za rozpacz... i nie mam listu od mojej ślicznej Marii.

Boccaccio starał się go uspokoić. Neauphle to nie przedmieście Marsylii, a listów Guccia nie wiozą królewscy jeźdźcy. Muszą one przejść przez lombardzkie przekaźcze stacje w Awinionie, w Lyonie, w Troyes, w Paryżu, a kurierzy co dzień nie ruszają w drogę.

- Boccaccio, przyjacielu - zawołał Guccio - jak jedziesz do Paryża, wyświadcź mi łaskę i pojedź do Neauphle, i zobacz Marię. Powiedz jej wszystko, co ci zawierzam. Dowiedz się, czy dostała moje listy, zobacz, czy zawsze mnie tak samo kocha. I nie ukrywaj przede mną prawdy, choćby najsroźszej... Czy nie myślisz, Boccaccino, że powinienem kazać się przewieźć w lektyce?

- Żeby twoja rana się otworzyła i robaki w niej zagnieździły, żebyś padł od gorączki w jakiejś przydrożnej karczmie? Co za pomysł! Czyżes

zwariował? Masz dwadzieścia lat, Guccio...

- Jeszcze nie...

- Tym bardziej, co znaczy w twoim wieku jeden stracony miesiąc?

- Żeby to miesiąc, przecież całe życie mogę stracić.

Co dzień księżniczka Klemencja przysyłała dworzanina po wiadomości o rannym. Sam hrabia de Bouville po trzykroć osobiście zasiadł u wezglowia młodego Włocha. Obowiązki i troski gnębiły Bouville'a. Zabiegał, by przywrócić godny wygląd świecie przyszłej królowej, nim ruszą w dalszą podróż. Jedyna odzież, jaką mieli na sobie Neapolitańczycy w czasie lądowania, była zdefasonowana i zniszczona. Dworzanie i damy dworu zamawiali stroje u krawców i szwaczek nie troszcząc się o zapłatę. Należało ponownie uszyć księżniczce stroje, bo jej wyprawa utonęła w morzu. Trzeba było zakupić srebra, zastawy stołowe, kufry, meble podróżne. Bouville zażądał funduszków z Paryża; Paryż odpowiedział, by się zwrócić do Neapolu, wszystkie bowiem straty nastąpiły na odcinku drogi, będącym pod panowaniem korony sycylijskiej, zaś orszak nadal się znajdował na ziemi andegaweńskiej. Neapolitańczycy odesłali Bouville'a do swych zwykłych bankierów Bardich, co wyjaśniało pobyt w Marsylii signora Boccaccia. W tym zamęcie Bouville'owi bardzo brakowało Guccia.

- Po coście się pośliznęli? - mówił z odcieniem wymówki były wielki szambelan. - Widzicie, że Bóg was skarał za wasze bezbożne słowa, ale i mnie zarazem ukarał pozbawiając waszej pomocy, kiedy jej najbardziej potrzebuję. Nic się nie znam na rachunkach, a jestem pewien, że mnie okradają.

- Kiedy odjeżdżacie? - spytał Guccio, myśląc z rozpaczą o tej chwili.

- Och! przyjacielu, nie przed połową lipca.

- Może wyzdrowieję do tego czasu.

- Pragnąłbym tego. Postarajcie się, wasz powrót do zdrowia bardzo by mi się przydał.

Lecz nadeszła połowa lipca, a Guccio jeszcze nie wyzdrowiał. W przeddzień odjazdu Klemencja Węgierska przyszła osobiście pożegnać rannego.

Chorzy w szpitalu bardzo zazdrościli Gucciowi wizyt i względów, jakimi go otaczano; usiłował wyglądać na bohatera, gdy narzeczona króla Francji, w towarzystwie dwóch dam i sześciu neapolitańskich rycerzy, kazała otworzyć drzwi wielkiej sali hospicjum.

Szpitalnicy, którzy właśnie śpiewali psalmy, odwrócili się zdziwieni i aż zachrypli. Piękna księżniczka uklękła jak najpokorniejsza wierna, później, po skończonych modłach przesunęła się między łózkami, a w ślad za nią szło sto tragicznych spojrzeń. Na posłaniach, gdzie chorzy leżeli na waleta, unosiły się dwa ciała naraz, by ją zobaczyć. Wyciągały się ku niej ręce starców.

Natychmiast Donna Clemeza kazała ludziom ze świty rozdać ubogim jałmużnę i złożyć na fundusz szpitalny sto liwrów.

- Ależ Miłościwa Pani - szepnął towarzyszący jej Bouville - nie mamy dość pieniędzy, aby za wszystko płacić.

- Mniejsza o to! To więcej warte niż cyzelowane czary do wina i

jedwabie na stroje. Wstyd mi myśleć o podobnych błahostkach, wstydzę się nawet mego zdrowia, kiedy widzę tyle nieszczęścia.

Przyniosła Gucciowi relikwiarzyk zawierający maleńki skrawek szaty świętego Jana z „widoczną kropelką krwi zwiastuna”, zapłaciła zań bardzo drogo Żydowi wyspecjalizowanemu w tego rodzaju handlu. Relikwiarzyk zwisał na złotym łańcuszku i Guccio natychmiast włożył go na szyję.

- Ach! miły signore Guccio - powiedziała księżniczka Klemencja - martwię się, że was tu widzę. Dwa razy odbyliście długą podróż, by wraz z panem Bouville przynieść mi dobrą nowinę; tak mnie wspieraliście na morzu, a nie będziecie na moich uroczystościach weselnych!

W sali było gorąco jak w piecu. Nadchodziła burza. Księżniczka wyjęła z jałmużniczki chusteczkę i otarła pot perlący się na twarzy rannego ruchem tak naturalnym i tak tkliwym, że Gucciowi łzy stanęły w oczach.

- Lecz jak wam się przydarzyło to nieszczęście? - podjęła Klemencja. - Nic nie widziałam i jeszcze nie mogę pojąć, jak się to stało.

- Ja... ja myślałem, Miłościwa Pani, że chcecie zejść, a statek jeszcze kołysał, ja... ja chciałem skoczyć, żeby wam podać ramię. Było bardzo ciemno... i oto... noga mi się pośliznęła.

Odtąd będzie przekonany, że tak się miały sprawy i ten odruch pchnął go do skoku...

- Miły signore Guccio! - powtórzyła bardzo wzruszona Klemencja. - Będę tak się cieszyć, gdy szybko wrócicie do zdrowia. Przyjdźcie mi to oznajmić na francuskim dworze. Moje drzwi zawsze będą dla was otwarte jak dla przyjaciela.

Zamienili długie spojrzenie, całkowicie niewinne, bo ona była córką króla, a on synem Lombarda. Gdyby się nie urodzili w tak różnych stanach, mogliby się pokochać.





## IV

### Znaki nieszczęścia

Piękna pogoda trwała krótko. Huragany, burze, grad, ulewne deszcze, które spustoszyły zachód Europy i zdążyły dosięgnąć na morzu księżniczkę Klemencję, rozpoczęły się już nazajutrz po jej wyjeździe z Marsylii. Po pierwszym postoju w Aix-en-Provence i następnym zamku Orgon, orszak wkroczył do Awinionu w potokach deszczu. Skórzany, malowany dach, osłaniający lektykę, w której jechała księżniczka, ociekał po czterech rogach jak kościelny rzygacz. Czy przepadną tak drogo odkupione stroje i nowa odzież, czy deszcz przemoczy kufry i zniszczy haftowane kropierze rycerzy z Neapolu, zanim olśnią mieszkańców Francji?

Zaledwie orszak rozgościł się w papieskim mieście przybył powitać Panią Klemencję Węgierską kardynał Dueze, biskup Awinionu, a wraz z nim całe duchowieństwo. Wizyta polityczna. Oficjalny kandydat Andegawenów na papieża, Jakub Dueze, znał dobrze Donnę Clemenę; pamiętał ją jako dziecko, gdy był kanclerzem na dworze w Neapolu. Dogadzał mu ślub Klemencji z królem Francji i liczył po trosze, że pozyska brakujące mu głosy wśród francuskich kardynałów.

Zwawy jak jelonek, mimo swej siedemdziesiątki, Przewielebny Dueze wbiegł po schodach zmuszając do gonitwy za sobą diakonów i szambelanów. Towarzyszyło mu dwóch kardynałów Colonnów chwilowo popierających plany Neapolu.

Pan de Bouville otrząsnął się ze zmęczenia i przystroił w godność posła, aby powitać tych wszystkich purpuratów.

- Widzę, Wasza Dostojność - zwrócił się do kardynała Dueze traktując go jak starego znajomego - widzę, że łatwiej z wami się porozumieć, gdy się towarzyszy bratanicy króla Neapolu, niż kiedy przybywa się do was z rozkazu króla Francji, i nie trzeba szukać was uganijając się po polach, jak mnie do tego zmusiliście ubiegłej zimy.

Bouville mógł sobie pozwolić na ten rubaszny ton; Skarb Francji wydał już był na kardynała pięć tysięcy liwrow.

- Król Robert, panie hrabio - odparł kardynał - zawsze i wytrwale zaszczycał mnie pobożnym zaufaniem, zaś związek jego bratanicy, znanej mi z wielkiego rozgłosu cnoty, czyni zadość mym modłom.

Bouville rozpoznał ten dziwny głos, zarazem namiętny a zmęczony, zdławiony, o stłumionym dźwięku, lecz o szybkim rytmie, który tak go zaskoczył podczas pierwszego spotkania z kardynałem. Ów zaś odpowiadając Bouville'owi przede wszystkim przemawiał do księżniczki i ku niej bez ustanku się zwracał:

- A następnie, panie hrabio, sytuacja nieco się zmieniła. Już nie widać za każdym, kto przybywa z Francji, cienia dostojnego pana de Marigny, który miał nader długie ramię, a nie był nam zbyt przychylny. Czy to prawda, że



okazał się tak nierzetelny w rachunkach, że wasz młody król, znany przecie ze swego miłosiernego serca, nie mógł go ocalić od sprawiedliwej kary?

- Wiecie, że pan de Marigny był moim przyjacielem - odparł odważnie Bouville. - Mniemam, że to nie on, a jego urzędnicy byli nierzetelni. Przykro mi było patrzeć na tego starego druha, gdy zacierzewiony w pysze gubił siebie chcąc wszystkim rządzić. Uprzedziłem go...

Lecz Przewielebny Dueze jeszcze nie zakończył swych podszytych perfidią uprzejmostek. Wciąż zwracając się do Bouville'a, lecz wciąż patrząc na Klemencję Węgierską, podjął:

- Widzicie, że było zbędne tak się niepokoić o to unieważnienie związku waszego władcy, o czym ze mną rozmawialiście. Opatrzność niekiedy wysłuchuje naszych modłów... o ile ją nieco wesprze jakaś stanowcza ręka...

Wzrokiem i wyrazem twarzy zdawał się dorzucać z myślą o księżniczce: „Tak czynię, by was uprzedzić. Wiedźcie, za kogo was wydają za męż. Jeśli coś was zatrwoży na tym francuskim dworze, zwróćcie się do mnie”. U dygnitarzy kościelnych nawet w morzu słów należy wyławiać ważne półsłówka.

Bouville pośpieszył zmienić temat i zapytał prałata o stan konklawe.

- Wciąż taki sam - rzekł Dueze - to znaczy nie ma konklawe. Więcej jest intryg niż kiedykolwiek i tak subtelnie namotanych, że trudno by rozplątać kłębek. Kamerling usiłuje wyraźnie dowieść, że nie może nas zebrać. Nadal jesteśmy rozproszeni, jedni w Carpentras, inni w Orange, my tu... Gaetani we Vienne...

Dueze wiedział, że podróżni mają zatrzymać się we Vienne u siostry Klemencji, zamężnej za delfinem wienneńskim<sup>5</sup>. Pośpieszył przeto wygłosić szeptem, ale groźnym, akt oskarżenia przeciwko kardynałowi Gaetaniemu, swemu głównemu przeciwnikowi.

- Śmiechu warte patrzeć, jak dziś z taką odwagą broni pamięci swego stryja papieża Bonifacego. My nie możemy zapomnieć, że kiedy Nogaret ze swą jazdą przybył do Anagni, aby oblegać Bonifacego, Przewielebny Francesco opuścił najdroższego krewniaka, któremu zawdzięczał swój kapelusz, i uciekł w przebraniu pachołka. Wydaje się stworzony do zdrady jak inni do kapłaństwa - oświadczył Dueze.

Oczy jego, ożywione starczą namiętnością, błyszczały w twarzy suchej i pobrużdżonej. Wedle niego Gaetani był zdolny do najgorszych przestępstw; diabła miał za skórą ten człowiek...

- ...a szatan, jak wiecie, wszędzie potrafi się wkraść, nic by go bardziej nie radowało niż zasiąść w naszych kolegiach.

Obaj Colonnowie żywiąc rodową nienawiść do wszystkich, którzy mieli imię lub krew Gaetanich, gorąco potwierdzili.

- Wiem dobrze - dorzucił Dueze - że tron Świętego Piotra nie może wakować w nieskończoność, złe to jest dla całego świata. Lecz cóż ja mogę? Ofiarowałem się dźwignąć ten ciężar. Jeśli Bóg wyznaczając mnie zechce wznieść swego najkorniejszego sługę na stanowisko najwyższe, poddam się woli Bożej. Cóż mogę zrobić więcej, panie hrabio?

Po czym wręczył Donnie Clemenzy w darze ślubnym bogato iluminowany egzemplarz pierwszej części swego Elixiru, traktatu, nauki

hermetycznej, aczkolwiek było wątpliwe, czy młoda księżniczka pojmie choćby jedno zdanie.

Następnie odszedł zwawo podskakując, a za nim prałaci, diakoni i szambelani. Już wiódł papieski tryb życia i do ostatka sił będzie przeszkadzał, by ktokolwiek poza nim został wybrany.

Gdy nazajutrz orszak książęcy jechał do Valence, Klemencja Węgierska nagle spytała Bouville'a:

- Na co zmarła Pani Małgorzata Burgundzka?

- Z powodu surowości więzienia, Dostojna Pani, i niewątpliwie z żalu za grzechy.

- Co chciał powiedzieć kardynał mówiąc o tej stanowczej ręce, która miała wesprzeć Opatrzność?

Hugo de Bouville trochę się zmieszał. Wzbraniał się przywiązywać jakąkolwiek wagę do pogłosek krążących wokół zgonu Małgorzaty.

- Kardynał to dziwny człowiek - rzekł. - Można by sądzić, że zawsze mówi zawiłą łaciną. Na pewno dlatego, że tyle studiował. Wyznaję, że nie mogę nadażyć za biegiem jego myśli. Chciał powiedzieć - jak myślę - że ciemnica to surowa kara, jeśli strażnik jest dokładny, a to wystarcza do skrócenia życia kobiety...

Wzmożony deszcz wybawił go w porę z kłopotu. Trzeba było zasunąć skórzane zasłony lektyki.

Leżąc na poduszkach, kołysana chodem mułów, ogarnięta szmerem wody, która bębniła nieznużona, Klemencja Węgierska myślała o Małgorzacie.

„Tak więc obiecane mi szczęście - mówiła sobie - zawdzięczam śmierci tamtej.” Czuli się w niewytłumaczalny sposób związana z tą nieznaną, z tą królową, którą miała zastąpić, a winy jak i kara Małgorzaty budziły w niej lęk i litość.

„Grzechy jej spowodowały śmierć, a śmierć jej wynosi mnie na tron.” Widziała w tym wyrok na siebie. Wszystko jej się wydawało zapowiedzią nieszczęścia. Burza, rana Guccia i deszcze, które przeradzały się w klęskę... tyle znaków złowieszczych.

Mijane wioski wyglądały rozpaczliwie. Po głodowej zimie, gdy zbiory zapowiadały się pomyślnie, zaś chłopci jęli nabierać otuchy, słońca w ciągu kilku dni zniweczyła wszelkie nadzieje. Niezmordowana woda wszystko niszczyła.

Wezbrały rzeki: Durance, Drôme, Izera. Rodan wzdłuż gościńca groźnie przybierał na sile. Niekiedy trzeba było usuwać drzewo powalone burzą.

Przykry był dla Klemencji kontrast między Kampanią pod wiecznie błękitnym niebem, o sadach obciążonych złocistym owocem, a tą spustoszoną doliną, tymi ponurymi gródkami na wpół wyludnionymi przez głód.

“Im dalej na północ, tym będzie jeszcze gorzej. Jadę do surowego kraju.”

Pragnęła ulżyć nędzy; kazała wciąż zatrzymywać lektykę, by rozdawać jałmużnę. Bouville musiał się przeciwstawić i powściągnąć tę żarliwość miłosierdzia:

- Jeśli tyle będziecie rozdawać, Dostojna Pani, nie będziemy mieli za co

dojechać do Paryża.

Przybywszy do Vienne, do siostry Beatrycze, delfinowej wienneńskiej, Klemencja dowiedziała się, że Ludwik X wyruszył na wojnę z Flandrią.

- Mój Panie Boże - szepnęła - czy zostanę wdową, zanim nawet ujrzę mego małżonka? Czy po to jadę do Francji, by towarzyszyć nieszczęściom?





## V

### Król wznosi proporzec

Akt oskarżenia zarzucał Enguerrandowi de Marigny, że sprzedał się Flamandom zawierając korzystny dla nich traktat pokojowy. Był to nawet pierwszy z czterdziestu i jeden punktów oskarżenia.

Ledwie Marigny zawisł na szubienicy w Montfaucon, hrabia Flandrii zerwał pakt. Dokonał tego w najprostszy w świecie sposób: mimo wezwania odmówił przyjazdu do Paryża, aby złożyć hołd nowemu królowi. Równocześnie przestał płacić daniny i ponowił pretensje terytorialne do Lille i Douai.

Na wieść o tym Ludwik X wpadł w taki szalony gniew, jaki mu już zjednał przezwisko Kłótliwego, a wedle niego właśnie przydawał mu majestatu, lecz tym razem wściekłość jego w furii przewyższyła wszystko, czym się dotąd wsławił.

Miotał się po komnacie jak zwierzę w klatce. Z włosami w nieładzie, z twarzą w ogniu, łamał sprzęty, wywracał ławy. Przez kilka godzin wykrzykiwał słowa bez związku. Wrzask jego przerywały tylko ataki kaszlu, składając go we dwoje.

- Subwencja! Szubienice, stawiać szubienice! Wznawiam subwencję... Pani Węgierska, co robi? Migiem niech jedzie! Na kolana, na kolana hrabio Flandrii! Moja noga na jego głowie! Brugia? Ognia...! Sam ją podpale!

Wszystko tu się mieszało, nazwy miast zbuntowanych, pogrożki, a nawet burza, co opóźniała przyjazd jego przyszłej małżonki. Lecz najczęściej powtarzał słowo: subwencja, bo za radą Karola de Valois przed kilku dniami kazał zakończyć pobór podatków wyjątkowych, przeznaczonych na pokrycie kosztów zeszłorocznej wyprawy nakazanej jeszcze przez jego ojca.

Widząc to wszyscy jęli w skrytości żałować Marigny'ego i traktowania przezeń tego rodzaju buntów. Wspominali na przykład, jak odpowiedział opatowi Szymonowi z Pizy, gdy ten pewnego lata powiadomił go o rozruchach we Flandrii: „Nie dziwi mnie ta wielka gorączka, bracie Szymonie, to skutki gorąca. Nasi rycerze są również zapalczywi i rozmiłowani w wojaczce. Pojmijcie, Francji naprawdę nie da się poćwiartować słowami, inaczej do tego trzeba się zabrać”. Ludzie łaknęli takiego tonu. Niestety, zabrakło na tym świecie człowieka, który umiał tak przemawiać.

Podjudzony przez Valois zawsze gotowego dowieść swych talentów wodza, Kłótlivy jał marzyć o bohaterskich czynach. Zbierze największą armię, jaką kiedykolwiek widziała Francja, spadnie jak orzeł na zbuntowanych Flamandów, w puch rozniesie kilka tysięcy, na resztę nałoży haracz, zmusi ich do poddania się i właśnie on pokaże, do czego jest zdolny tam, gdzie nie dał rady Filip Piękny. Już widział się, jak powraca

poprzedzany przez triumfalne sztandary, z kuframi pełnymi łupów, nałożywszy kontrybucję na miasta; przerośnie sławą zmarłego ojca i zmaże niesławę swego pierwszego małżeństwa. Następnie z tym samym impetem wśród owacji ludu, zwycięski księżę i waleczny bohater cwałem przybędzie powitać narzeczoną i powiedzie ją przed ołtarz i na koronację.

Pożałowania godny byłby ten młodzieniec - bo w głupocie zawsze tkwi coś bolesnego - gdyby nie był odpowiedzialny za Francję i jej piętnaście milionów dusz.

23 czerwca zwołał Izbę Parów, bełkocąc, w pasji kazał ogłosić zdrajcą hrabiego Flandrii i stawić się wojskom królewskim<sup>6</sup> w dniu 1 sierpnia pod Courtrai.

Miejsce spotkania było niezbyt szczęśliwie wybrane, nazwa Courtrai dźwięczała jak symbol klęski. W materii zaś wojskowej należy wystrzegać się precedensów, katastrofy lubią się powtarzać w tych samych miejscowościach.

Ludwik X miał oczywiście trudności finansowe, by utrzymać taką olbrzymią armię, jaką zamierzał zebrać. Przeto jego Rada uciekła się do sposobów, jakich używał Marigny, a opinia rozważała, czy było konieczne skazać na śmierć byłego współrządcę królestwa, by tak prędko powrócić do jego metod i gorzej je stosować.

Wyswobodzono w dobrach królewskich wszystkich niewolnych, jacy się mogli wykupić; nowym grupom Żydów zezwolono osiedlić się w miastach królewskich pod warunkiem olbrzymiej opłaty za prawo pobytu i handlu; ukrócono przywileje bankierów i kupców lombardzkich, jednocześnie zaś nałożono jeden, a później dwa podatki dodatkowe na wszelkie transakcje i to mimo solennych zapewnień, jakich przedtem udzielał swym wierzycielom hrabia de Valois. Wnet Lombardowie spojrzeli na rząd mniej przychylnym okiem<sup>7</sup>.

Zamierzano również opodatkować duchowieństwo, lecz kler wybronił się wysuwając argument, że tron apostolski jest nieobsadzony, a pod nieobecność papieża nie wolno podejmować żadnych decyzji. Po uciążliwych targach biskupi zgodzili się wyjątkowo udzielić pomocy, lecz wyłącznie w zamian za uwolnienie od świadczeń i opłat, co w ostatecznym rozrachunku kosztowało Skarb więcej, niż przyniosły uzyskane subsydia.

Rekrutacja wojsk odbyła się bez trudności, a nawet z pewnym entuzjazmem baronów, którym spodobała się myśl wydobycia pancerzy i wypróbowania fortuny.

Lud okazywał mniej bez troski.

- Czy nie dość - pogadywały kumoszki - że przymieramy głodem, jeszcze na królewską wojnę naszych chłopów i nasze denary mamy dawać?

Lecz żołnierzy olśniono nadzieją łupów i zezwoleniem na rabunek i gwałt w zdobytych miastach. Wielu mężczyznom wyprawa królewska dawała okazję wymknąć się z codziennej, monotonnej pracy i troski o pożywienie. Nikt nie chciał wyglądać na tchórza, a królewscy sierżanci zdobiąc kilku wisielcami drzewa przy drodze potrafili przywołać chłopów do posłuszeństwa.

Większość zarządzeń Filipa Pięknego dotyczących organizacji armii pozostała w mocy dzięki uporowi konetabla i okazywała nadal swą

skuteczność.

Każdy zdrowy mężczyzna od osiemnastu do sześćdziesięciu lat był zobowiązany - do służby wojskowej, chyba że się wykupił pieniężną daniną lub wykazał rzemiosłem uznanym za niezbędne.

Podział terytorialny był podstawą formacji armii. Rycerz, a nawet giermek nigdy nie wyruszał sam na wojnę, towarzyszyli mu zbrojni pachołkowie, szafarze, piechurzy. Właściciele koni, uzbrojenia własnego i swych ludzi winni byli utworzyć drużynę obejmującą poddanych i niewolnych z całego lenna. Nobilitacja łączyła się z nadaniem stopnia i ściśle określonymi obowiązkami wojskowymi. Zwykły rycerz, zebrawszy i uzbroiwszy drużynę, dołączał się do rycerza wyższego stopnia, zazwyczaj rycerza z proporczykiem, swego bezpośredniego suzerena. Rycerze z proporczykiem ściągali do rycerzy z chorągwią, czyli chorążych, a ci podlegali rozkazom rycerzy z podwójną chorągwią - dowódcom wielkich taktycznych jednostek z terenu ich baronii czy hrabstwa.

Chorągiew hrabiego de Poitiers, brata królewskiego, sama w sobie tworzyła liczebnie imponującą armię, obejmowała bowiem zastępy z Poitou i z hrabstwa Burgundii, ponadto podlegało jej przyłączonych do niej na mocy zarządzenia dziesięć chorągwi, w tym: hrabiego d'Evreux, Anzelma de Joinville, syna sławnego Joinville'a, i samego konetabla Gauchera de Chatillon jako wodza drużyn ściągniętych z jego hrabstwa Porcien.

Filip Piękny nie bez powodu powierzył tak ważne dowództwo swemu drugiemu synowi, jeszcze nim ten ukończył dwadzieścia dwa lata. Chorągiew Poitiers równoważyła poniekąd chorągiew Valois, pod którą szli rekruci z Valois, a także z Andegawenii i Maine.

Drugą wielką jednostką bojową tworzył oczywiście pobór z właściwych dóbr królewskich. Do niej należał Robert d'Artois z tytułu kasztelanii Conches-en-Ouche oraz wielokrotnie obiecywanego hrabstwa Beaumont-le-Roger, którego dotąd nie otrzymał.

Miasta były zobowiązane do świadczeń nie mniej ciężkich niż wieś. Na wojnę z Flandrią Paryż miał dostarczyć czterystu konnych i dwóch tysięcy pieszych. Mieszczanie-kupcy z Cité obowiązani byli wypłacać im żołd co dwa tygodnie. Konie i wozy potrzebne do transportu zarekwirowano w klasztorach.

24 lipca 1315 roku z pewnym opóźnieniem, jak to się zawsze zdarza, Ludwik X przejął w Saint-Denis z rąk opata Egidiusa de Chambly przechowywany tam królewski proporzec, zwany oriflammą Francji - długą wstęgę z czerwonego jedwabiu haftowaną w złote płomienie, którym zawdzięczał swą nazwę od słów l'or-y-flambe, czyli „złoto tu płonie”. Proporzec zwisał z poprzeczki pokrytej złoconą miedzią.

Po obu stronach oriflammy niesionej niby relikwia łopotwały dwie chorągwie królewskie, jedna z liliami na błękitnym polu, druga z białym krzyżem.

Armia ruszyła pochodem wchłonawszy wszystkie zastępy, które przybyły z zachodu, południa i południowego wschodu, rycerzy z Langwedocji, drużyny z Normandii i Bretanii. Chorągwie księstwa Burgundii, Szampanii, Artois i Pikardii miały się przyłączyć po drodze,



koło Saint-Quentin.

Nastał jeden z nielicznych słonecznych dni tego zgniłego lata. Iskrzyły się tysiące włóczni, kolczug, jaskrawo malowanych tarcz bojowych, stalowych karwaszy<sup>8</sup>. Rycerze pokazywali sobie najświeższe udoskonalenia zbroi, nowy kształt nakarczka mocniej przytrzymującego hełm na głowie, szparę przyłbicy o szerszym polu widzenia, czy jakieś ściślej przylegające skrzydełko, które chroniło ramię przed ciosem maczugi lub ostrzem miecza.

Na przestrzeni kilku mil za zbrojnymi ciągnęły czterokołowe wozy z żywnością, kuźniami, furazem, następnie jechały powozy kupców mających prawo towarzyszyć armii i gamratki w wygodnych kolebach pod komendą właścicieli burdeli.

Nazajutrz rozpadał się wskroś przenikający deszcz, rozmiękczał drogi, rozmywał koleiny, spływał po misiurkach, ściekał za pancerze, przylizywał sierść końską. Każdy wojownik ważył o dziesięć funtów więcej.

I dzień po dniu deszcz, nieustanny deszcz...

Wyprawa na Flandrię nigdy nie dotarła do Courtrai. Zatrzymała się koło Lille, w Bonduis, przed wezbraną rzeką Lys, która zatopiła wszystkie przejścia, wylała na pola, rozmyła drogi, zamieniła ziemię w gliniastą maź. Nie mogąc posuwać się naprzód, w potokach deszczu, w tej miejscowości rozbito obóz.





## VI

### Bagienna wyprawa

W ogromnym, królewskim namiocie, haftowanym w kwiaty lilii, gdzie brodziło się w błocie jak wszędzie, Ludwik X wraz ze świeżo mianowanym hrabią de la Marche, Karolem, najmłodszym bratem, mając przy boku stryja, hrabiego de Valois i kanclerza Etienne'a de Mornay, wysłuchiwał raportu konetabla Gauchera de Chatillon. Sprawozdanie nie było zachwycające.

Chatillon, hrabia z Porcien i pan na Crevecoeur był konetabłem od 1284 roku, to jest od początku panowania Filipa Pięknego. Widział klęskę pod Courtrai, zwycięstwo pod Mons-en-Pevele i wiele innych bitew na tej północnej, wciąż zagrożonej granicy, gdzie znajdował się już po raz szósty. Miał teraz sześćdziesiąt pięć lat. Mąż to był krzepki, wzrostu średniego. Nie pochyliły go ani lata, ani zmęczenie. Wystająca z pancerza pomarszczona szyja, wpełprzymknięte powieki i nawyk powolnego kręcenia głową z prawa na lewo upodabniały go do żółwia. Wydawał się powolny, bo był rozważny. Jego krzepa, odwaga w boju i wielkie znanstwo strategii nakazywały szacunek. Za dobrze znał wojnę, by ją jeszcze miłować; była dlań wyłącznie koniecznością polityczną, mówił bez ogródek i za nic miał próżną chwałbę.

- Sire - rzekł - mięsiwo i prowiant nie docierają do wojska. Wozy ugrzęzły w bajorach, sześć mil stąd, a przy wyciąganiu łamią się dyszle. Ludzie już szemrzą z głodu i gniewu, chorągwie, które jeszcze mają co jeść, muszą bronić zapasów przed sąsiadami; łucznicy z Szampanii i Perche wzięli się za łby i pięknie by wyglądało, gdyby doszło do bitwy, zanim nawet wasi żołnierze spotkają się z wrogiem. Będę zmuszony wydać rozkaz wieszania, a tego nie lubię. Postawienie szubienic jednak nie napelni brzuchów. Mamy już więcej chorych, niż mogą leczyć balwierze-chirurdzy. Wkrótce kapelani będą mieć pełne ręce roboty. Trwa to już cztery dni i nie widać końca pluchy. Jeszcze dwa dni, a wybuchnie głód i nikt nie powstrzyma ludzi od dezercji za jadem. Wszystko pleśnieje, wszystko gnije, wszystko rdzewieje...

Na dowód potrzęsął stalowym, ociekającym wodą karwaszem, który wchodząc zsunął z ramion.

Król zdenerwowany, zatrwożony, podniecony, chodził w kółko. Z zewnątrz dochodziły wrzaski i trzaskanie z bicia.

- Skończyć z tym hałasem - krzyknął Kłótlivy - ledwo was słyszę!

Giermek uniósł zasłonę namiotu. Ulewny deszcz padał bezustannie, tworząc przed wejściem niby drugą kotarę. Grzęznąc w błocie powyżej pięcin trzydzieści koni przyprzężonych do olbrzymiej beczki na próżno starało się ją ruszyć.

- Dokąd wieziecie to wino? - spytał król woźniców, którzy brnęli w

glinie.

- Do Dostojnego Pana d'Artois - odrzekł któryś.

Kłótniwy patrzył na nich chwilę swymi dużymi wypukłymi oczami, kiwnął głową i odwrócił się bez słowa.

- Cóżem wam mówił, Sire? - podjął Gaucher. - Dziś może mamy co pić, ale nie liczcie na jutro... Ach! powinienem był prosić was bardziej stanowczo, byście posłuchali mej rady. Byłem zdania, że należy się wcześniej zatrzymać, umocnić na jakiejś wyżynie zamiast nurzać w tym bagnie. Dostojny Pan de Valois i wy sami nalegaliście, aby iść naprzód. Bałem się, żeby nie wzięto mnie za tchórza i nie wytykano mi lat, gdybym powstrzymał wojsko od marszu. Popełniłem błąd.

Karol de Valois gotował się właśnie do repliki, gdy król spytał:

- A Flamandowie?

- Stoją naprzeciw, po drugiej stronie rzeki, równie liczni jak my i w nie lepszej sytuacji, jak sądzę, lecz bliżej źródeł zaopatrzenia i wspomaga ich ludność z okolicznych gródków. Jeśliby nawet jutro woda opadła, będą lepiej przygotowani do ataku na nas, niż my do szarży na nich.

Karol de Valois wzruszył ramionami.

- Przestańcie, Gaucher, deszcz wprawia was w zły humor. Kogo chcecie przekonać, że ostra szarża jazdą nie poradzi z tą tkacką hołotą? Gdy ruszymy na nich murem pancerzy z naszym lasem włóczni, wnet pierzchną jak wróble.

Hrabia chociaż zachlapany błotem prezentował się wspaniale w haftowanej złotem jedwabnej szacie narzuconej na żelazną zbroję. Z pewnością bardziej wyglądał na króla niż sam król. Skuzynowany ze wszystkimi, spowinowacił się z konetabłem, gdy żeniąc się po raz trzeci poślubił pannę de Chatillon.

- Z waszych słów widać, Karolu - odparł Gaucher - że nie było was przed trzynastu laty pod Courtrai. Wojowaliście wtedy w Italii dla papieża. Ja zaś widziałem tę tkacką hołotę, jak ich nazywacie, gdy tratowała naszych rycerzy, którzy się zbyt wysunęli, obalała ich z koni i rznąła nożem mimo zbroi, nie racząc brać jeńców.

- Widać więc, że mnie nie było - rzekł Valois z jemu tylko właściwą pewnością siebie - tym razem, ja tu jestem.

Kanclerz Mornay szepnął do ucha młodego hrabiego de la Marche:

- Niebawem skoczy iskra między waszym stryjem a konetabłem. Niech no tylko staną naprzeciw sobie, a już ich pasja ogarnia, gdy się widzą.

- Deszcz, deszcz - mówił z wściekłością Ludwik X. - Czy już wszystko się na mnie przysięgło?

Słabowite zdrowie, ojciec, którego lodowaty majestat miażdżył go przez dwadzieścia pięć lat, niewierna i rozpustna małżonka, zdradliwi ministrowie, pusty skarb, zbuntowani wasale, głód tejże zimy, gdy objął tron, burza, która o mało nie zabrała mu narzeczonej... Pod jakąż musiał się urodzić dysharmonią planet, zatajoną przez astrologów, skoro spotykał przeszkody na każdym kroku, przy każdej decyzji i wreszcie miałby tu zostać pokonany nawet nie po rycersku w bitwie, lecz przez wodę, przez błoto, w które wpakował się z armią!

W tejże chwili zaanonsowano mu delegację baronów z Szampanii pod

przewodnictwem Etienne'a de Saint-Phalle. Żądała ona rewizji nadanej im w maju karty. Panowie z Szampanii grozili, że opuszczą królewskie wojska, jeżeli nie otrzymają satysfakcji, i to natychmiast.

- W sam raz dzień wybrali! - zawołał król.

- Gdy popuszcza się jedną nić - rzekł Gaucher, kręcąc głową jak żółw - należy się spodziewać, że w ślad za nią pójdzie cały kłębek...

Każda chorągiew królewskiego wojska posiadała oblicze odrębne, zależne tak od charakteru macierzystej prowincji, jak od osobowości wodza. Surowy rygor panował w obozie hrabiego de Poitiers. Namioty stały równym rzędem, warty w regularnych odstępach, ścieżki - o ile było można - oczyszczono i wymieciono. Żywności nie brakło, przynajmniej na razie. Gdy wozy jeły grzęznąć, Poitiers kazał rozdzielić prowiant i obarczyć nim pieszych. Żołnierze najpierw klęli, dziś błogosławili Dostojnego Pana Filipa. Poitiers podobnie jak ład, doceniał komfort. Stu żołnierzy kopało rowy ściekowe, zanim rozbiło jego namiot na podłodze z okrągłaków, gdzie było niemal sucho. Namiot ten, prawie równie obszerny i bogaty jak królewski, zawierał kilka pomieszczeń przedzielonych kotarami.

O tej samej porze, gdy król łązał delegację z Szampanii, Filip de Poitiers, siedząc na polowym fotelu, z mieczem, tarczą i hełmem w zasięgu ręki, rozmawiał spokojnie ze swymi naczelnymi chorążymi.

Zwracając się do giermka ze świty zapytał:

- Heron, czyście przeczytali, jak was o to prosiłem, księgę tego Florentczyka...

- Dantego Alighieri...

- Tak tego... co się tak znęca, jak mi mówiono, nad moją rodziną. Bardzo go popierał Karol Martel Węgierski, ojciec tej księżniczki Klemencji, co niebawem do nas przybędzie królować. Chciałbym wiedzieć, o czym prawi jego dzieło.

- Przeczytałem, Dostojny Panie, przeczytałem - odparł Adam Heron. - Na początku swej komedii ten messer Dante prawi, jak w trzydziestym piątym roku życia zablądził w ciemnym lesie, gdzie tarasują mu drogę straszliwe potwory, po czym messer Dante pojmuje, że odszedł ze świata żywych.

Otoczający hrabiego de Poitiers baronowie spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Brat króla nigdy nie przestawał ich zadziwiać. Oto w środku obozu wojennego, w pełni rozgardiaszu, nie miał innych zmartwień, jak zajmować się poezją, jakby siedział przy kominku w swoim pałacu paryskim.

Intencję jego pojął tylko jeden hrabia d'Evreux, który dobrze znał swego bratanka i z każdym dniem więcej go cenił, odkąd służył pod jego dowództwem: „Filip stara się odwieść swych rycerzy od tej podłej beczynności i zamiast pozwalać im na kłótnie, wiedzie ich w kraj fantastyki, zanim powiedzie do bitwy”.

Już bowiem Anzelm de Joinville, Goyon de Bourcay, Jan de Beaumont, Piotr de Garanciere, Jan de Clermont, siedząc na skrzyniach, z błyszczącym okiem słuchali opowieści giermka Herona, streszczającego dzieło Dantego. Ci surowi mężowie, często grubiańscy w obyczajach, byli

rozmiłowani w tajemniczym, nadprzyrodzonym świecie i zawsze gotowi wierzyć we wszystkie dziwy, urzewały ich legendy. Osobliwy był widok tych odzianych w żelazo rycerzy, którzy z zapartym tchem śledzili uczone alegorie włoskiego poety, pytali o urodę damy Beatrycze, miłowanej tak wielką miłością, drżeli na wspomnienie Franceski da Rimini i Paola Malatesty<sup>9</sup> i naraz parskali śmiechem, bo papież Bonifacy VIII wraz z kilku innymi papieżami smażył się w osiemnastym kręgu piekła w jamie dla oszustów i świętokupców.

- Dobry sposób wynalazł ten pisarz, aby pomścić się na swych wrogach i ulżyć swym żalom - rzekł z uśmiechem Filip de Poitiers. - A gdzie umieścić moich krewniaków?

- W czyścicu, Dostojny Panie - odparł giermek, idąc na ogólne żądanie po tom przepisany na grubym pergaminie.

- Więc przeczytajcie, co o nich napisał, lub raczej przetłumaczcie, bo nie wszyscy znają język Włochów.

- Nie śmiem, Wasza Dostojność...

- Ależ nie bójcie się. Trzeba wiedzieć, co o nas myślą ci, co nas nie lubią.

- Messer Dante baje, że spotkał cień, który srodze jęczy. Pyta go o przyczynę boleści i taką otrzymuje odpowiedź:

*Byłem korzeniem złowrogiego drzewa,  
co cień taki rzuca na chrześcijańską ziemię,  
że zacny owoc rzadko nań dojrzewa.  
Gdybyż mogły Douai, Lille, Gandawa i Brugia  
okrutną zemstą winne by wybuchnąć,  
o zemstę błagam najwyższego sędzie.*

- Ejże! to wydaje się prorocze i całkiem zgadza się z naszą obecną sytuacją - rzekł hrabia de Poitiers. Ten poeta dobrze znał nasze kłopoty z Flandrią. Czytajcie dalej...

*Zwano mnie ongiś Hugonem Kapetem  
I ja splotziłem Ludwików, Filipów,  
co teraz rządzą Francuzów królestwem.  
Otom był synem rzeźnika z Paryża,  
gdy naraz zbrakło wszystkich dawnych królów,  
oprócz jednego, mnicha w szarej szacie...*

- Wierutne kłamstwo - przerwał hrabia de Poitiers prostując długie nogi. - W tamtych czasach puszczo w obieg tę niecną legendę, żeby nam szkodzić. Hugo był diukiem Francji<sup>10</sup>.

W czasie dalszego czytania wciąż komentował spokojnie, niekiedy z ironią, napaści włoskiego poety - już sławnego w swej ojczyźnie - na królewską dynastię. Dante oskarżał Karola Andegaweńskiego, brata Ludwika Świętego, nie tylko o zamordowanie prawego następcy tronu Neapolu, lecz także o nakaz otrucia świętego Tomasza z Akwinu.

- Oto dostało się także i naszym kuzynom Andegaweńskim - rzekł

półgłosem hrabia de Poitiers.

Atoli Dante najgwałtowniej zaatakował księcia francuskiego i dla niego zachował najgorsze przekleństwa. Był nim inny Karol, który splądrował Florencję i przeszył jej łono „włócznią, którą Judasz walczył”.

- Ejże, przecież tu chodzi o mego stryja Valois i jego słynną krucjatę toskańską, kiedy to był wikariuszem generalnym Chrześcijaństwa! Oto powód tak srogiego odwetu. Zdaje się, że Dostojny Pan Karol pozyskał nam w Italii dobrych przyjaciół<sup>11</sup>.

Zebrani spojrzeli po sobie nie wiedząc, jak się zachować. Ale zobaczyli, że Filip de Poitiers z uśmiechem gładzi twarz długą, bladą ręką. Wtedy odważyli się roześmiać. Otoczenie hrabiego de Poitiers nie wielbiło wcale Dostojnego Pana de Valois...

Nie tylko poeta Dante nienawidził książąt panujących we Francji. Mieli oni wrogów równie zaciętych nawet w szeregach armii.

O dwieście kroków od książęcego namiotu hrabiego de Poitiers, w połowym namiocie rycerzy z hrabstwa Burgundii, pan de Longwy, niski mężczyzna o twarzy suchej i surowej, rozmawiał z człowiekiem dziwacznie odzianym na poły jak mnich, na poły jak żołnierz.

- Dobre wieści przynieśliście mi z Hiszpanii, bracie Evrard - mówił Jan de Longwy - miło mi słyszeć, że nasi bracia z Kastylii i Aragonii odzyskali swe komandorie. Szczęśliwsi są od nas, bo my nadal musimy działać w ukryciu.

Jan de Longwy był siostrzeńcem wielkiego mistrza templariuszy, Jakuba de Molay, i uważał się za jego spadkobiercę i następcę. Przysiągł pomścić krew wuja i oczyścić jego pamięć; przedwczesna śmierć Filipa Pięknego, wypełniając słynne potrójne przekleństwo, nie ugasiła jego nienawiści; przeniósł ją na spadkobierców Króla z Żelaza, na Ludwika X, na Filipa de Poitiers i Karola de la Marche. Przyczyniał koronie wszelakich, jakich mógł kłopotów, walczył w ligach baronów, a jednocześnie usiłował potajemnie wskrzesić zakon templariuszy, zachowując łączność z braćmi, którzy uszli, i każąc się im uznać za wielkiego mistrza<sup>12</sup>.

- Bardzo pragnę klęski króla Francji - podjął - przybyłem na tę wyprawę li tylko z nadzieją, że ujrzę jak on i jego bracia padną pod ciosami miecza.

Chudy, z blisko osadzonymi czarnymi oczami, kulawy na skutek tortur, były templariusz Evrard odpowiedział:

- Oby Bóg wysłuchał waszych modłów, mistrzu Janie, jeśli to możliwe, a jak nie, to choćby diabeł.

- Nie nazywajcie mnie tutaj mistrzem - rzekł Longwy.

Gwałtownie uniósł zasłonę, by się przekonać, czy nikt ich nie szpieguje, i odprawił do jakichś robót dwóch stajennych, których jedyną przewiną było ukrycie się przed deszczem pod daszkiem namiotu. Następnie wrócił do Evrarda:

- Niczego nie możemy się spodziewać po koronie francuskiej: lecz od nowo obranego papieża będzie zależało wskrzeszenie Zakonu i oddanie nam naszych komandorii tu i za morzem. Ach! szczęśny to będzie dzień, bracie Evrard!

Przed ośmiu zaledwie laty nastąpił upadek Zakonu, rozwiązano go jeszcze później, upłynęło nie więcej niż szesnaście miesięcy, gdy zginął na



stosie Jakub de Molay. Świeże były wszystkie wspomnienia, nadzieje nie wygasły. Longwy i Evrard mogli jeszcze marzyć.

- Więc, bracie Evrard - podjął Longwy - udacie się teraz do Bar-sur-Aube, tam jałmużnik hrabiego de Bar, który nam dość sprzyja, zatrudni was jako skrybę, abyście nie musieli się dłużej ukrywać. Później pojedziecie do Awinionu, gdzie, jak mi wiadomo, kardynał Dueze, kreatura Klemensa V, ma znów poważne dane, aby zostać wybrany, a tego winniśmy uniknąć za wszelką cenę. Odnajdziesz kardynała Gaetaniego, on też postanowił pomścić swego stryja, papieża Bonifacego.

- Ręczę, że powita mnie życzliwie, skoro się dowie, że pomogłem wyprawić na tamten świat Nogareta. Ligę bratanków tworzycie!

- Właśnie, Evrard, właśnie. Zobaczycie się więc z Gaetanem, i powiecie mu, że nasi bracia z Hiszpanii i Anglii, i wszyscy, którzy się ukrywają we Francji, pragną go i wybierają w swym sercu na papieża. Gotowi są go wesprzeć nie tylko modlitwą, lecz i na wszelki inny sposób. Wypowiadam się w ich imieniu. Będziecie posłuszni kardynałowi we wszystkim, czego od was zażąda... Tam zobaczcie się także z bratem Janem du Pre, może on wam bardzo pomóc. Po drodze nie omieszkajcie dowiedzieć się, czy nie ma w okolicy naszych braci. Starajcie się zbierać ich w małe kompanie i kazać im powtórzyć znaną wam przysięgę. Idźcie, bracie, ten glejt wystawiony na imię brata-jałmużnika z mojej chorągwi pomoże wam wyjść z obozu bez przesłuchania.

Podał dokument, który były templariusz schował pod skórzany kubrak, okrywający po biodra jego wełniany habit.

- Na pewno brak wam denarów! - spytał jeszcze Longwy.

- Tak, mistrzu.

Longwy wyjął z sakiewki dwie srebrne monety. Evrard pocałował go w rękę i kulejąc odszedł w deszcz.

Gdy mijał chorągiew królewską, usłyszał na ścieżce krzyki i śmiechy. Rozchełstana kobieta kryjąc czerwone włosy pod zadartą spódnicą, biegała między dwoma namiotami ścigana przez drwiących żołnierzy. Na tyle krytej koleby druga ladacznica uprawiała swój zawód. Evrard zatrzymał się i z wykręconą nogą znieruchomiał na chwilę, wczuwając się we własne pożądanie. Rzadko trafiała się sposobność oddania się żądzy cielesnej. Do wahania skłaniało go nie tyle wydanie na tego rodzaju cel obola mistrza Jana, ile czas, jaki upłynął między darem a jego spożytkowaniem. Dalszą drogę odbędzie po żebrach. Z dobrego serca częściej dostaje się chleb niż rozkosz. Już sunął do koleby rozpustnic...

Tuż obok wznosił się wysoki, czerwony namiot haftowany w trzy zamki herbu Artois, lecz powiewała nad nim chorągiew z Conches.

Obozy Filipa de Poitiers i Roberta d'Artois w niczym nie były do siebie podobne. Tutaj mimo deszczu panowały ruch, gorączka, zgiełk, krzątanie w tym powszechnym bałaganie aż jakby celowym. Plac wyglądał raczej na targowisko pod gołym niebem niż na obóz wojenny. Odór mokrej skóry, skwaśniałego wina, gnoju i kału kręcił po trosze w nosie.

D'Artois wynajął kupcom towarzyszącym armii część terenu wyznaczonego chorągwi. Musiał tu przyjść każdy, kto chciał kupić nowy pas, zmienić sprzączkę przy hełmie, sprawić sobie stalowe nałokcice, lub

po prostu łyknąć kubek cienkusa czy galijskiego piwa. Bezczytność skłania żołnierza do wydatków. Jarmark odbywał się przed namiotem pana Roberta, ten zaś postarał się ściągnąć do swego kąta gamratki, by móc szczerze dogadzać swym przyjaciółom.

Usunięto natomiast łuczników, kuszników, koniuchów, zbrojnych pacholców i ciurów, którzy chronili się w zbudowanych przez siebie szałasach albo pod wozami.

W czerwonym namiocie nie rozmawiano wcale o poezji. Z beczki bez przerwy lało się wino, dzbany krążyły wśród ogólnej wrzawy, kości toczyły się po wiekach skrzyń, za przegraną ręczyło się słowem i niejeden rycerz już stracił tyle, ile kosztowałyby w bitwie jego okup.

Chociaż Robert dowodził tylko zastępami z Conches i z Beaumont-le-Roger, wielu rycerzy z Artois, z chorągwi hrabiny Mahaut, stale u niego przebywało, mimo że nie miało tu nic do roboty w zakresie spraw wojskowych.

Robert d'Artois, oparty o środkowy maszt, olbrzymim wzrostem górował nad tym hałaśliwym tłumem. Z nosem krótkim, policzkami szerszymi od czoła i lwią grzywą odrzuconą w tył na czerwonej szacie, bawił się niedbale buławą. Jednakże rysa pękła w duszy olbrzyma, nie bez powodu chciał odurzyć się winem i zgiełkiem.

- Moim to te bitwy flandryjskie wcale nie służą - zwierzał się otaczającym go baronom: - Ojciec mój, hrabia Filip, którego wielu z was znało i wiernie mu służyło...

- Tak, - znaliśmy go! To był cny rycerz, prawdziwy chwyt! - odpowiedzieli baronowie z Artois.

- ...ojciec mój został śmiertelnie ranny w bitwie pod Furnes. Jesteśmy w jego namiocie - mówił Robert zataczając półkole ręką przy tych słowach. - A mój dziad, hrabia Robert...

- Ach! to bohater... to był prawy suzeren! On to szanował nasze zacne tradycje!... O sprawiedliwość nigdy się go nie prosiło na próżno...

- Cztery lata po tym już trup, przebity pod Courtrai. Dwóch nigdy nie odchodzi bez trzeciego. Jutro być może, moi panowie, złożycie mnie do ziemi.

Dwa są rodzaje przesądnych. Jedni nigdy nie wzmiankują o nieszczęściu, bojąc się je przyciągnąć, a inni wierzą, że go unikną składając mu haracz w słowach. Robert d'Artois należał do tej drugiej grupy.

- Caumont, nalej mi jeszcze kubek i pijmy za mój ostatni dzień - zawołał.

- Nie chcemy wcale! Zasłonimy was własnym ciałem - odparli rycerze z Artois. - Kto oprócz was broni naszych praw?

Uważali go za swego właściwego suzerena i poniekąd ubóstwiali za wzrost, siłę, apetyt, szczodrość. Wszyscy marzyli, by się do niego upodobnić, wszyscy się starali jego naśladować.

- Widzicie więc, moi zacni panowie - podjął - jaka czeka nagroda za tyle krwi przelanej za królestwo. Ponieważ dziad mój umarł po moim ojcu... tak, z tego powodu... król Filip skorzystał z okazji, aby mnie wyzuczyć z dziedzictwa i oddać Artois mojej stryjnie Mahaut, która was tak łaskawie traktuje przy pomocy wszystkich swoich Hirsonów, kanclerza, skarbnika i

całej reszty, którzy was gnębią daninami i odmawiają wam waszych praw.

- Jeśli jutro ruszymy do bitwy, a jakiś Hirson nawinie się mnie pod włócznię, przyrzekam mu cios, który niekoniecznie zadadzą mu Flamandowie - oświadczył chwał o krzaczastych, rudych brwiach, pan de Souastre.

Robert d'Artois, chociaż tego pił, zachowywał głowę trzeźwą. Olbrzym nie na darmo częstował winem, podsuwał dziwki, wyrzucał tyle pieniędzy; pracował, by pchnąć własne sprawy.

- Moi szlachetni panowie - mówił - moi szlachetni panowie, przede wszystkim wojna za króla. Jesteśmy jego lojalnymi poddanymi, a jak na razie, zapewniam was, całkiem go pozyskaliście waszym słusznym skargom. Ale niechże się skończy wojna, moi panowie, wtedy radzę wam nie odkładać mieczy. Macie dobrą okazję będąc w kupie wraz z waszymi wszystkimi ludźmi. Wracajcie do Artois i rozjeżdżajcie po kraju, wypędzajcie pacholków Mahaut, chłószczcie ich po tyłkach na rynku. A ja was poprę w Izbie Królewskiej i wznowię, jeśli trzeba, mój proces, odwołam się od obraźliwego dla mnie wyroku i obiecuję przywrócić wasze obyczaje, jakie panowały za czasów moich ojców.

- Tak zrobimy, panie Robercie, tak zrobimy.

Souastre otworzył ramiona.

- Przysięgamy - zawołał - nie rozstawać się, aż nie uczynią zadość naszym prośbom i nie oddadzą nam naszego zacnego Pana Roberta, jako naszego hrabiego.

- Przysięgamy - powtórzyli baronowie.

Obejmowali się, ściskali, połało się wino. Zapalono pochodnie, bo już zapadał zmierzch. Robert cieszył się widząc ligę z Artois, którą podjudził, tak skorą do czynu. Naprawdę byłoby głupio umierać nazajutrz...

W tejże chwili wszedł do namiotu giermek mówiąc:

- Dostojny Panie Robercie, król wzywa natychmiast dowódców chorągwi!

Kiedy d'Artois nie spiesząc się wszedł do królewskiego namiotu, większość wielkich panów już tu zasiadła kręgiem i słuchała konetabla.

Od tygodnia wielu nie myło się ani goliło. Zazwyczaj nigdy tak długo nie obyliby się bez łaźni. Ale brud stanowi część wojny.

Znużony udzielaniem wciąż tych samych oczywistych wyjaśnień Gaucher de Chatillon mówił zwięźle i prawie niegrzecznie wobec monarchy. Stanowczo mu nie odpowiadał ten malowany król, który sam rozstrzygał sprawy zasługujące na rozpatrzenie przez Radę, a naradzał się, gdy powinien był sam rozkazywać. Gaucher nawykł do innych metod, gdy dowództwo nad wojskiem nie stanowiło przedmiotu dyskusji.

Valois, rozkładając na kolanach jedwabną niebieską szatę, jał perorować.

- To prawda, Miłościwy Panie Bratanku, co stwierdził Gaucher, nie możemy nadal tkwić w tym miejscu, gdzie wszystko niszczy, duch ludzki i sierść końska. Bezczynność nam tyleż szkodzi, ile deszcz...

Zamilkł, bo król odwrócił się i coś mówił do Mateusza de Trye, swego szambelana. Kłótlivy żądał tylko czarki z konfektami; kłopoty wzbudzały w nim chęć possać lub schrupać trochę słodczy.

- Proszę was, mój stryju, mówcie dalej - rzekł.

- Trzeba jutro wyruszyć wczesnym rankiem - podjął Valois - znaleźć bród w górze rzeki i rzucić się na Flamandów, aby ich stratować przed wieczorem.

- Z ludźmi bez jadła, końmi bez obroku? - spytał konetabl.

- Zwycięstwo napelni im brzuchy. Mogą jeszcze przetrzymać jeden dzień; dopiero nazajutrz będzie za późno!

- A ja wam powiadam, że was wytną w pień albo utopia. Wierzajcie, trzeba wycofać armię na wyżynę koło Fournai czy Saint-Amand, zaczekać, aż dotrze mięsiwo, spłyną wody...

- Wyraźnie widać, kuzynie - rzekł Valois - że pobieracie sto liwrów dziennie, kiedy król jedzie z wojskiem, i niezbyt troszczy się o koniec wojny.

Ton miał być przekorny, lecz zraniony do żywego konetabl odpowiedział:

- Mam obowiązek przypomnieć wam, kuzynie, że sam król nie może ruszyć na wroga, dopóki konetabl nie wyda rozkazu. A tego rozkazu, w obecnym stanie ja nie wydam. Po czym król zawsze jest władny zmienić konetabla.

Nastąpiło przykre milczenie. Sprawa przybrała zły obrót. Czy Ludwik X, aby schlebić Valois, odwoła naczelnego wodza, jak był usunął Marigny'ego i wszystkich legistów Filipa Pięknego?

Hrabia de Poitiers wmieszał się niezwłocznie:

- Mój bracie, w pełni popieram radę Gauchera. Nasze zastępy nie są w stanie walczyć nie okrzepnąwszy przez dobry tydzień.

- Takie również i moje zdanie - rzekł hrabia Ludwik d'Evreux.

- Więc nigdy się nie ukarze tych Flamandów - krzyknął Karol de la Marche, który lubował się w naśladowaniu Valois.

Konetabl spojrział pogardliwie na najmłodszego brata króla. Przemówiło „pisklątko”, jak zwała go rodzona matka, królowa Joanna.

Po czym hrabia Szampanii oznajmił, że odejdzie, o ile nazajutrz nie wyda się bitwy; jego rycerze zbyt się gorączkują, a w ogóle zwołał ich tylko na dwa tygodnie.

Valois rozłożył upierścienioną rękę, jakby mówił „oto widzicie”, lecz już wydawał się mniej pewny siebie i jedynie ambicja nie zezwalała mu wycofać wojowniczych poglądów.

- Odwrót lub klęskę mamy do wyboru, Sire - rzekł Gaucher.

Król, wciąż nie okazywał, po jakiej opowie się stronie. Ta cała wyprawa miała dlań sens, o ile prędko by się zakończyła. Powziąć rozsądną decyzję, gdzie indziej się przegrupować, czekać, oznaczałoby odsunąć na tyleż czasu ślub i jeszcze więcej obciążyć skarb. Zaś pomysł przejścia wezbranej rzeki, szarży cwałem po błocku...

Właściwie myślał, że nie będzie zmuszony do szarży, a Flamandowie ustąpią na sam widok tak olbrzymich wojsk.

Robert d'Artois, który siedział za Valois, pochylił się ku hrabiemu i szepnął mu kilka słów. Valois kiwnął głową z obojętną miną. Niech się dzieje, co chce, on się wycofuje z dyskusji.

Wtedy Robert powstał, postąpił trzy kroki naprzód, by mówić wyraźniej nad zebranymi.

- Miłościwy Panie Kuzynie - powiedział - domyślam się waszej troski. Nie macie dość pieniędzy aby trzymać w bezczynności tak wielkie wojska. Poza tym czeka na was przysła małżonka. Nam wszystkim spieszno ją zobaczyć jako królową, jak spieszno nam zobaczyć was w koronie. Moja rada: nie trzeba się upierać. To nie wróg was zmusza do odwrotu, to ten deszcz, w którym widzę wolę Bożą, przed którą każdy, jakkolwiek by nie był potężny, winien się ugiąć. Nasz Pan wam daje niewątpliwy znak, aby nie walczyć przed namaszczeniem Świętymi Olejami. Tyleż da wam sławy piękna koronacja, ile śmiała bitwa. Zaniechajcie więc na razie ukarania tych podłych Flamandów, a jak nie wystarczy strach, jaki w nich wzbudziliście, powrócimy równie liczni z najbliższą wiosną.

W ślepym zaułku, w jakim dreptano, to radykalne rozstrzygnięcie - zaniechanie wojny zaproponowane przez człowieka, którego nie można było posądzać o brak odwagi wojskowej, uzyskało poparcie większości baronów, a przede wszystkim samego króla. Raz jeszcze okazując swój brak powściągliwości Ludwik X rzucił się z pośpiechem i wdzięcznością do furtki, którą mu wskazał d'Artois.

- Mój kuzynie, mądrzeście powiedzieli - oświadczył. - Niebo nam daje swój znak. Niech armia wraca, skoro nie może ścigać.

Później dorzucił podnosząc głos, by dodać sobie majestatu.

- Lecz przysięgam na Boga, jeśli jeszcze żyw będę w przyszłym roku, najadę Flamandów i nie zawrę z nimi żadnej ugody, póki we wszystkim nie zdadzą się na moją łaskę.

I już myślał tylko o powrocie. Konetabl i Filip de Poitiers długo musieli nalegać, aby go przekonać, że należy wydać choćby niezbędne rozkazy i utrzymać przynajmniej kilka garnizonów wzdłuż granicy z Flandrią. Już ich nie słyszał, już wyjechał.

Valois w tej rozsypce wyszedł na swoje. Utrzymał małym kosztem rozgłos bohatera. D'Artois jeszcze więcej skorzystał; chybiona wojna przysłużyła się jego lidze.

Pośpiech króla był tak wielki, aż stał się zaraźliwy i nazajutrz rano z braku wozów i nie mogąc wydobyć z błota całego rynsztunku, podłożono ogień pod namioty, pod sprzęty, pod ekwipunek. Tak się wyładowała żądza zniszczenia.

Pozostały za wojskiem na rozległych przestrzeniach dymiące zgliszcza, które walczyły z nieustannym deszczem, zaś armia ochwacona i wygłodniała stanęła już pod wieczór przed Tournai. Prerażeni mieszkańcy zamknęli bramy miasta. Nie zażądano, by je otwarli. Król udał się w gościnę do klasztoru.

W dwa dni później, 7 sierpnia, przybył do Soissons, gdzie podpisał zarządzenia, które kładły kres wyprawie... Obarczył Valois przygotowaniem do koronacji i wysłał Filipa de Poitiers do Saint-Denis, aby oddał w opactwie oriflammę, a wziął stamtąd miecz i koronę. Książęta mieli spotkać się między Reims a Troyes, by udać się na powitanie Klemencji Węgierskiej.

Dwa tygodnie wystarczyły Ludwikowi Kłótliwemu, by dołożył trwałą niesławę wyprawy pod swoją wodzą do darów ślubnych na drugie wesele. Wojna ta otrzymała na zawsze nazwę bagiennej wyprawy.



## VII

### Napój miłosny

Na wielki podwórzec pałacu Artois przy ulicy Mauconseil wjechała lekka lektyka unoszona przez dwa muły. Biegli przed nią dwaj gońcy. Z pudła wysiadła Beatrycze d'Hirson. Była to bratanica kanclerza z Artois, a zarazem panna dworu hrabiny Mahaut. Nikt by nie pomyślał, że ta piękna, ciemnowłosa dziewczyna w dwa dni przebyła aż czterdzieści mil. Suknia jej była ledwie zmięta, a twarz gładka i świeża jakby przed chwilą zbudziła się ze snu. Przespała zresztą część drogi, ciepło przykryta w kołyszącej się lektyce. Dumnie wyprostowana, długonoga, szła krokiem, który wydawał się powolny, gdyż był długi i miarowy. Udała się wprost do swej pani. Hrabina siedziała za stołem przy drugim posiłku, który jadła około tercji.

- Załatwione, Dostojna Pani - rzekła Beatrycze podając hrabinie malutkie pudełeczko z rogu.

- Jak się czuje moja córka, no, jak Joanna?

Panna dworu mówiła głosem powolnym, nosowym, jakby ironicznym, nawet gdy nie było powodu do ironii. Robiła przerwy w miejscach całkiem nieoczekiwanych.

- Hrabina de Poitiers czuje się dobrze, Dostojna Pani... tak dobrze, jak to jest tylko możliwe. Pobyt w Dourdan nie jest dla niej zbyt przykry... zjednała sobie strażników. Cerę ma świeżą i tylko trochę schudła. Nadzieja ją podtrzymuje... i wasza troska o nią.

- A jej włosy? - zapytała hrabina.

- Zwyczajnie, jak odrastają po roku, Dostojna Pani... jeszcze nie tak długie jak u mężczyzny, ale zdaje się rosnąć bardziej proste, niż dawniej.

- Ostatecznie czy nadaje się do pokazania?

- Z podwiką wokół twarzy na pewno. A zresztą może przypiąć fałszywe włosy.

- Fałszywych włosów nie wkłada się idąc do łóżka - rzekła Mahaut.

Skończyła łąpczywie zjadać grochówkę ze słoniną i żeby przepłukać gardło zapiała kubkiem wina z Artois. Następnie otworzyła rogowe pudełeczko i popatrzyła na leżący w nim szary proszek.

- Ile mnie to kosztuje?

- Dwadzieścia dwa liwry.

- Zaraza! Czarownice drogo każą sobie płacić za swoją sztukę.

- Grubo się narażają.

- A ile wzięłaś dla siebie ponadto?

- Prawie nic, Dostojna Pani... Akurat tyle, żeby sobie kupić tę szkarłatną suknię, którą mnie obiecywałyście... i której wcale nie dostałam.

Hrabina Mahaut nie mogła powstrzymać uśmiechu, ta dziewczyna potrafiła ją ująć.

- Na pewno masz pusto w brzuchu, popróbuj tego pasztetu z kaczki -

powiedziała nakładając sobie grubą pajdę.

Później dorzuciła patrząc na pudełeczko:

- W moce trucizny, żeby pozbyć się wroga, to ja wierzę, ale nie we filtry miłosne, żeby sobie zjednać przeciwnika. Twój to pomysł, a nie mój.

- A jednakże zapewniam was, Dostojna Pani, trzeba w nie wierzyć - odpowiedziała Beatrycze. - Ten oto jest bardzo skuteczny, nie jest sporządzony z baraniego mózgu... lecz wyłącznie z ziół i przy mnie zrobiony. Pojechałam więc do Dourdan i pobrałam miarkę krwi z prawego ramienia Pani Joanny. Później zaniósłam tę krew kobiecie, o której wam mówiłam, Izabeli de Feriennes... Ona ją zmieszała z werbeną, lubczykiem i konwalia<sup>13</sup>, i ta Feriennes wymówiła zaklęcie, położyła mieszankę na nowej cegle i spaliła wraz z gałązką jesionową, żeby otrzymać ten proszek, który wam przyniosłam. Teraz pozostaje tylko wsypać go do napoju i podać hrabiemu de Poitiers, i zobaczycie, że wkrótce ogarnie go ponownie miłość do żony... z taką siłą, że nic jej nie zdoła pohamować. Czy nadal zamierza on was odwiedzić dziś rano?

- Oczekuję go. Wrócił wczoraj wieczorem z wyprawy i prosiłam, żeby się ze mną zobaczył.

- Więc zaraz zmieszam filtr z hypokrasem, którym go poczęstujecie. Hypokras to wino ciemne i korzenne, dokładnie skryje proszek. Ale radzę wam, Dostojna Pani... połóżcie się do łóżka i udawajcie chorą, żeby wymówić się od wypicia, bo nie należy wam próbować tego napoju... i was by ogarnęła miłość do waszej pani córki.

- W każdym razie dobry pomysł przyjąć go leżąc i udawać chorą. Można mówić bardziej bezpośrednio.

Kazała zabrać stół, zażądała nocnej szaty i położyła się do łóżka. Później wezwała do siebie swego kanclerza Thierry d'Hirsona oraz mieszkającego u niej Henryka de Sully, ciotecznego brata. Wraz z nimi omawiała sprawy swego hrabstwa.

Nieco później zaanonsowano hrabiego de Poitiers. Wszedł wysoki, jak zawsze ciemno odziany, na swych bocianich nogach miał buty z miękkiej skóry, a na lekko pochylonej głowie kaptur z ogonem.

- Ach mój zięciu - zawołała Mahaut, jakby się jej ukazał Zbawiciel. - Takam rada z waszych odwiedzin. Czy wiecie, czym się zajmowałam? Kazałam odczytać mi wykaz mych majątkości, żeby podyktować ostatnią wolę. Przeżyłam najgorszą noc w moim życiu, lęk przed śmiercią skręcał mi wnętrzności. Bardzo się bałam, że skonam, zanim się wam zwierzę z mych myśli, bo mimo wszystko kocham was matczynym sercem.

Aby odczynić skutki wygłoszonych przed chwilą kłamstw, wyjęła i pobożnie ucałowała relikwiarzyk w kształcie medalionu na złotym łańcuchu, który nosiła na piersi.

- Niech mnie strzeże święty Druon<sup>14</sup> - rzekła wsuwając medalion pod szeroki stanik.

Mahaut wygodnie usadowiona wśród brokatowych poduszeczek, z okrągłymi, rumianymi policzkami, szerokimi ramionami i mięsistymi rękoma wyglądała jak okaz zdrowia. Co najwyżej należałoby może upuścić jej jedną lub dwie pinty<sup>15</sup> krwi.

„Za chwilę odegra przede mną komedię - pomyślał Filip de Poitiers. - Z

charakteru i wyglądu kropka w kropkę przypomina Roberta. Nienawidzą się, bo są za bardzo do siebie podobni. Ręczę, że zaraz będzie o nim mówiła”.

Nie mylił się. Mahaut wnet jęła łajać tego podłego bratanka, jego poczynania, intrygi i ligę, którą przeciw niej podjudzał. Dla Mahaut jak i dla Roberta wszystkie sprawy świata krzyżowały się w hrabstwie Artois, o które wiedli spór od trzynastu lat. Ich myśli, postępowanie, przyjaźnie, sojusze, a nawet ich miłostki wiązały się zawsze w jakiś sposób z tą walką. Jedno przystępowało do jakiegoś klanu, bo drugie należało do klanu przeciwnego. Robert bronił królewskiego dekretu, bo Mahaut go nie pochwałała. Mahaut była już z góry niechętna Klemencji Węgierskiej, bo Robert właśnie poparł małżeństwo. Ta nienawiść nie dopuszczała do jakiegokolwiek pojednania, do jakiegokolwiek ugody, przekraczała przedmiot sporu i można by było rozważać, czy między olbrzymką a olbrzymem nie istniała poniekąd opaczna namiętność nie uświadomiona przez nich samych, a którą raczej zaspokoiłoby kazirodztwo a nie wojna.

- Wszystkie jego łotrostwa przyspieszają mój zgon - mówiła Mahaut. - Dowiedziałam się, że sprzysięgli się przeciw mnie moi własni wasale, zebrani przez Roberta. To we mnie tak poruszyło humory, że doprowadziło do obecnego stanu.

- Zaprzysięgli mi śmierć, Dostojny Panie - rzekł Thierry d'Hirson.

Filip de Poitiers zwrócił się do kanonika-kanclerza i zobaczył, że to on był błydy ze strachu, a nie Mahaut.

- Już wybierałam się na wyprawę, żeby zaprowadzić porządek w moich hufcach - podjęła Mahaut - jak widzicie, kazałam wydobyć ryszunek wojenny.

Wskazała na kąt pokoju, gdzie stał olbrzymi manekin odziany w długą suknię ze stalowych kółek z narzuconą jedwabną szatą haftowaną w herby Artois, obok leżały rękawice i hełm.

Mahaut westchnęła. Żałowała straconej okazji. Jak mężczyzna lubiła się przebierać w strój rycerski.

- A później dowiedziałam się o zakończeniu tej sławnej kawalkady, w której królestwo straciło i pieniądze, i honor. Ach! można by rzec, że fortuna nie sprzyja waszemu biednemu bratu, do czegokolwiek się weźmie, idzie mu na opak. Zaprawdę, mówię wam, co myślę, wy bylibyście znacznie lepszym królem niż on i wielka strata dla wszystkich, mój zięciu, że urodziliście się drugim z kolei. Wasz ojciec, świeć Panie nad jego duszą, nieraz nad tym wzdychał.

Po skandalu w wieży Nesle i uwięzieniu Joanny w Dourdan Filip widywał swą teściową tylko podczas dworskich uroczystości, jak na przykład na pogrzebie Filipa Pięknego albo na obradach Izby Parów, ale nigdy prywatnie. Traktowali się ozięble. Powód musiał być dla niej ważki, skoro Mahaut pragnęła nawiązać stosunki i nie znała miary w komplementach. Poprosiła zięcia, by usiadł bliżej łóżka. Hirson i Sully wycofali się do drzwi.

- Ależ nie, zacni przyjaciele, wcale nie przeszkadzacie, wiecie dobrze, że nie mam przed wami żadnych sekretów - zwróciła się do nich.

Równocześnie palcami dawała znak, żeby wyszli z pokoju.



Nie było wówczas zwyczaju u wielkich panów przyjmować gości sam na sam. Krewni, domownicy, wasale, słudzy, stale przebywali w ich apartamentach lub krążyli po pokojach. Rozmowy toczyły się na oczach wszystkich albo przynajmniej w obecności pokojowca lub dwórki. Stąd konieczność aluzji, półsłówek. Jeśli dwaj główni rozmówcy odchodzili do wnęki okiennej, żeby rozmawiać szeptem, ludzie ze świty udawali obojętność, lecz łatwo czuli się dotknięci i zaniepokojeni. Każda rozmowa przy drzwiach zamkniętych przybierała wygląd spisku. I właśnie ów wygląd hrabina Mahaut chciała nadać swej rozmowie z hrabią de Poitiers, choćby dlatego by go trochę skompromitować i wciągnąć głębiej w swe rozgrywki.

Gdy zostali sami, wnet spytała:

- Jakie życie uczucia do mojej córki Joanny?

Ponieważ wahał się z odpowiedzią, rozpoczęła mowę obrończą. Oczywiście, Joanna popełniła błędy, nawet wielkie błędy, nie informując męża o zdróżnych miłostkach, które zniesławiły królewską rodzinę, i przez to stała się współwinna skandalu... z własnej woli, nie z własnej woli... któż może powiedzieć... Ale osobiście nie zgrzeszyła ciałem, nie zdradziła męża. Wszyscy to przyznawali; nawet sam król Filip, chociaż tak rozgniewany, był tego pewny, ponieważ wyznaczył osobną rezydencję Joannie i nigdy nie wzmiankował, że odosobnienie będzie dożywotnie...

- Wiem, byłem na radzie w Maubuisson - rzekł hrabia de Poitiers pragnąc uciąć te gorzkie wspomnienia.

- Jakże Joanna mogłaby was zdradzić, Filipie? Ona was kocha. Kocha tylko was. Wystarczy wam przypomnieć sobie jej okrzyki, kiedy ją uwozili w czarnym wozie: „Powiedźcie, Dostojnemu Panu Filipowi, że jestem niewinna”. Jeszcze mi się serce kraje, mnie, matce, zem musiała być przy tym obecna. A oto przebywa w Dourdan już od piętnastu miesięcy i ani słówka na was, nic tylko słowa miłości i modlitwy do Boga, żeby odzyskać wasze serce, wiem to od jej spowiednika. Zapewniam was, że macie w niej żonę bardziej wierną, bardziej oddaną niż wiele innych, a która surowo została ukarana.

Zrzucała wszystkie winy, całą odpowiedzialność na Małgorzatę Burgundzką, z tym czystszy sumieniem, że po pierwsze Małgorzata nie należała do jej bliskiej rodziny, a po drugie już nie żyła. To Małgorzata, ta grzesznica, bezwstydną kurwa. To Małgorzata namówiła Blanę, biedne, nieświadome dziecko; to ona nadużyła ufności Joanny... Zresztą czy i samej Małgorzaty nie należało by poniekąd usprawiedliwić? Nadzieja, że będzie królową Nawarry nie starczy za wszystko. Jakaż kobieta nie martwiłaby się mężem, za którego ją wydano. Mahaut na ostatek zauważyła, że sam Kłótlivy w pierwszym rzędzie ponosi odpowiedzialność za swe niepowodzenie.

- Zdaje się, że wasz brat nie ma tego członka?

- Zawsze mnie zapewniano odwrotnie, że z tym jest u niego całkiem jak należy, chociaż może jest zbyt płochliwy lub za gwałtowny w tej materii... lecz nic mu nie stoi na przeszkodzie - odpowiedział hrabia de Poitiers.

- Nie zwierzały się wam kobiety, jak mnie - odparła Mahaut.

Podniosła się ogromna na swych poduszkach, spojrzała prosto w oczy

zięcia i rzekła:

- Filipie, mówmy szczerze. Czy sądzicie, że następczyni, mała Joanna Nawarry, to jego córka czy od kawalera Małgorzaty?

Filip de Poitiers przez chwilę tarł podbródek.

- Stryj Karol de Valois twierdzi, że jest bękartem - odrzekł - a i sam Ludwik przez sposób, w jaki ją oddalił, zdaje się to potwierdzać. Inni, jak stryj d'Evreux czy oczywiście diuk Burgundii, uważają ją za dziecko prawe.

- Gdyby się Ludwikowi zdarzyło nieszczęście, nie cieszy się bowiem dobrym zdrowiem, wy bylibyście w takim razie drugim z kolei następcą. Ale jeśliby małą Joannę uznano za bękarta, jak wszyscy możemy sądzić - to wy bylibyście pierwszym i wam by należał się tron. Stworzeni jesteście na króla, Filipie.

- Przyszła małżonka, która z Neapolu przybywa do Ludwika, obdarzy go może następcą?

- Jeśli płodzić potrafi. Albo jeżeli Bóg mu udzieli na to czasu - powiedziała Mahaut wyraźnie akcentując ostatnie słowa.

W tejże chwili weszła Beatrycze d'Hirson niosąc tacę z cyzelowanym dzbanem, pucharkami ze złoconego srebra i czarą pełną osmażanych w cukrze migdałów. Mahaut drgnęła zniecierpliwiona. Przerwa była niepożądana. Ale niezakłopotana panna dworu bez pośpiechu napełniła pucharki i podała hrabiemu de Poitiers hypokras oraz migdały. Mahaut machinalnie sięgnęła ręką po pucharek. Beatrycze spojrzała na nią w taki sposób, że się pohamowała, mówiąc:

- Nie, jestem zbyt chora, mdli mnie koło serca.

Poitiers zastanawiał się. W ostatnich miesiącach nie omieszkął sam rozmyślać o ewentualnym następstwie. Mahaut wyraźnie mu proponowała sojusz i poparcie, gdyby Ludwik zszedł z tego świata.

Beatrycze d'Hirson wyszła.

- Ach! Filipie ocalcie od śmierci moją córkę Joannę; zaklinam was - nagle krzyknęła z patosem Mahaut. - Ona wcale nie zasłużyła na taki los!

- Lecz kto jej zagraża? - zapytał Poitiers.

- Robert, stale on - odparła. - Dowiedziałam się, że był w zмовie z waszą siostrą Izabelą i wspólnie uknuli zgubę moich córek i Małgorzaty... Widziałam tego łotra, ot tu, gdzie siedzicie, gdy osobiście mi oznajmiał o moim nieszczęściu i to z miną pełną litości. A ja uwierzyłam w jego szczerłość. Oblizywał się, śmierzdel. Ale to mu wcale szczęścia nie przyniesie, jak nie przyniosło szczęścia Izabeli. Mąż jej znów utracił Szkocję i nadal tarza się w rozpuście z tragarzami...

Na chwilę zamilkła, bo Poitiers zbliżył pucharek do krótkowzrocznych oczu, by się przyjrzeć ornamentom. Następnie dokończyła:

- Lecz ten szatan Robert potem lepiej sobie poczynał. Czy wiecie, że tego dnia, gdy znaleziono Małgorzatę martwą, Robert wczesnym rankiem wszedł do Zamku Gaillard?

- Naprawdę? - rzekł Poitiers nie okazując wielkiego zdziwienia.

On także miał swe informacje. Wypił łyk i zdawał się doceniać napój.

- Blanka, uwięziona w tej samej wieży, wszystko słyszała. Od tego czasu biedactwo jest jakby oszalała. Przesłała mi w tych dniach wiadomość...

Czy rozumiecie, Filipie, on je pozabija jedną po drugiej. Jego gra jest jasna. Robert teraz może robić, co mu się podoba, u króla osiągnie wszystko; są współnikami tego samego mordu. Wystarczy, że Robert powie, a już Ludwik potwierdza. Teraz napadnie na moje potomstwo. Jestem samotna, wdowa z synem<sup>16</sup> za młodym, żeby mógł mnie służyć oparciem, o jego życie drzę jak i o życie moich córek. Tyle boleści i lęków czyż nie może doprowadzić kobiety do przedwczesnej śmierci?

Znów dotknęła relikwii na piersi.

- Bóg mi świadkiem, nie chciałabym skonać, zostawiając moje dzieci wydane na pastwę tego szakala. Łaski, zabierzcie do siebie waszą małżonkę, żeby ją strzec i okażcie zarazem, że mam sojusznika. Bo jeśliby przypadkiem Joannie odebrano życie albo nadal pozostała uwięziona, a mnie zabrano Artois, jak się o to zabiega, wtedy będę zmuszona zażądać z powrotem, dla mego syna, palatynatu Burgundii, posagu Joanny.

Poitiers mógł tylko podziwiać, jak celnie jego teściowa wypuściła ostatnią strzałę. Tym sposobem przetarg został zaproponowany wyraźnie: „Albo wy z powrotem przyjmiecie Joannę, a ja pchnę was na tron, gdyby był wolny, żeby moja córka została królową Francji, albo też wy odrzucacie małżeńskie pojednanie, ale wtedy ja zmieniam pozycje i prowadzę układy o zwrot hrabstwa Burgundii w zamian za oddanie Artois”.

Hrabstwo Burgundii zaś było nie tylko olbrzymią posiadłością, lecz będąc palatynatem dawało dostęp do elekcyjnej korony cesarstwa Niemiec.

Poitiers wpatrywał się chwilę w Mahaut, tkwiącą jak posąg pod wielkimi kotarami z brokatu, zawieszonymi wokół łoża.

„Jak lis jest podstępna, uparta jak dzik; na pewno ma krew na rękach, lecz nigdy nie potrafię obronić się przed uczuciem przyjaźni dla niej. W jej napadach furii jak i w kłamstwach zawsze tkwi szczypta naiwności...”

Pił wino ze złoconego pucharka, aby ukryć uśmiech, który mu wypłynął na wargi.

Nic nie przyrzekł, nie dobił targu, bo był rozważny i nie sądził, że należy szybko rozstrzygnąć sprawę; lecz przynajmniej już wiedział, w jaki sposób zrównoważyć na Radzie Parów wpływy Valois, które uważał za zgubne.

Wypił ostatni łyk i rzekł:

- Pomówimy o tym wszystkim na koronacji, gdzie się rychło zobaczymy, moja matko.

Z tych słów „moja matko”, które wypowiedział po raz pierwszy od piętnastu miesięcy, Mahaut pojęła, iż wygrała.

Natychmiast po odejściu Filipa weszła Beatrycze i uważnie oglądnęła pucharek.

- Wypił prawie do dna - powiedziała zadowolona. - Zobaczycie, Dostojna Pani... że Czcigodny Pan de Poitiers niebawem uda się do Dourdan.

- Przede wszystkim widzę - odparła Mahaut - że byłby dla nas bardzo dobrym królem... gdybyśmy naszego utracili.





## VIII

### Wiejski ślub

**W**e wtorek 13 sierpnia 1315 roku, o brzasku, w gródku Saint-Lye w Szampanii obudziły mieszkańców kawalkady, jadące z północy i z południa, gościńcami z Sezanne i z Troyes.

Najpierw marszałkowie dworu królewskiego wraz z eskortą giermków, szafarzy i pacholków wpadli cwałem i znikli pod zamkowym sklepieniem. Następnie pojawił się wielki wóz z meblami i zastawą stołową pod pieczę majordomów, skarbników i tapicerów. Wreszcie cały kler z Troyes nadjechał na mułach śpiewając kantyczki, a tuż za nim zdążali kupcy włoscy, którzy zwykli obsługiwać jarmarki w Szampanii. Dzwon w kościele jął bić z pełnym rozmachem. Dzisiaj król się żeni w Saint-Lye.

Wtedy chłopci zakrzyknęli „Hosanna”, a kobiety pobiegły na pola zrywać kwiaty, aby usłać nimi drogę jak przed Najświętszym Sakramentem, szafarze zaś rozsypali się w okolicy, zagarniając ile się dało jaj, mięsiwa, drobiu i ryb z sadzawek.

Deszcz na szczęście od wczoraj ustał, ale nadal było parno i duszno, słońce, mimo że niewidoczne grzało przez chmury. Służba królewska ocierała czoła, a wieśniacy patrząc na niebo zapowiadali burzę przed niesporami. W zamku rozlegało się stukanie stolarzy, dymiły kuchenne kominy, a z wysokich wózków wyładowywano słomę, którą rozrzucono w salach na posłanie dla świty.

Saint-Lye nie zaznało podobnej gorączki od początku ubiegłego wieku, od dnia, gdy Filip August przybył uroczyście potwierdzić nadanie tego warownego zamku biskupom z Troyes. Jedno wydarzenie na sto lat<sup>17</sup>.

Rankiem około tercji król w kompanii obu braci, obu stryjów, kuzynów Filipa de Valois i Roberta d’Artois cwałem przeleciał przez miasteczko nie odpowiadając na okrzyki i tratując rozsypane posłanie z kwiatów, które po jego przejeździe trzeba było zmienić.

Ujechał jeszcze pół mili i nagle spostrzegł zdążający na spotkanie orszak Klemencji Węgierskiej.

Orszak ten sunął powoli, jak procesja, wiedziony przez biskupa z Troyes, Jana d’Auxois.

- Król, Dostojna Pani, oto król! - rzekł Bouville, który jechał konno obok lektyki księżniczki.

Klemencja wyjrzała z lektyki pytając, który ze zbliżających się jeźdźców jest jej przyszłym małżonkiem. Czy Bouville niedokładnie wyjaśnił, czy też ona nie zrozumiała odpowiedzi, dość że wzięła za swego narzeczonego hrabiego de Poitiers, bo wysoki i szczupły siedział na siodle z wrodzoną wytwornością i wydał się jej najurodziwszy. Tymczasem jeździec o mniej pięknej postawie pierwszy zeskoczył na ziemię i zbliżył się do lektyki. Bouville, który już zsiadł był z konia, schwycił jego rękę, by ją ucałować, i

rzekł zginając kolano:

- Sire, oto Jej Dostojność Pani Węgierska.

Wówczas piękna księżniczka andegaweńska zobaczyła młodego człowieka o wypukłych, wyblakłych oczach i nieczystej cerze, a którego jej zesłały wyroki fortuny i dworskie intrygi, aby dzieliła z nim los, łożę i władzę.

Ludwik zaś bez słowa wpatrywał się w nią tak osłupiały, iż w pierwszej chwili pomyślała, że mu się nie podoba.

Pierwsza postanowiła przerwać milczenie.

- Sire, Ludwiku - wypowiedziała - jestem na zawsze waszą służką.

Te słowa jakby rozwiązały język Kłótliwemu.

- Obawiałem się, Pani Kuzynko, czy malowany konterfekt przez was przesłany nie zwodzi i nie schlebia, ale widzę w was więcej wdzięku i piękności niż na obrazie.

Odwrócił się do świty jakby każąc ocenić swe szczęście.

Później nastąpiła prezentacja krewniaków. Można pan okazałej tuszy, przybrany w złoto jakby jechał na turniej, uściskał Klemencję zowiąc ją swoją bratanicą i zapewnił, że widział ją jako dziecko w Neapolu. Klemencja pojęła, że jest to Karol de Valois; jej najważniejszy swat. Następnie dowiedziała się, że wytworny jeździec, który rzekł z ukłonem „moja siostró”, to starszy z dwóch przyszłych szwagrów.

Naraz muły niosące lektykę uskoczyły w bok, światło przesłoniła na chwilę olbrzymia, przybrana w czerwień postać, której głowy Klemencja nie zdołała dostrzec; księżniczka usłyszała słowa:

- Wasz kuzyn, Pan Robert d'Artois.

Szparko ruszono w drogę. Król poprosił biskupa, by wyjechał naprzód i sprawdził, czy w kościele wszystko już przygotowano.

Klemencja spodziewała się, że spotkanie odbędzie się inaczej. Wyobrażała sobie, że w uprzednio wyznaczonym miejscu zostaną rozbite namioty, że zbrojni heroldowie z obu orszaków zagrają na trąbkach i zostanie podany jej lekki posiłek, w czasie którego zawrze znajomość z narzeczonym. Myślała też, że ślub odbędzie się dopiero za kilka dni i będzie wstępem do dwóch tygodni zabaw z zapasami, rybałtami i minstrelami, wedle obyczaju na książęcych weselach.

Zaskoczyło ją nieco to nagłe powitanie w lesie, na bocznej drodze, bez jakiegokolwiek okazałości. Można by rzec przypadkowe, zwykłe spotkanie na jakichś łowach. Jeszcze bardziej zbiło ją z tropu, gdy się dowiedziała, że zaraz weźmie ślub w pobliskim zamku, gdzie spędzą noc, i nazajutrz pojedą do Reims.

- Mój słodki Panie - spytała króla, który teraz jechał obok niej na koniu - czy wracacie na wojnę?

- Oczywiście, Miła Pani, że powrócę... na przyszły rok. Jeśli nie ścigałem tego roku Flamandów i skończyło się dla nich na strachu, to dlatego że nie chciałem odkładać powitania was i przypieczętowania naszych zręków.

Komplement był tak niezdamny, że się Klemencja zasepiła. Spotykała ją niespodzianka po niespodziance. Jak to, ten król tak niecierpliwy, że rozpuszczał armię, żeby ją powitać, zapraszał ją na wiejski ślub?

Mimo kwiatów na drodze i entuzjazmu wieśniaków zamek Saint-Lye, forteczka o murach zapleśniałych trzechwiekową wilgocią, wydał się ponury neapolitańskiej księżniczce. Miała ledwie godzinę na zmianę szat i skupienie się przed ceremonią, o ile można nazwać skupieniem się pobyt w komnacie, gdzie tapicerzy nie skończyli jeszcze zawieszać haftowanych tkanin i gdzie zaraz przybył Dostojny Pan de Valois, aby brzęczeć jak gruby złocisty szerszeń uważając, że w tak krótkim czasie pouczy swą bratanicę o wszystkim, co winna wiedzieć o dworze francuskim, a zwłaszcza o istotnym stanowisku, jakie tu zajmuje on sam, Karol de Valois.

Klemencja więc zmuszona była wysłuchać, że jakkolwiek Ludwik X posiadał wszystkie pożądane u małżonka zalety, nie odznaczał się wyłącznie dodatnimi cechami, zwłaszcza w polityce. Zbyt ulegał wpływom, nie umiał się bronić przed złymi doradcami. Na przykład w całej tej sprawie z Flandrią, zdaniem Valois, Ludwik niedostatecznie go słuchał, natomiast nastawiał ucha na rady konetabla i hrabiego de Poitiers. Zaś co do wyboru papieża... Czy Klemencja przejeżdżała przez Awinion? Kogo tam widziała? Kardynała Dueze? Ależ oczywiście; należałoby wpłynąć, aby Dueze został wybrany. Klemencja powinna zrozumieć, dlaczego Valois tak nalegał i tak się starał, aby została królową Francji; bardzo liczył na jej urodę, jej wdzięk i rozsądek, by mu pomóc mądrze rządzić królem. Niech Klemencja nie waha się mu zwierzać z pełnym zaufaniem we wszystkich sprawach. Już od dziś muszą zawrzeć ścisły sojusz. Czyż nie jest na dworze najbliższym krewnym Klemencji, po swej pierwszej żonie Małgorzacie Andegaweńskiej i czyż nie zastępuje ojca młodemu monarsze?

Klemencja czuła się naprawdę oszołomiona tym potokiem słów, wszystkimi naraz wymienianymi nazwiskami i ruchliwością tej haftowanej złotem osobistości, która kręciła się wokół niej. Nadmiar nowych wrażeń, dostrzeżonych przelotnie twarzy, wszystko mieszało się jej w głowie. A wreszcie ma zaraz wziąć ślub. Była przekonana o dobrej woli wszystkich i wzruszona troskliwością, jaką jej okazywał hrabia de Valois, lecz bardzo pragnęłaby przygotować swą duszę. Czy tak więc mają wyglądać zaślubiny królowej?

Odważyła się zapytać, dlaczego uroczystość ma się odbyć tak pośpiesznie.

- Ponieważ Ludwik ma być koronowany w niedzielę w Reims i chciał, aby przedtem odbył się wasz ślub, żebyście mogli być razem koronowani - odparł Valois.

Przemilczał, że wydatki na ślub obciążają koronę, natomiast koszty koronacji ponoszą ławnicy z Reims. Po nieudanej zaś bagiennej wyprawie szkatuła królewska była bardziej pusta niż kiedykolwiek. Stąd wesele na gwałt bez najmniejszej okazałości; uciech dostarczą mieszkańcy Reims.

Klemencja Węgierska dopiero uzyskała trochę spokoju, gdy wezwała swego spowiednika. Już się wypowiadała rano, ale chciała być pewna, że bez grzechu stanie przed ołtarzem. Czy nie popełniła jakiegoś powszedniego grzechu w ostatnich godzinach, czy nie zabrakło jej pokory, gdy się dziwiła, jak skromnie ją witano, czy nie zabrakło jej miłości

bliźniego wobec Dostojnego Pana de Valois?

Podczas ostatnich przygotowań messer Spinello Tolomei zagabnął na podwórcu zamkowym Hugona de Bouville. Generalny kapitan Lombardów mimo swej sześćdziesiątki i pokaźnego bandziocha był jak zawsze żwawy. Udawał się również do Reims, gdzie sobie zapewnił grube dostawy na koronację. Mógł podzielić się z Bouville'em ostatnimi wiadomościami o Gucciu który wciąż przebywał w szpitalu w Marsylii.

- Po co mu było rzucać się do wody - jęknął Tolomei. - Jak mi go brak w tych dniach! To on powinien by uganiać się po tych wszystkich drogach.

- A mnie, czy myślicie, że mnie go nie brakowało w czasie drogi? - odrzekł Bouville. - Eskorta wydała dwa razy tyle, co kosztowałyby podróz, gdyby on pilnował wszystkich rachunków.

Tolomei był stroskany. Z lewym okiem zamkniętym, dolną wargą trochę obwisłą, uskarżał się na bieg wypadków, na opłaty od sprzedaży, kontrolę na rynkach i ostatnie dekrety dotyczące Lombardów. Wszystko razem przypominało bardzo zarządzenia króla Filipa.

- Dlaczego nas zapewniano, że wszystko się zmieni...

Bouville rozstał się z Tolomeiem, by dołączyć się do ślubnego orszaku.

Karol de Valois prowadził narzeczoną do ołtarza. Natomiast Ludwik musiał iść samotnie. Nie było przy jego boku żadnej krewniaczki, która by mu zastąpiła towarzystwo matki. Stryjeczna babka, Agnieszka Francuska, córka Ludwika Świętego i diuszesa-wdowa Burgundii odmówiła przybycia łatwo zrozumieć dlaczego: była matką Małgorzaty. Hrabina Mahaut podała jako powód, że w ostatniej chwili przeszkodziły jej rozruchy w Artois; przybędzie wprost do Reims, na koronację, gdzie stanowisko para nakazywało jej się pojawić. Oczekiwano hrabiny de Valois i hrabiny d'Evreux, obie nie przybyły, dowiedziano się później, że na skutek omyłki w trasie podróży zboczyły do kaplicy Saint-Lye, odległej o dziesięć mil, a znajdującej się w okolicach Reims.

Przewielebny Jan d'Auxois w mitrze na głowie celebrował nabożeństwo. Podczas całej mszy Klemencja czyniła sobie wyrzuty, że nie potrafi się tak skupić, jak by tego pragnęła. Usiłowała wznieść się myślą ku niebu i błagać Boga, by w każdej chwili życia obdarzał ją cnotliwością małżonki, zaletami monarchini, błogosławieństwem macierzyństwa, lecz mimo woli oczy jej opuszczały się na mężczyznę, którego oddech słyszała obok siebie i rysy ledwie znała, a z którym dziś wieczorem miała dzielić łoże.

Za każdym razem, gdy klękał, wstrząsał nim krótki atak kaszlu, który przypominał tik; głęboka bruzda okalała mu za krótki podbródek i zadziwiała u tak jeszcze młodego człowieka. Usta miał wąskie o opuszczonych kącikach, długie proste włosy nieokreślonego koloru. A kiedy ten mężczyzna zwracał się ku niej, wprawiało ją w zmieszanie spojrzenie jego wypukłych, bladych oczu. Dziwiła się nie odnajdując nastroju szczęścia bez granic i bez domieszek, jaki odczuwała odjeżdżając z Neapolu.

„Mój Boże, nie zezwól mi być niewdzięczną wobec dobrodziejstw, jakimi mnie obsypujesz.”

Nie zawsze jednak panuje się nad swym umysłem - Klemencja przyłapała się na myśli, że gdyby jej dano do wyboru trzech ksiąząt z

dynastii Francuskiej, wolałaby hrabiego de Poitiers. Ogarnął ją wielki lęk i o mało nie krzyknęła: „Nie, nie pragnę tego, nie jestem godna”. W tejże chwili usłyszała, jak obcym sobie głosem odpowiada „tak” biskupowi, który ją pytał, czy pragnie pojąć za małżonka Ludwika, króla Francji i Nawarry.

Pierwszy grzmot zapowiedzianej burzy rozległ się, kiedy Klemencji wsuwano na palec za szeroką obrączkę; obecni spojrzeli po sobie i niejeden się przeżegnał.

Gdy orszak wyszedł z kościoła, chłopci w płóciennych koszulach, z nogami owiniętymi w łańchmany, czekali zbici w grupki. Klemencja szepnęła:

- Czyż nie da się im jałmużny?

Pomyślała głośno i obecni zauważyli, że pierwsze słowo królowej było wyrazem miłosierdzia.

Ludwik X, by się jej spodobać, rozkazał szambelanowi rzucić kilka garści monet. Chłopi wnet rzucili się na ziemię; a widowisko wydane na cześć panny młodej było dziką walką. Rozległ się trzask rwanej tkaniny, głucho chrząkanie, jakie wydają maciory, i stuk czaszek. Baronowie świetnie się bawili patrząc na bójkę. Jeden z chłopów, bardziej barczysty i cięższy niż pozostali, miażdżył stopą ręce, które chwyciły pieniążek, i zmuszał, by go wypuściły.

- Oto cham, co umie się brać do rzeczy - rzekł ze śmiechem Robert d'Artois. - Czyj on jest? Chętnie go kupię.

Klemencja spostrzegła z przykrością, że Ludwik śmieje się wraz z innymi.

- Nie tak się obdziela jałmużną - pomyślała - ale ja go już tego nauczę.

Deszcz zaczął padać.

Stoły ustawiono w największej sali zamkowej. Biesiada trwała pięć godzin. „I oto jestem królową Francji” mówiła do siebie Klemencja. Nie mogła się przyzwycząić do tej myśli. Zresztą do niczego nie mogła się przyzwycząić. W osłupienie ją wprawiała żarłoczność panów francuskich. W miarę jak krążyło wino, podnosiły się głosy. Klemencja, jedyna niewiasta na tej uczcie wojowników, widziała, że kierują się ku niej wszystkie spojrzenia, i domyślała się, że na drugim końcu sali żarty stają się nieco zbyt sprośne.

Od czasu do czasu ktoś z biesiadników wychodził. Mateusz de Trye, wielki szambelan, krzyknął:

- Jego Królewska Mość zabrania siusiać na schodach, po których będzie przechodził.

Przy czwartej zmianie półmisków, przy czym każda składała się z sześciu potraw, w tym całej świni podanej na rożnie i pawia z zatkniętym na kuprze ogonem, podeszli dwaj giermkowie niosąc olbrzymi pasztet, który postawili przed parą królewską.

Rozkrojono skórkę i żywy lis wyskoczył z pasztetu wśród okrzyków zebranych. Tak oto wyróżnili się kucharze nie mogąc sporządzić z cukrów piramid i zamków, których przyszykowanie wymagało kilku dni pracy.

Oszalały lis skoczył na salę, kręcił się zamiatając płyty rudym, puszystym ogonem, piękne, nieco mleczne oczy błyszczały przerażeniem.



- Wyczha! wyczha! - wrzasnęli panowie wyskakując zza ław, na których siedzieli.

Zaimprovizowano polowanie wokół stołów. Robert d'Artois pierwszy złapał zwierzaka. Na oczach wszystkich padł na ziemię i powstał trzymając w wyciągniętych ramionach lisa, który piszczał odsłaniając pod czarnymi chrapkami wąskie kły. Później Robert zacisnął powoli palce; trzasnęły kręgi, oczy lisa stały się szkliste i Robert rozciągnął martwe zwierzę na stole, jakby w hołdzie przed nową królową.

Klemencja, przytrzymując kciukiem za szeroką obrączkę, zapytała, czy we Francji panuje zwyczaj, że kobiety z rodziny nie bywają na weselach. Ludwik zakłopotany udzielił jej kilku wyjaśnień.

- Ale w każdym razie nie będziecie mieć sposobności, aby zobaczyć moją małżonkę, moja siostró - rzekł hrabia de Poitiers.

- A dlaczegoż to... mój bracie - spytała Klemencja, którą interesowało wszystko, co on mówił, a zarazem doznawała uczucia zmieszania, gdy mu odpowiadała.

- Ponieważ jest jeszcze uwięziona w zamku Dourdan - odrzekł Filip de Poitiers.

Następnie zwrócił się do króla:

- Miłościwy Panie Bracie, w tym szczęśliwym dla was dniu, proszę was o uchylenie kary wymierzonej Joannie, mojej małżonce. Winy jej nie były zbrodnią i już się za nie pokajała.

Kłótniwy, zaskoczony, nie wiedział co odpowiedzieć. Czy miał okazać w obecności Klemencji łaskawość, czy przeciwnie stanowczość, obie cechy jednakże królewskie. Poszukał wzrokiem Karola de Valois, by prosić o radę, lecz hrabia wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza. A Robert d'Artois przy drugim końcu stołu pouczał kuzyna Filipa de Valois, jak schwytać lisa nie dając się ugryźć.

- Sire, mój małżonku - rzekła Klemencja - na miłość dla mnie obdarzcie waszego brata łaską, o którą was prosi. Dzisiaj jest dzień naszego ślubu i chciałabym, aby wszystkie kobiety w waszym królestwie miały swą część radości.

Niespodziewanie gorąco wzięła sprawę do serca, odczuwała jakby ulgę słysząc, że Filip de Poitiers mówi o swej żonie i wyraża pragnienie, aby wróciła do domowego ogniska.

Ludwik solidnie podjadł i wypróżniał swą czarę nieco częściej, niż przystało. Zbliżała się chwila, gdy uściśnie to piękne, spokojne ciało, którego odtąd był władcą. Nie miał głowy do ważenia politycznych skutków prośby.

- Niczego nie ma, moja duszko, czego bym nie zrobił, by się wam spodobać - odrzekł. - Mój Bracie, możecie zabrać panią Joannę i znów ją przywieźć do nas, wedle swej woli.

Karol de la Marche słuchając uważnie rozmowy spytał wtedy:

- A Blanka, Miłościwy Panie Bracie, co względem niej postanowicie? Czy pozwolicie mi...

- Blanka, nigdy! - uciał król.

- Tylko żebym ją odwiedził w Zamku Gaillard i umieścił w klasztorze, gdzie byłaby traktowana mniej surowo...

- Nigdy - powtórzył Kłótlivy tonem, który nie zezwalał na jakiegokolwiek naciski.

O ile uraza Ludwika do Joanny Burgundzkiej za jej udział w jego małżeńskich niepowodzeniach nieco zbladła na skutek samego faktu powtórnego małżeństwa, o tyle straszliwie się bał, że Blanka opuściwszy zamek, gdzie była całkowicie odosobniona, może rozgłosić coś o okoliczności śmierci Małgorzaty. Ten lęk podszeptał Kłótliwemu raz jeszcze decyzję szybką i nieodwołalną.

Klemencja nie śmiała interweniować, uważając za właściwe zadowolić się pierwszym zwycięstwem.

- Czy więc nigdy nie będę miał prawa mieć małżonki? - podjął Karol.

- Spuśćcie się na los, mój bracie - odparł Ludwik.

Piękne, lecz zniewieściałe oblicze Karola de la Marche przybrało wyraz nadąsany i uparty.

- Zdaje się, że los bardziej sprzyja Filipowi niż mnie.

Od tej chwili Karol de la Marche powziął urazę nie do swego brata króla, lecz do swego brata Poitiers.

U schyłku tego wyczerpującego dnia młoda królowa była tak znużona, że noc poślubna upłynęła jej jakby w innym życiu. Nie doznała ani lęku, ani zbyt wielkiego bólu, ani szczególnej rozkoszy. Po prostu była uległa uważając, że tak właśnie sprawy winny się potoczyć. Zanim zapadła w sen, usłyszała wyjąkane słowa, które zbudziły w niej nadzieję, że małżonek ją docenia. Gdyby była bardziej doświadczona w tej dziedzinie, zrozumiałaby, że posiada wielką władzę nad Ludwikiem, przynajmniej na jakiś czas.

Kłótlivy był zachwycony, spotkał bowiem u tej królewskiej córki uległą bierność, jakiej dotychczas zaznał tylko u służących. Znikł lęk przed niemocą, jaka go zawsze ogarniała w łóżu Małgorzaty. Chyba nie był stworzony dla brunetek - myślał. Kilkakrotnie triumfował nad tym pięknym ciałem, połyskującym lekko niby masa perłowa w świetle lampki oliwnej zawieszanej pod baldachimem. Mógł do woli sycić swe żądze. Nigdy dotąd nie dokonał podobnego wyczynu.

Gdy późnym rankiem opuścił komnatę, kręciło mu się wprawdzie trochę w głowie, ale unosił ją wysoko i dumniej, niż gdyby zwyciężył Flamandów. Jego noc poślubna zatarła w nim niepowodzenie wojenne.

Po raz pierwszy Ludwik Kłótlivy był zdolny stawić czoło rubasznym żartom kuzyna d'Artois, który uchodził na dworze za męzczyznę najbardziej jurnego i wytrwałego w miłosnych zapasach.

Później około południa ruszono w drogę na północ. Klemencja odwróciła się, by zachować w pamięci ostatni obraz zamku, gdzie stała się kobietą i królową, lecz nigdy nie potrafi w przyszłości przypomnieć sobie jego dokładnych proporcji.

Po dwóch dniach pochód przybył do Reims. Od trzydziestu lat mieszkańcy nie widzieli koronacji, innymi słowy co najmniej połowa ludności po raz pierwszy miała oglądać widowisko. Urzędnicy królewscy rozgorączkowani biegali wraz z ławnikami od Ratusza do arcybiskupstwa. Na placach jak na jarmarku rozgościli się wszelkiego rodzaju kupcy, rybalki i treserzy zwierząt. Moźni baronowie, i dostojni prałaci, przybyli ze

wszystkich zakątków Francji, przejeżdżali otoczeni świtą w poszukiwaniu gospody. Wieśniacy, mieszczanie i drobni panowie napływali z pobliskich okolic i powiększali tłum, który sierzanci starali się utrzymać na granicy zdobnego chorągwiami szlaku królewskiego.

Mieszkańcy Reims nie mogli przewidzieć, że w bliskiej przyszłości miała się im nadarzyć znów sposobność, i to kilkakrotnie, oglądać ten wielki pochód i ponosić zań koszty.

Gdy król tego dnia przekraczał portal katedry w Reims, towarzyszyło mu trzech następców, których mu miała dać Historia. W pochodzie za Ludwikiem jechali konno jego bracia Filip i Karol oraz kuzyn Filip de Valois. Nie minie czternaście lat, a korona spocznie kolejno na tych trzech głowach.





## CZĘŚĆ DRUGA

# Po Flandrii Artois...



### I

## Sojusznicy

**R**ządzenie, owa władza nad bliźnimi, chociaż wywołuje wokół największą zazdrość, jest pasją najbardziej zwodniczą i nie zna kresu ani wytchnienia. Piekarz, który zakończył wypiek, drwał po obaleniu dębu, sędzia po wydaniu wyroku, architekt patrząc na zatkniętą na dachu wiechę, malarz ukończywszy swój obraz mogą chociaż przez jeden wieczór zaznać względnego ukojenia, jakie daje doprowadzony do celu wysiłek. Nigdy ten, kto rządzi. Ledwie załagodził on jeden konflikt polityczny, już następny, który wykluwał się właśnie, gdy załatwiano pierwszy, wymaga niezwłocznej uwagi. Zwycięski generał cieszy się swą chwałą, minister zaś musi stawić czoło nowym sytuacjom zrodzonym z tegoż zwycięstwa. Żaden problem nie ścierpi dłuższej zwłoki, bo jakkolwiek dziś wydaje się drugorzędny, już nazajutrz nabiera tragicznej wagi.

Sprawowanie władzy da się porównać tylko ze sztuką leczenia, ta również ma owo nieustanne zazębianie się faktów, kolejno występujące problemy, stałą opiekę nawet nad błahymi schorzeniami, ponieważ mogą być objawem poważnych urazów, wreszcie tę ciągłą odpowiedzialność w dziedzinie, gdzie wynik zależy od warunków, które ukształtuje przyszłość. Równowaga w społeczeństwie, podobnie jak zdrowie poszczególnych ludzi, nigdy nie jest dziełem skończonym.

Rzemiosło królewskie, w czasach gdy królowie rządzili sami, cechował właśnie ten nieustanny przymus.

Zaledwie Ludwik X przymknął oczy na konflikt z Flandrią, przystając by jątrzył się nadal, gdyż nie mógł go na razie rozstrzygnąć, ledwie popędził do Reims, by przyodziać się w mistyczny majestat - jakiego udziela władcy sakrament, nawet gdyby był najmniej lubianym i najbardziej nieudolnym monarchą - a już wybuchły zamieszki w północnej Francji.

Baronowie z Artois, jak przyrzekli Robertowi, wróciwszy z bagiennej wyprawy nie pochowali mieczy. Rozjeżdżali się wraz z drużynami po

provincji starając się pozyskać ludność dla swej sprawy. Cała szlachta była po ich stronie, a na skutek tego i wieś. Miasta były podzielone. Arras, Boulogne, Therouanne działały ręką w rękę z ligą. Calais, Avesnes, Bapaume, Aire, Lens, Saint-Omer pozostały wierne hrabinie Mahaut. W hrabstwie panowało wzburzenie bardzo bliskie buntu.

Możnowładców w lidze reprezentował Jan de Fiennes, szwagier hrabiego Flandrii, co nadawało zamieszkom szczególnie niepokojący charakter.

Jeden ze sprzysiężonych, Gerard Kierez, prowadził sprawy prawne. Był to adwokat umiejący bardzo sprytnie pisać skargi, układać petycje, prowadzić procesy przed Parlamentem i Radą Królewską.

Panowie de Souastre i de Caumont kierowali zastępami wojsk.

Wszyscy pracowali pod wpływami i na rzecz Roberta d'Artois. Ich żądania były dwójakiego rodzaju. Po pierwsze domagali się niezwłocznego i całkowitego wprowadzenia w życie karty świeżo im nadanej, a wznawiającej „obyczaje” z okresu panowania Ludwika Świętego, po drugie żądali zmiany urzędników rządzących w Hrabstwie, a przede wszystkim usunięcia kanclerza hrabiny, Thierry'ego d'Hirson, który był im solą w oku.

Gdyby hrabina Mahaut zadośćuczyniła ich żądaniom, pozbawiłaby się wszelkiej władzy w swym lennie, czego uparcie spodziewał się Robert.

Lecz Mahaut nie była kobietą, która dałaby się ogołocić. Przechytrzając, politykując, obiecując i nie dotrzymując słowa, pozornie ustępując, aby nazajutrz na nowo paktować, starała się na wszelki sposób zyskać na czasie. Obyczaje? Oczywiście - przywróci się obyczaje. Lecz przedtem należy przeprowadzić badanie, aby dokładnie wiedzieć, jakie ongiś zwyczaje panowały w każdym lennie. Prewotowie, urzędnicy, sam kanclerz osobiście? Jeśli zawiedli, nadużyli swej władzy, ukarze ich bez litości. W tej sprawie była gotowa przeprowadzić śledztwo. A następnie wnosi się przedmiot sporu przed króla, który go nie pojmuje i ma inne troski. Hrabina Mahaut wysłuchiwała skarg adwokata Gerarda Kiereza; okazywała wyraźnie najlepsze chęci. Wyznaczano przyszłe spotkanie w Bapaume, aby wszystko uzgodnić... Dlaczego w Bapaume? Ponieważ Bapaume do niej należało i utrzymywała tam garnizon... Nalegała na Bapaume. A w wyznaczonym dniu nie przyjechała do Bapaume, bo musiała udać się do Reims na koronację... Po koronacji nie pamiętała o przyrzeczonemu spotkaniu. Lecz wkrótce przybędzie do Artois; nie należy się niecierpliwić; śledztwo toczy się swoim trybem... to znaczy sierżanci starali się zebrać pod groźbą kija lub więzienia zeznania przychylnie dla kanclerza Thierry'ego d'Hirson.

Krew uderzyła wkrótce do głowy baronom, wszczęli jawny bunt i zabronili Thierry'emu wstępu do Artois pod karą śmierci, gdyby się tu pojawił. Następnie zawezwali innego d'Hirsona, Denisa, skarbnika, który popełnił głupstwo udając się na spotkanie; z mieczem na gardle musiał pod przysięgą wyrzec się brata<sup>18</sup>.

Sprawy przybrały tak groźny obrót, że Ludwik X postanowił udać się osobiście do Arras, by zaprowadzić porządek. Przybył jednak na próżno. Co mógł poradzić, skoro po rozpuszczeniu armii jedyną chorągwią gotową

do działania była właśnie drużyna zbuntowana?

19 września ludzie Mahaut uznali za celowe zniemacka pochwycić i wtrącić do więzienia panów de Souastre i de Caumont, których wskazywano jako przywódców. Robert d'Artois wnet pośpieszył bronić ich przed królem.

- Miłościwy Panie i Kuzynie - rzekł - nie obchodzi mnie wcale ta sprawa, tyczy ona mej stryjny Mahaut, która rządzi hrabstwem i z pięknym jak widać wynikiem. Ale jeśli się będzie trzymać w lochu Souastre'a i Caumonta, jako żywo jutro w Artois wybuchnie wojna. Radzę wam tylko ze względu na dobro królestwa.

Hrabia de Poitiers ciągnął w drugą stronę.

- Może to było i nieporęcznie aresztować tych dwóch panów, lecz byłoby jeszcze niezręczniejsze kazać ich teraz uwolnić. Podsycicie tym wszelką rebelię w królestwie. Narazicie na szwank wasz autorytet, mój bracie.

Karol de Valois uniósł się:

- Wystarczy, mój bratanku - zawołał zwracając się do Filipa de Poitiers - że wam oddano waszą żonę, która właśnie w tych dniach opuszcza Dourdan. Nie brońcie już sprawy jej matki. Nie można żądać od króla, aby otwierał więzienia przed każdym, kto się wam podoba, i zamykał je za każdym, kto się wam nie podoba.

- Nie widzę analogii, mój stryju - odparł Filip.

- Ale ja ją widzę; właśnie można by sądzić, że to hrabina Mahaut kieruje waszymi zabiegami.

Ostatecznie Kłótniwy nakazał Mahaut uwolnić obu panów. W klanie hrabiny jał krażyć złośliwy kalambur: „Nasz Miłościwy Pan Ludwik jest na razie pod urokiem Klemencji”.\*

Oba chwaty, Souastre i Caumont uzupełniali się znakomicie: jeden był mocny w pysku, drugi mocny w garści. Po tygodniu wyszli z więzienia w aureoli męczenników. 26 września zwołali do Saint-Paul wszystkich swych stronników, którzy się odtąd tytułowali „sojusznikami”. Souastre perorował siarczyście, a wulgarność jego języka jak i szaleńcze propozycje zyskały aprobatę słuchaczy: należy odmówić płacenia podatków i powiesić wszystkich prewotów, poborców, sierżantów i wszystkich przedstawicieli hrabiny.

Król wysłał dwóch radców, Wilhelma Flotte'a i Wilhelma Paumiera, by wzywali do spokoju i wyznaczili nowe spotkanie, tym razem w Compiègne. Sojusznicy zgodzili się w zasadzie na spotkanie, lecz zaledwie obaj Wilhelmowie opuścili posiedzenie, wpadł wysłannik Roberta d'Artois po długim galopie, spocony i bez tchu. Przywiózł baronom tylko jedną wiadomość: hrabina Mahaut przybyła osobiście do Artois, otaczając swą podróż ścisłą tajemnicą; jutro ma gościć w zamku Vitz u Denisa d'Hirsona.

Kiedy Jan de Fiennes ogłosił tę wiadomość, Souastre zakrzyknął:

- Teraz wiemy, panowie, co mamy robić.

Tej nocy drogi w Artois zabrzmiały tętentem konnicy i szczękiem broni.



---

\* łac. clementia - łagodność, pobłażliwość.



## II

### Joanna, hrabina de Poitiers

Wielka podróżna koleba pokryta rzeźbą, malowidłami i pozłotą sunęła między drzewami. Była tak długa, że nieraz należało doskoczyć i podeprzeć ją, by mogła obrócić się na zakręcie, a na stromych wzniesieniach ludzie z eskorty zsiadali z koni, by ją popychać.

Mimo że wielka dębowa skrzynia spoczywała bezpośrednio na osiach, wewnątrz koleby nie odczuwało się wstrząsów, tyle nałożono tu poduszek i kobierców. Sześć kobiet rozsiadło się jak w komnacie gawędząc, grając w kości, rozwiązując zagadki. Słychać było szelest niskich gałęzi ocierających się o skórzany dach.

Joanna de Poitiers odsunęła zasłonę pomalowaną w lilie i trzy złote zamki herbu Artois.

- Gdzie jesteście? - spytała.

- Jedziemy, Pani, wzdłuż rzeki Authie... - odpowiedziała Beatrycze d'Hirson. - Przed chwilą minęliśmy Auxi-le-Chateau. Za niespełną godzinę będziemy w Vitz u mego stryja Denisa. Będzie bardzo rad, gdy was znów zobaczy. A może i pani Mahaut już tam będzie wraz z Dostojnym Panem waszym małżonkiem.

Joanna de Poitiers oglądała krajobraz, drzewa jeszcze zielone, łąki, gdzie pod rozświetlonym niebem wieśniacy kosili rzadki potraw. Jak to często bywa, po dżdżystym lecie, w końcu września, nastąpiła piękna pogoda.

- Pani Joanno, proszę was... nie wychylajcie się co chwila - podjęła Beatrycze. - Pani Mahaut zaleciła, żebyście się bardzo strzegły i nie pokazywały... kiedy będziemy w Artois.

Lecz Joanna nie mogła się powstrzymać. Patrząc! Od tygodnia, odkąd odzyskała wolność, nic innego nie robiła. Jak zgłodniały opycha się jadem nie wyobrażając sobie, iż kiedykolwiek zdoła się nasycić, tak ona znów spojrzeniem brała cały świat w posiadanie. Liście na drzewach, lekkie obłoki, zarysowująca się w oddali dzwonnica, lot ptaka, trawa na pagórkach, wszystko ją zachwycało zapierającą oddech urodą.

Kiedy otwarły się przed nią bramy zamku w Dourdan, a dowódca warowni z niskim pokłonem życzył jej szczęśliwej podróży, mówiąc, jak czuł się zaszczycony goszcząc ją u siebie, Joanna odczuła jakby zawrót głowy.

- Czy kiedykolwiek przyzwyczaję się do wolności? - pytała siebie.

W Paryżu spotkało ją rozczarowanie. Matka musiała pośpiesznie wyjechać do Artois. Ale pozostawiła jej swój wóz podróżny oraz kilka dam dworu i wiele służek.

Gdy krawcy, szwaczki i hafciarki z pośpiechem uzupełniali jej garderobę, Joanna korzystając z kilkudniowego postoju, w towarzystwie

Beatrycze biegła po stolicy. Czowała się tu niby cudzoziemka z krańca świata, zachwycając się wszystkim, co widziała. Te ulice! Nie mogła się napatrzyć ulicom. Stoiska w galerii kramarzy, sklepiki na nabrzeżu Złotników... Miała chętkę wszystkiego dotknąć, wszystko kupić. Chociaż zachowała właściwą sobie wyniosłą, opanowaną postawę, oczy jej błyszczały, a w całym ciele tętniła zmysłowa radość, gdy dotykała brokatów, pereł, klejnotów. A mimo to nie mogła odpędzić wspomnienia, że przychodziła do tychże sklepików razem z Małgorzatą Burgundzką, Blanką, braćmi d'Aunay...

„Dosyć sobie w więzieniu naobiecowałam, że jeśli kiedykolwiek zeń wyjdę - mówiła do siebie - nie będę tracić czasu na błahostki. Zresztą dawniej nigdy się w nich zbytnio nie lubowałam. Skąd mnie naszła ta łapczywość, której nie mogę powstrzymać?”

Przypatrywała się strojom niewiast, zapamiętywała nowe ozdoby na czepcach, sukniach, narzutkach. Starła się wyczytać w męskich oczach, jakie wywiera wrażenie. Płynące ku niej nieme komplementy, ruch głowy młodzieńców, którzy odwracali się, by śledzić jej kroki, mogły ją całkowicie uspokoić. Znalazła obłudną wymówkę, by usprawiedliwić swą kokieterię. „Przecież muszę wiedzieć, czy jeszcze posiadam dość uroku dla mego męża.”

Prawdę mówiąc szesnaście miesięcy więzienia niewiele ją zmieniły. Pobytu w Dourdan nie dałoby się nawet porównać z więzieniem w Zamku Gaillard. Joanna miała przyzwoite mieszkanie, służącą. Wolno jej było czytać, haftować, a nawet przechadzać się po zamkowym sadzie. Nudziła się nieznośnie, bardziej niż cierpiała.

Smukła jej szyja pod zwiniętymi wokół uszu fałszywymi warkoczami unosiła z tym samym co zawsze wdziękiem małą główkę o wysokich kościach policzkowych i złocistych, wydłużonych ku skroniom oczach; oczy te podobnie jak chód i cała sylwetka przywodziły na myśl płowe charty z Barbarii. Joanna mało co odziedziczyła po matce, chyba tylko czerstwe zdrowie, raczej była podobna do zmarłego hrabiego palatyna, który w każdym calu był wytwornym panem.

Zbliżając się teraz do celu podróży, Joanna odczuwała, jak wzrasta jej niecierpliwość, ostatnie godziny wydawały się jej dłuższe niż wszystkie ubiegłe miesiące. Czy konie nie zwolniły biegu? Czy nie można ponaglić stajennych?

- Ach! moja Pani, mnie także spieszno do postoju, lecz z innego niż wam powodu - powiedziała jedna z dam dworu w przeciwległym końcu powozu.

Ta niewiasta, pani de Beaumont, była w szóstym miesiącu ciąży. Podróż stawała się dlań uciążliwa, niekiedy spoglądała na swój brzuch i tak głęboko wzdychała, aż inne kobiety nie mogły powstrzymać śmiechu.

Joanna de Poitiers spytała półgłosem Beatrycze:

- Czy jesteś pewna, że mąż mój z nikim się nie związał przez cały ten czas? Czyś mi nie skłamała?

- Ależ nie, Pani, zapewniam was... A zresztą, gdyby nawet Dostojny Pan de Poitiers zerkał na inne kobiety, nie mógłby nawet pomyśleć o nich, teraz... kiedy wypił ten napój miłosny, który wam go całkowicie zwraca. Przecie to on prosił króla o wasz powrót...



„A nawet jeśli ma kochankę, mniejsza o to, jakoś się przystosuję. Mężczyzna, nawet do spółki z inną, lepszy jest niż więzienie” myślała Joanna. Znow uchyliła zasłonę, jakby to mogło przyspieszyć jazdę.

- Łaski, Pani - rzekła Beatrycze - nie wychylajcie się tak... Wcale nas teraz tutaj nie miłują.

- Jednak ludzie wydają się bardzo uprzejmi. Ci chłopci, co nam się kłaniają, czy nie mają przyjemnych twarzy? - odparła Joanna.

Zapuściła zasłonę. Nie dostrzegła, że trzech chłopci, którzy się jej nisko pokłonili, wrócili biegiem w leśne zarośla, ledwie wóz przejechał, i odwiązawszy konie puścili się w cwał.

Po chwili wóz wjechał na podwórzec zamku Vitz. Znow cierpliwość hrabiny de Poitiers została wystawiona na próbę. Denis d'Hirson witając ją powiedział, że ani hrabina d'Artois, ani hrabia de Poitiers nie przybyli i że oczekują jej w zamku Hesdin, o dziesięć mil na północ. Joanna zbladła.

- Co to oznacza? - spytała na stronie Beatrycze. - Czy to nie wybieg, aby się ze mną nie zobaczyć?

Ogarnął ją nagły lęk. Czy ta cała podróż i miarka krwi wytoczona z ramienia, napój miłosny, dworność strażnika z Dourdan nie były składnikami wyreżyserowanej komedii, w której Beatrycze grała rolę niecnej łotrzycki? Przede wszystkim Joanna nie miała żadnego dowodu, iż mąż jej istotnie się za nią wstawiał. Czy nie wieziono jej po prostu z jednego do drugiego więzienia, otaczając ten przejazd z tajemniczych powodów, pozorami wolności? Chyba że, chyba że... i Joanna zadrżała przewidując najgorsze... pokazano ją przezornie w Paryżu, wolną i ułaskawioną, aby następnie bezkarnie zgładzić. Beatrycze nie kryła przed nią, że Małgorzata zmarła w okolicznościach nader podejrzanych. Joanna zapytywała siebie, czy nie czeka jej podobny los.

Nie przypadł jej do smaku posiłek u Denisa d'Hirson. Nastrój szczęścia, w jakim żyła od tygodnia, ustąpił miejsca straszliwej trwodze i starała się wyczytać swój los z otaczających ją twarzy. Beatrycze, z tym powolnym wciąż jakby ironicznym głosem, była nieprzenikniona. Stryj jej, skarbnik, ledwie się odzywał, odpowiadał nie do rzeczy na pytania i wyraźnie okazywał, że jest czymś zaabsorbowany. Znajdowało się tu również dwóch wielmożów, pan de Licques i pan de Nedonchel. Zostali przedstawieni Joannie jako jej eskorta do Hesdin. Nie budzili zaufania swym wyglądem. Czy to na nich spadło owo ponure zadanie do wykonania na jakimś zakręcie drogi?

Nikt zwracając się do Joanny nie napomknął o jej uwięzieniu, wszyscy udawali nieświadomych, iż kiedykolwiek przebywała w areszcie. I to nawet nie usuwało jej lęku. Rozmowy, całkiem dla niej niezrozumiałe, dotyczyły jedynie sytuacji w Artois, zwyczajów, proponowanego przez wysłanników króla spotkania w Compiègne.

- Czy nie zauważyłyście, Pani, ruchawki na drogach czy też zbrojnych zastępów? - spytał Denis Joannę.

- Nic takiego nie widziałam, panie Denisie - odparła - a wioski wydały mi się bardzo spokojne.

- Jednak doniesiono mi o rozruchach; dziś rano jacyś napadli na dwóch naszych przewotów.

Joanna coraz bardziej była skłonna sądzić, że te wszystkie słowa mają wyłącznie na celu uspić jej nieufność. Jakby zaciskała się niewidoczna sieć. Czuła się samotna, ohydnie samotna...

Ciężarna dama jadła z niesłyszczaną łapczywością i nadal głęboko wzdychała patrząc na swój brzuch.

Pan de Nedonchel, przygarbiony mężczyzna o długich zębach i żółtej twarzy, mówił:

- Hrabina Mahaut, zapewniam was, panie Denisie będzie zmuszona ustąpić. Użyjcie na nią swego wpływu. Niech ustąpi chociaż częściowo. Niech wyrzeknie się waszego brata, jakkolwiek ciężko nam to wam mówić, albo niech uda, że się go wyrzeka, bo dopóki będzie kanclerzem, sojusznicy nigdy nie zechcą z nim prowadzić układów. Pan de Licques i ja sam grubo się narażamy trwając w wierności dla hrabiny i udając, że współdziałamy z resztą baronów. Im dłużej ona czeka, tym więcej wpływów zyskuje jej bratanek Robert.

W tejże chwili do sali jadalnej wpadł sierżant z gołą głową i bez tchu.

- Co się stało, Cornillot? - zapytał Denis d'Hirson.

Sierżant Cornillot szepnął mu do ucha kilka urywanych zdań. Skarbnik zbłądł, opuścił obrus okrywający mu kolana, wyskoczył zza ławy.

- Jedna chwila, panowie, muszę zaraz zobaczyć...

I przez małe drzwiczki uciekł pędem, a w ślad za nim Cornillot, następując mu na pięty. Ich śpieszne kroki ścichły na schodach.

Po chwili, gdy biesiadnicy jeszcze nie ochłonęli ze zdziwienia, z podwórza doszedł okropny wrzask. Można by rzec, że cała armia wpadła galopem. Pies, na pewno kopnięty przez konia, wył przeraźliwie. Licques i Nedonchel podbiegli do okien, zaś kobiety ze świty hrabiny zbiły się w kącie sali w gromadę jak stado perliczek. Koło Joanny pozostały: Beatrycze i ciężarna dama, której twarz przybrała niepokojącą barwę.

Beatrycze załamała ręce; trzęsła się. Joanna zrozumiała, że na pewno nie była ona w zмовie z napastnikami, lecz to nie polepszało sytuacji, a w każdym razie nie było czasu myśleć.

Drzwi wyleciały raczej, niż się otwały, i pod wodzą Souastre'a i Caumonta wpadła z wrzaskiem dwudziestka baronów.

- Gdzie zdrajca, gdzie zdrajca? Gdzie się schował?

Stanęli, zaskoczeni niespodziewanym widokiem, a kilka powodów było do zdziwienia. Najpierw nieobecność Denisa d'Hirson. Byli pewni, że go tu zastaną, a oto znikł jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Następnie ta gromada kobiet jazgocących lub omdlałych, przytulonych do siebie, jakby widziały się skazane na zbiorowy gwałt. Wreszcie i przede wszystkim obecność panów de Licques i de Nedonchel. Jeszcze przedwczoraj, w Saint-Pol, obaj rycerze należeli do sprzysiężonych, a oto znaleźli się za stołem wrogiego obozu.

Nie pożałowano obelg przeniewiercom; zapytano, ile dostali za krzywoprzysięstwo, czy sprzedali się d'Hirsonom za trzydzieści srebrników, a Souastre trzasnął żelazną rękawicą w żółtą twarz de Nedonchela, aż mu krew puściła się z ust.

Licques usiłował wytłumaczyć się, usprawiedliwić.

- Przybyliśmy bronić waszej sprawy; chcieliśmy uniknąć trupów i

niepotrzebnych zniszczeń. Już właśnie mieliśmy uzyskać słowem więcej niż wy waszymi mieczami.

Obelgami zmuszono go do milczenia. Na podwórzu reszta sojuszników nadal hałasowała. Było ich nie mniej setki.

- Nie wymawiajcie mego nazwiska - szepnęła Beatrycze do hrabiny Poitiers - z moją rodziną oni mają na pieńku.

Dama w ciąży dostała nerwowego ataku i zwała się na ławę.

- Gdzie hrabina Mahaut? - krzyczeli baronowie. - Musi nas wreszcie wysłuchać!... Wiemy, że tu jest, jechaliśmy za jej wozem...

Joanna jęła się orientować w sytuacji. Krzykacze nie zamierzali nastawać specjalnie na jej życie. Gdy minął pierwszy strach, gniew chwycił ją za gardło; zagrała w niej krew panów na Artois.

- Jestem hrabiną de Poitiers - zawołała - ja jechałam wozem, któryście widzieli. Nie lubię, jak się wpada z takim hałasem tam, gdzie ja przebywam.

Ponieważ rebelianci nie wiedzieli, że wyszła z więzienia, na to niespodziewane oświadczenie zamilkli. Stanowczo spotykała ich niespodzianka po niespodziance.

- Raczcie mi wymienić wasze nazwiska - podjęła Joanna - bo nie zwykłam rozmawiać z ludźmi, których nazwisk nie znam, a trudno mi wiedzieć, kogo kryje wasz bojowy rynsztunek.

- Jestem panem de Souastre - odparł przywódca o krzaczastych, rudych brwiach - a to jest mój druh Caumont. A oto Dostojny Pan Jan de Fiennes i pan de Saint-Venant i pan de Longvillers; szukamy hrabiny Mahaut...

- Jak to? - ucięła Joanna. - Słyszę wyłącznie nazwiska rycerzy! Nigdy bym w to nie uwierzyła patrząc na wasze postępowanie z damami, którymi winniście się opiekować, a nie napadać na nie. Patrzcie na panią de Beaumont. Jest w ciąży, tuż przed położeniem, a wyście ją doprowadzili do omdlenia. Czy nie wstyd wam?

Sojuszników ogarnęła niepewność. Joanna była piękna, zaimponowała im odwagą, z jaką stawiała im czoło. Wreszcie była bratową króla i chyba powróciła do łask. Jan de Fiennes, najwybitniejszy i najznamienitszy z tych panów, przypomniał sobie, że niegdyś widział Joannę na dworze. Jał zapewniać, że nie chcą jej skrzywdzić. Podjęto tę wyprawę na Denisa d'Hirson, boć przysiągł, iż wyprze się brata i nie dotrzymał przysięgi.

W rzeczywistości spodziewali się schwytać w pułapkę Mahaut i przymusić ją siłą. Mszcząc się za niepowodzenie jęli grabić dom.

Przez godzinę zamek Vitz rozbrzmiewał hałasem. Trzaskały drzwi, szeleściły prute meble, brzęczały naczynia. Napastnicy zrywali ze ścian kobierce i opony, wygarniali z kredensów srebro.

Trochę tym uspokojeni, lecz nadal groźni rebelianci kazali Joannie i niewiastom z jej świty wsiąść do wielkiego, złoconego wozu. Souastre i Caumont objęli dowództwo nad eskortą i wóz wśród szczęku stali wtoczył się na gościniec do Hesdin.

Sojusznicy byli pewni, że w ten sposób dotrą do hrabiny d'Artois.

Gdy wyjechali z gródka Iverguy odległego mniej więcej o milę, nastąpił postój. Kilku sojuszników puszczonych w pościg za Denisem d'Hirson, złapało go, gdy przeprawiając się przez bagna usiłował przejść rzekę

Authie. Pojawił się zabłocony, zbity, okrwawiony, związany, zataczając się między dwoma baronami na koniach.

- Co z nim zrobią? Co z nim zrobią? - szepnęła Beatrycze. - Do jakiego stanu go doprowadzili!

Jęła po cichu odmawiać tajemnicze modlitwy, niezrozumiałe ani po łacinie, ani po francusku.

Po krótkiej wymianie zdań baronowie postanowili zatrzymać go jako zakładnika i uwięzić w sąsiednim zamku. Ale ich mordercza pasja żądała ofiary.

Razem z Denisem został ujęty Cornillot. Ten zaś Cornillot, na swoje nieszczęście, niedawno uczestniczył w aresztowaniu panów de Souastre i de Caumont. Obaj go poznali, a sojusznicy zażądali, aby natychmiast załatwić z nim porachunki. Śmierć jego winna była jednak posłużyć za przykład i zmusić do zastanowienia wszystkich sierżantów Mahaut. Część baronów zalecała powieszenie, inni chcieli łamać go kołem, jeszcze inni pogrzebać żywcem. Prześcigając się w okrucieństwie rozprawiali przy nim, jakim to sposobem go wykończą, zaś sierżant na kolanach, ze spoconą twarzą, wykrzykiwał swą niewinność i błagał, by go oszczędzono.

Souastre znalazł rozwiązanie, które zadowoliło wszystkich obecnych, prócz skazańca.

Posłano po drabinę. Pachołkowie unieśli Cornillota i przywiązali go pod pachy do drzewa; później, gdy dobrą chwilę powierzył nogami ku radości baronów, przecięli sznury, aby spadł na ziemię. Nieszczęśnik z połamanymi nogami był cały czas, gdy mu kopano grób. Zakopano go na stojąco, nad ziemią sterczała tylko głowa i toczyła obłąkanym wzrokiem.

Wóz hrabiny de Poitiers wciąż czekał na drodze, damy ze świty zatykały uszy, żeby nie słyszeć wrzasków skazańca. Hrabina de Poitiers czuła, że słabnie, lecz nie śmiała interweniować, bojąc się, by gniew sojuszników nie obrócił się przeciw niej.

Wreszcie Souastre podał pachołkom swój oburęczny miecz. Ostrze załśniło tuż nad ziemią i głowa Cornillota potoczyła się po trawie, a strumień krwi trysnął jak z czerwonej fontanny, zraszając skopaną ziemię.

Gdy wóz ruszył, dama w ciąży dostała bólów, upadła na wznak i jęła wyc. Wnet stało się wiadome, że nie donosi płodu do końca.





### III

## Druga para królestwa

Zamek Hesdin był potężną warownią, opasywały ją trzy mury najezone sterczącymi basztami, przecinały fosy, wypełniały budynki, stajnie, strychy i składy; kilka podziemnych korytarzy łączyło ją z otaczającą wsią. Garnizon złożony z ośmiuset łuczników mógł tu wygodnie stacjonować. W obrębie trzeciego muru znajdowała się główna siedziba hrabiów d'Artois o kilku przepysznie urządzonych skrzydłach.

- Póki mam tę twierdzę - zwykła mawiać Mahaut - moi podli baronowie nie dadzą mi rady. Szczególnie w pierw niż te mury. Mój bratanek Robert łudzi się, jeżeli myśli, że kiedykolwiek zawładnie Hesdin.

- Z prawa i dziedzictwa Hesdin należy do mnie - rozповідаł z kolei Robert d'Artois - moja stryjna Mahaut ukradła mi go jak całe hrabstwo. Ale póty będę walczył, póki jej go nie odbiorę.

Kiedy sojusznicy, eskortując wóz Joanny de Poitiers i niosąc zatkniętą na włóczni głowę sierżanta Cornillot, dotarli o zmierzchu przed pierwszy mur, zastęp ich pokaźnie się zmniejszył. Pan de Journy opuścił pochód pod pozorem, że musi doglądnąć zwózki siana, za jego przykładem poszedł wkrótce pan de Givenchy, młody żonkoś, który bał się, że jego małżonka będzie się nudziła lub niepokoila. Inni, których zamki widać było z gościńca, woleli u siebie zjeść wieczerzę, zabierając najlepszych przyjaciół i zapewniając, że niebawem się dołączą. Pozostała nie więcej niż trzydziestka zaciętrzewieńców, którzy od wielu dni nie schodzili z siodła i czuli się nieco zmęczeni ciężkim, stalowym rynsztunkiem.

Długą chwilę musieli parlamentować, zanim wpuszczono ich za pierwszy odwach. Później długo czekali między pierwszym a drugim murem, a wraz z nimi i Joanna.

Księżyc w nowiu wypłynął na jasne jeszcze niebo, lecz mrok gęstniał w głębi podwórzy Hesdin. Wszędzie było spokojnie, nawet za spokojnie jak na gust baronów. Dziwili się widząc tak mało zbrojnych. W głębi stajni zarżał koń czując obecność innych koni.

Zapadał rzeźwy wieczór i Joanna rozpoznawała znane z dzieciństwa zapachy. Pani de Beaumont nadal w kolebie jęczała, że umiera. Baronowie dyskutowali między sobą. Część z nich uważała, że dość na razie zdziałali, że sprawa zaczyna trącić zasadzką i należałoby raczej wrócić w najbliższym czasie z wzmocnionymi siłami. Joanna czuła, że zbliża się chwila, gdy ją również uwiożą jako zakładniczkę.

Nareszcie opuścił się drugi zwodzony most, następnie trzeci. Baronowie wahali się.

- Czy jesteś pewna, że moja matka jest tutaj? - szepnęła Joanna do Beatrycze d'Hirson.

- Klnę się wam na moje życie, Pani.

Wtedy Joanna wychyliła głowę z wozu.

- I cóż, Dostojni Panowie, czy już nie spieszo wam, jak przedtem rozmawiać z waszą suzerenką, czy zabrakło wam odwagi, gdy macie przed nią stanąć?

Słowa te pchnęły baronów naprzód; aby się nie zhańbić w oczach kobiety, wjechali na trzeci podwórzec i zsiadli z koni...

Nawet najlepiej przygotowany się do jakiegoś wypadku rzadko się człowiek z nim styka w oczekiwany sposób.

Joanna de Poitiers na różną modłę rozważała chwilę spotkania z rodziną. Była przygotowana na wszystko, na lodowate powitanie jak i na uściski, na uroczystą scenę urzędowej rehabilitacji jak i na pojednanie w rodzinnym gronie. Na każdą sytuację przewidziała swą postawę i przemyślała słowa. Lecz nigdy nie sądziła, że powróci do rodzinnego zamku w zamęcie wojny domowej i z damą dworu w trakcie pronienienia.

Gdy Joanna weszła do sali rycerskiej oświetlonej świecami, gdzie skrzyżowawszy ramiona stała hrabina Mahaut i spoglądała z zaciśniętymi ustami na zbliżających się baronów, wnet powiedziała:

- Moja matko, trzeba ratować panią de Beaumont, która właśnie roni. Wasi wasale, zbyt gwałtownie napędzili jej strachu.

Hrabina natychmiast kazała swej chrześniaczce, Mahaut, d'Hirson, siostrze Beatrycze, również pannie dworu, pójść po mistrza Hermant i mistrza Pavilly, jej osobistych medyków, by udzielili pomocy chorej.

Później zakasując rękawy zwróciła się do baronów:

- Czy to rycerskie postępy, nikczemni panowie, napadać na moją szlachetną córkę i damy z jej świty? Czy zamierzacie mnie ugiąć w ten sposób? Czy chcielibyście, żeby tak postępowano z waszymi żonami i waszymi dziewczątkami, gdy jadą gościńcem? Dalejże odpowiadać i mówić, czym tłumaczycie wasze przestępstwa, za które upomnę się u króla o karę?

Sojusznicy wypchnęli naprzód Souastre'a.

- Mów! Powiedz, co trzeba...

Souastre odchrząknął, żeby oczyścić gardło. Tyle perorował, ganił, wykrzykiwał żalów, przemawiał do swych zwolenników, że teraz w najważniejszej chwili nie stało mu głosu.

- Otóż, Dostojna Pani - zaczął ochrypnięty - chcemy się dowiedzieć, czy wreszcie odwołacie waszego niecnego kanclerza, co tłumi nasze skargi, i zgodzicie się uznać nasze prawa do zwyczajów, jakie były za czasów Ludwika Świętego...

Umilkł, ponieważ do komnaty weszła nowa osobistość, a był nią hrabia de Poitiers. Odchyliwszy lekko w bok głowę zbliżał się długim, spokojnym krokiem. Baronowie nie spodziewając się, że się tu pojawi brat króla, zbili się w gromadę.

- Wielmożni Panowie... - rzekł hrabia de Poitiers.

Zamilkł dostrzegając Joannę.

Podszedł do niej i w najzwyczajszy w świecie sposób pocałował ją w usta wobec wszystkich zebranych by wyraźnie pokazać, że żona jego w pełni wróciła do łask, a sprawy Mahaut dotyczą jego rodziny.

- Więc, Wielmożni Panowie - podjął - otóż jesteście niezadowoleni. No

cóż! my również. Więc jeśli obie strony będą się upierać i stosować gwałt, nie dojdziemy do niczego dobrego... Ach! Baillencourt, poznaję was; byliście na wyprawie... Gwałt jest metodą postępowania ludzi, którzy nie potrafią myśleć... Witam was Caumont... A i mój kuzyn de Fiennes! Nie spodziewałem się waszych odwiedzin w takiej kompanii.

Jednocześnie chodził między nimi, patrząc im w oczy, zwracając się po nazwisku do tych, których miał sposobność widywać i podawał im dłoń na płask, by na znak hołdu mogli ją ucałować.

- Gdyby hrabina d'Artois chciała was ukarać za wasze niegodne postępowanie względem niej, przyszyłoby to jej łatwo. Panie de Souastre, wyrzycie przez to okno i powiedzcie mi, czy macie możliwość wymknąć się stąd?

Kilku sojuszników skoczyło do okien. Mury były usiane hełmami rysującymi się na tle zmierzchu. Kompania łuczników ustawiała się na podwórzu, sierzanci stali gotowi na pierwszy znak podnieść mosty i opuścić kraty.

- Uciekajmy, póki czas - kilku szepnęło.

- Ależ nie, Wielmożni Panowie, nie uciekajcie, wasza ucieczka zawiodłaby was nie dalej niż za drugi mur. Jeszcze raz wam powiadam, że chcemy unikać gwałtu, i proszę waszą suzerenkę, aby nie używała przeciw wam broni. Nieprawdaż moja matko?

Hrabina Mahaut potwierdziła krótkim skinieniem głowy:

- Postarajmy się inaczej rozstrzygnąć nasze spory - ciągnął siadając hrabia de Poitiers.

Zachęcił baronów, by uczynili to samo, i poprosił o wino. Ponieważ nie starczyło miejsc dla wszystkich, kilku siadło na gołej podłodze. Ten przeskok od gróźb do dworności zbił ich z tropu.

Filip de Poitiers przemawiał do nich długo. Dowiódł im, że wojna domowa przynosi tylko nieszczęście, że wprawdzie byli poddanymi króla, nim zostali poddanymi hrabiny, i że winni poddać się polubownemu sądowi monarchy. Król zaś wysłał dwóch posłów panów Flotte'a i Paumiera z misją zawarcia zawieszenia broni. Dlaczego sojusznicy odmawiają właśnie zawieszenia broni?

- Moi towarzysze już nie ufają hrabinie Mahaut - odparł Jan de Fiennes.

- Posłowie żądali zawieszenia broni w imieniu króla, więc ubliżacie królowi wąpiąc w jego słowo.

- Ale Dostojny Pan Robert nas zapewniał... - rzekł Souastre.

- Ach! tum was czekał! Strzeżcie się, moi zacni panowie, nie słuchajcie zbyt pilnie rad Dostojnego Pana Roberta. Przemawia on dość beztrąsko w imieniu króla, a wam każe pracować na swój własny rachunek. Nasz kuzyn d'Artois przegrał proces z Panią Mahaut przed sześciu laty, a król, mój ojciec, wieczne mu odpocznienie, osobiście sądził sprawę. To, co się dzieje w tym hrabstwie, tyczy tylko was, hrabiny i króla.

Joanna de Poitiers obserwowała swego męża. Słuchała uszczęśliwiona równego brzmienia jego głosu, z przyjemnością znów widziała jego nawyk nagłego unoszenia w górę powiek, by akcentować zdania i tę niedbałą postawę, która była tylko przejawem ukrytej siły. Filip, zdawałoby się, dojrzał. Rysy jego zaostrzyły się, duży, chudy nos jakby stał się większy, a

twarz wyrazistsza. Jednocześnie zdawało się, że nabrał jakiejś szczególnej powagi, jakby po śmierci ojca przeszła na niego część osobistego majestatu zmarłego.

Po dobrej godzinie układów hrabia de Poitiers uzyskał co chciał, lub przynajmniej to, co mógł w rozsądny sposób uzyskać. Denis d'Hirson miał być uwolniony; Thierry na razie nie pojawi się w Artois, lecz urzędnicy hrabiny pozostaną nadal na stanowiskach aż do końca dochodzenia. Głowa sierżanta Cornillot będzie oddana rodzinie, by go po chrześcijańsku pogrzebać...

- Bo - rzekł hrabia de Poitiers - postępowaliście na wzór niedowiarków, a nie obrońców prawdziwej wiary. Takie czyny torują drogę zemście, której ofiarą wy padlibyście z kolei.

Panowie de Licques i de Nedonchel nie będą narażeni na żaden odwet, pragnęli bowiem powszechnego dobra. Obie strony będą szanować panie i panny, jak przystoi na ziemi rycerskiej. A następnie wszyscy się spotkają w Arras za dwa tygodnie, to znaczy 7 października, aby zawrzeć rozejm aż do słynnej konferencji w Compiègne, tylekroć odkładanej, tym razem zaś wyznaczonej na 15 listopada. Jeśli obaj Wilhelmowie, Flotte i Paumier, nie zdołają pogodzić życzeń baronów z żądaniami króla, rozważy się sprawę przysłania innych mediatorów.

- Nie trzeba dzisiaj nic podpisywać, ufam, wielmożni Panowie, waszemu słowu - mówił hrabia de Poitiers. - Jesteście ludźmi rozumu i honoru. Dobrze wiem, że wy, Fiennes i wy, Souastre i wy, Loos i wszyscy, jak tu jesteście, szczerze się postaracie, by mnie nie zawieść i nie narazić na próżną porękę za was u króla. I potraficie przemówić do rozsądku waszym przyjaciołom, aby szanowali naszą ugodę.

Tak ich pięknie wykierował, że odeszli z podziękowaniem, jakby w nim znaleźli swego obrońcę. Wsiedli znów na konie, przejechali przez trzy zwodzone mosty i zniknęli w mroku.

- Uratowaliście mnie, drogi synu - rzekła Mahaut. - Tyle cierpliwości nigdy bym nie potrafiła okazać.

- Uzyskałem dla was dwutygodniową zwłokę - odparł Filip wzruszając ramionami. - Obyczaj z czasów Ludwika Świętego! Zaczynają mnie wszyscy nużyć obyczajami Ludwika Świętego! Można by sądzić, że mój ojciec nigdy nie istniał. Czy zawsze, gdy wielki król wprowadza królestwo na drogę postępu, muszą znaleźć się durnie, którzy uparcie bronią wstecznictwa? A mój brat ich do tego zachęca!

- Ach! jaka szkoda, Filipie, że wy nie jesteście królem! - zawołała Mahaut.

Filip milczał; patrzył na żonę. Joanna zaś, gdy zniknęła jej trwoga i zbliżała się teraz do kresu po tylu miesiącach nadziei, czuła, że nagle opuszczają ją siły, i walczyła ze łzami.

Chcąc ukryć zmieszanie chodziła po komnacie, witała dom swej młodości; ale każdy znany przedmiot wzmagił jeszcze jej wzruszenie. Dotykała szachownicy z jaspisu i chalcedonu, na której ongiś nauczyła się grać.

- Widzisz, nic się nie zmieniło - rzekła Mahaut.

- Nie, nic się nie zmieniło - powtórzyła ze ściśniętym gardłem Joanna.



Odwróciła się ku bibliotece, jednej z najbogatszych w królestwie, poza księgozbiorem klasztornymi<sup>19</sup>. Zawierała dwanaście tomów. Joanna gładziła palcem oprawę... *O pacholecej odwadze Ogera, Biblia w języku francuskim, Żywoty świętych, Opowieść o lisie, Opowieść o Tristanie...* Tylekroć razem ze swą siostrą Blanką oglądała piękne iluminacje malowane na kartach pergaminu! Zaś jedna z dam Mahaut czytywała im te księgi.

- Tę tu znasz... tak, już ją kupiłam - rzekła Mahaut wskazując *Opowieść o fiołku*.

Starła się rozproszyć ogarniające ich troje zmieszanie.

W tejże chwili karzeł Mahaut, zwany Jasiem Trefnisiem, wszedł ciągnąc drewnianego konia, na którym wolno mu było hasać po komnatach. Miał przeszło czterdzieści lat, szeroką głowę z wypukłymi oczami psa i zadartym noskiem. Dorastał akurat do wysokości stołu; przyodziewano go w szatę haftowaną w „bestyjki”.

Kiedy zobaczył Joannę, ogarnęło go nagle wzruszenie; bez słowa otworzył usta i zamiast zbliżyć się fikając koziołki, jak to było jego obowiązkiem, podbiegł prędyutko do młodej kobiety i padł plackiem na podłogę, by ucałować jej stopy.

Hart Joanny, jej opanowanie od razu prysły. Nagle jęła szlochać, odwróciła się do hrabiego de Poitiers i widząc, że się uśmiecha, rzuciła się mu w ramiona mówiąc przez łzy:

- Filipie!... Filipie!... Nareszcie was odnalazłam!

Twarda hrabina Mahaut odczuła lekkie ukłucie w serce, bo jej córka rzuciła się do męża, a nie do niej, aby płakać ze szczęścia.

„Albo czegoż innego chciałam? - pomyślała Mahaut. - W porządku, to jest najważniejsze, dopięłam swego.”

- Filipie, wasza żona jest zmęczona - powiedziała. - Zaprowadźcie ją do waszych apartamentów. Tam wam przyniosą wieczerzę.

A kiedy obok niej przechodzili, ciszej dorzuciła:

- Miałam rację mówiąc, że was kocha.

Patrzyła na nich, gdy przekraczali próg. Potem dała znak Beatrycze d’Hirson, aby dyskretnie za nimi poszła.

Później, w nocy, kiedy hrabina Mahaut, chcąc wzmocnić nadwątlone siły zajadała w łóżku swój szósty: i ostatni posiłek, weszła Beatrycze z uśmiechem na ustach.

- Więc? - spytała Mahaut.

- Więc, Pani, napój miłosny tak podziałał, jak tego oczekiwaliśmy. Teraz śpią.

Mahaut opadła na poduszki.

- Chwała Bogu - rzekła. - Pogodziłyśmy drugą parę królestwa.





## IV

### Przyjaźń służki

Kilka tygodni upłynęło w Artois we względnym spokoju. Wrogie stronnictwa spotkały się w Arras, następnie w Compiègne, a król obiecał im rozstrzygnąć spór przed Bożym Narodzeniem. Sojusznicy chwilowo uśmierzeni powrócili do swych posepnych zamków.

Pola były czarne i opustoszałe; beczały owce w owczarniach, a grudniowe mgliste świty przypominały ogniska z wilgotnego drzewa.

W Vincennes, w zamku otoczonym lasem, królowa Klemencja poznawała francuską zimę.

Po południu królowa zwykła była haftować. Postanowiła wykonać na ołtarz wielki obrus przedstawiający raj. Wybrańcy przechadzali się tu pod jednako błękitnym niebem, wśród drzew cytrynowych i pomarańczowych. Raj wielce podobny ogrodom w Neapolu.

„Nie po to jest się królową, żeby być szczęśliwą”, często myślała Klemencja, powtarzając słowa swej babki Marii Węgierskiej. Właściwie mówiąc nie była nieszczęśliwa, nie miała ku temu żadnego powodu. „Jestem niewdzięczna - mówiła sobie - że nie dziękuję wciąż Stwórcy za wszystko, czym mnie obdarzył.” Nie mogła zrozumieć źródła znużenia, melancholii, nudy, jakie ją gnębiły dzień po dniu.

Czyż nie była otoczona tysiącem dowodów troskliwości? Sześć dam dworu, wybranych z najszlachetniejszych rodów w królestwie, i niezliczone służki na przemian czuwały przy niej, aby zaspokoić najdrobniejsze życzenie, uprzedzić najdrobniejszy gest, podać książkę do nabożeństwa, nawlec igłę, potrzymać lusterko, ułożyć włosy, natychmiast otulić płaszczem, gdy stawało się chłodniej...

Kilku jeźdźców miało wyłączne zadanie pędzić od Neapolu do Vincennes i z powrotem, aby przewozić listy, które wymieniała ze swą babką, stryjem królem Robertem i resztą krewniaków.

Klemencja miała do dyspozycji cztery białe klacze, przystrojone w srebrne wędzidła i uzdy z jedwabiu przetykanego złotą nicią, a na dłuższe wyjazdy otrzymała w darze wielki podróżny wóz, tak piękny i bogaty, że swymi kołami płonącymi jak słońca, że koleba hrabiny Mahaut wyglądała przy nim niby fura do wożenia siana.

Czyż Ludwik nie był najlepszym w świecie mężem? Kiedy Klemencja zwiedzając Vincennes powiedziała, że zamek jej się podoba i chciałaby tu zamieszkać, Ludwik zaraz postanowił przenieść tu swą siedzibę. W ślad za królem wielu panów budowało w okolicy swe rezydencje. Klemencja zaś nie zdając sobie przedtem sprawy, jak surowa jest zima w Vincennes, teraz już nie śmiała wyznać, że wolałaby wrócić do Paryża.

Naprawdę król ją rozpieszcza. Nie ma dnia, żeby jej nie ofiarował nowego drobiazgu.

- Chcę, moja duszko - mawiał - żebyś była najhojniej zaopatrzoną damą na świecie.

Ale czy potrzebowała aż trzech złotych koron, jednej wysadzanej dziesięciu różowymi rubinami, drugiej czterema dużymi szmaragdami, szesnastu małymi i osiemdziesięciu perłami i jeszcze trzeciej też z rubinami, też ze szmaragdami, też z perłami?

Ludwik kupił na jej stół dwanaście pucharów ze złoconego srebra zdobionych emalią, z herbami Francji i Węgier. Ponieważ zaś była pobożna, a on wielbił jej żarliwość religijną, ofiarował jej relikwiarz za osiemset liwrów z częstką Prawdziwego Krzyża. Uraziłaby ofiarność małżonka mówiąc, że równie dobrze można się modlić w ogrodzie, a najpiękniejsza na świecie monstrancja, ponad artyzm złotników i bogactwo królów, to przecie słońce, które świeci nad morzem na lazurowym niebie.

W ubiegłym miesiącu Ludwik podarował jej dobra ziemskie, które miała zwiedzić w łagodniejszej porze roku, domy i zamki w Mainneville, Hebecourt, Saint-Denis de Fermans, Wardes i Dampierre, lasy koło Lyonu i Bray<sup>20</sup>.

- Dlaczego mój słodki panie - zapytała - wyzbywacie się na mą korzyść tylu dóbr, przecie jestem tylko waszą służką i nie mogłabym z nich korzystać bez was.

- Wcale się ich nie wyzbywam - odparł Ludwik. - Wszystkie te włości należały do Marigny'ego, z wyroku sądu je odebrałem, mogę więc nimi rozporządzać, jak mi się podoba.

Mimo odrazy, jaką odczuwała dziedzicząc dobra po wisielcu, czyż mogła je odrzucić, skoro zostały jej ofiarowane jako dary miłosne, a miłość tę król pragnął głosić nawet w akcie nadania: „za radosne i miłe towarzystwo, jakim Klemencja nas darzy”.

I jeszcze obdarzył ją na wieczne władanie domami w Corbeil i Fontainebleau. Każda noc, którą przy niej spędzał, była warta zamku. Ach tak! Ludwik, jej pan, bardzo ją kochał. Nigdy w jej obecności nie okazał się kłótlivy i nie mogła pojąć, skąd się u niego wzięło to przezwisko. Nigdy sprzeczeki między nimi, nigdy przemocy. Zaprawdę Bóg dał jej dobrego małżonka.

A mimo wszystko Klemencja nudziła się i wzdychała, ciągnąc złote nici z haftowanych cytryn.

Czyniła nadaremne wysiłki, by zainteresować się sprawami hrabstwa Artois, o których niekiedy Ludwik prawił wieczorem sam jeden w jej obecności, chodząc po komnacie.

Przerażały ją donośne okrzyki Roberta d'Artois i gdy do niej wołał „moja kuzynko!”, jakby zatrzymywał sfore psów. Człowiek ten był dla niej przede wszystkim dusicielem lisów. Drażnił ją Dostojny Pan de Valois, który często pytał:

- A więc, moja bratanico, kiedyż obdarzycie następcą królestwo?

- Gdy Bóg zechce, mój stryju - łagodnie odpowiadała.

Nie miała prawdziwych przyjaciół. Odczuwała, ponieważ była subtelna i pozbawiona próżności, że każdy okazany jej objaw uczucia był podszyty wyrachowaniem. Uczyła się, że nigdy nie miłuje się królów ze względu na nich samych; ludzie zaś kłękając przed nimi, zawsze usiłują podjąć z

kobierca jakiś okruch władzy.

„Nie po to jest się królową, aby być szczęśliwą, może nawet godność królowej przeszkadza, by zostać szczęśliwą”, powtarzała sobie Klemencja, kiedy Dostojny Pan de Valois wszedł jak zawsze pośpiesznie do jej komnaty mówiąc:

- Moja bratanico, przynoszę wam wiadomość, która bardzo poruszy dwór. Wasza bratowa Pani de Poitiers jest w ciąży. Położne stwierdziły to dziś rano.

- Bardzo się cieszę za panią de Poitiers - odparła Klemencja.

- Może być wam za to wdzięczna - podjął Karol de Valois - bo właściwie wam zawdzięcza swój obecny stan. Gdybyście nie prosiły o przebaczenie jej w dniu waszych zaślubin, bardzo wątpię, czy Ludwik tak szybko by ją ułaskawił.

- Bóg daje mi więc dowód, że dobrze postąpiłam, ponieważ pobłogosławił ten związek.

- Zdaje się, że Bóg jakoś mniej spieszy z pobłogosławieniem waszego. Kiedy więc, moja bratanico, zdecydujecie się pójść za przykładem waszej bratowej? Zaprawdę wielka szkoda, że ona was wyprzedziła. Pozwólcie, Klemencjo, żebym pomówił z wami jak ojciec. Wiecie, że nie lubię chować w zanadrzu tego, co mam powiedzieć. Czy Ludwik wobec was wypełnia sumiennie swoje obowiązki?

- Ludwik jest tak dla mnie uprzejmy, jak tylko można sobie wyobrazić.

- Posłuchajcie, moja bratanico, dobrze mnie pojmijcie, myślę o jego obowiązkach jako chrześcijańskiego małżonka, o obowiązkach cielesnych, jeśli wolicie.

Pąs oblał czoło Klemencji, wyjąkała:

- Nie wiem, co można by zarzucić Ludwikowi w tej materii. Jestem zamężna dopiero od pięciu miesięcy i nie myślę, że jest powód, byście się już niepokoiли.

- Lecz ostatecznie czy zaszczycą on regularnie wasze łoża?

- Prawie co noc, mój stryju, jeśli o tym chcecie wiedzieć; a niczym więcej być dlań nie mogę, niż jego służką, gdy tego pragnie.

- No dobrze! Spodziewajmy się więc, spodziewajmy! - rzekł Karol de Valois. - Ale pojmijcie, moja bratanico, że to ja was wyswatałem i nie chciałbym, aby wytykano mi zły wybór.

Wtedy po raz pierwszy Klemencja uniosła się gniewem. Odsunęła haft, wstała z krzesła i rzekła głosem, w którym zabrzmiał ton starej królowej Marii:

- Zdaje się zapominacie, panie stryju, że moja babka wydała na świat trzynastoro dzieci, a moja matka Klemencja z Habsburgów już miała troje, kiedy umarła mniej więcej w moim wieku. Stryjna Małgorzata, wasza pierwsza żona, nie dała wam powodu do skarg, jak mi wiadomo. Kobiety z naszego rodu są płodne, dowiodły tego w wielu królestwach. Jeśli więc istnieje przeszkoda, aby się spełniło wasze życzenie, nie może ona wynikać z mojej krwi. I o tym, panie, powiedzieliśmy sobie dosyć na dziś i na zawsze.

Odeszła i zamknęła się w swojej komnacie nie zezwalając, by jej towarzyszyła którakolwiek dama dworu.

Tu właśnie, w dwie godziny później, zastała królową Eudelina, pierwsza szafarka, gdy weszła, by przygotować łóżko. Klemencja siedziała przy oknie, za którym zapadła noc.

- Jak to, Miłościwa Pani - wykrzyknęła - pozostawiono was bez światła! Zaraz zawołam!

- Nie, nie, nie chcę nikogo - szepnęła cichutko Klemencja.

Szafarka podsycała dogasający ogień, zanurzyła w żarzących się węglach żywiczną gałąź i zapaliła nią świecę umieszczoną na żelaznej stopce.

- Och! Miłościwa Pani! Wy płaczecie? - spytała. - Czy ktoś wam sprawił przykrość?

Królowa otarła oczy.

- Niegodne uczucie dręczy moją duszę - rzekła nagle. - Jestem zazdrosna.

Eudelina spojrzała na nią zdziwiona.

- Wy, Miłościwa Pani, zazdrosna? Ale z jakiego powodu? Jestem pewna, że nasz Miłościwy Pan Ludwik was nie zdradził ani o tym myśli.

- Jestem zazdrosna z powodu pani de Poitiers - podjęła Klemencja. - Zazdroszczę jej, że będzie miała dziecko, kiedy ja się go wcale nie spodziewam. Och! Cieszę się jej radością, ale nie wiedziałam, że cudze szczęście może tak dotkliwie zranić.

- Ach! na pewno, Miłościwa Pani, wielki ból może sprawić cudze szczęście.

Eudelina wypowiedziała zdanie w dziwny sposób, nie jak służąca, która pochwała słowa swojej pani, ale jak kobieta, która przecierpiała ten sam ból i go rozumie. Ton nie umknął uwagi Klemencji.

- Czy ty też nie masz dziecka? - zapytała.

- Ależ tak, Miłościwa Pani, ależ tak, mam córkę, nazywa się jak ja i właśnie skończyła dziesięć lat.

Odwróciła się i jęła krzątać koło łóża wygładzając brokatową kołdrę podbitą wiewiórczym futerkiem.

- Czy od dawna jesteście szafarką w tym zamku? - pytała dalej Klemencja.

- Od wiosny, tuż przed waszym przyjazdem. Do tego czasu byłam w pałacu na wyspie Cité, gdzie zajmowałam się bielizną naszego Miłościwego Pana Ludwika, a przedtem jego ojca króla Filipa, i to przez całe dziesięć lat.

Zapadła cisza i tylko było słyhać, jak szafarka przyklepuje ręką poduszki.

„Zna na pewno sekrety tego domu... i łóżek - mówiła do siebie królowa.

- Ale nie, o nic jej nie poproszę ani zapytam. Niedobrze zmuszać do opowiadania sługi. To mi się nie godzi.”

Ale któż mógł ją poinformować oprócz służki, oprócz jednej z tych istot, które dzielą prywatne życie królów, nie uczestnicząc we władzy? Nigdy od czasu swej rozmowy z Karolem de Valois nie miałyby odwagi zadać krewnym książętom palącego ją pytania. Zresztą czy odpowiedzieliby zgodnie z prawdą? Do żadnej z dostojnych dam dworu nie miała prawdziwego zaufania, bo żadna nie była jej przyjaciółką. Klemencja czuła się cudzoziemką, której schlebia się czczymi pochwałami, ale którą się obserwuje, śledzi, a najmniejszy błąd, najdrobniejsza słabostka nie zostaną

wybaczone; mogła przeto być sobą tylko wobec sług. Eudelina budziła w niej szczególne zaufanie. Pierwsza szafarka o szczerym spojrzeniu, prostym sposobie bycia, dokładnych i spokojnych ruchach, z dnia na dzień stawała się bardziej uprzejma, a jej usłużność nie była na pokaz.

Klemencja zdecydowała się zapytać:

- Czy to prawda, że mała Pani Nawarry, którą chowa się z dala od dworu, tak że widziałam ją tylko jeden raz, nie jest córką mego małżonka?

A jednocześnie do siebie mówiła: „Czy nie należało mnie wcześniej powiadomić o tych sekretach korony? Moja babka powinna była dokładniej się poinformować, zaprawdę. Wydano mnie za męża nieświadomą wielu spraw”.

- Ba! Miłościwa Pani... - odpowiedziała Eudelina układając nadal poduszki, jakby pytanie nadmiernie jej nie zadziwiło. - Myślę, że nikt tego nie wie, nawet sam nasz Miłościwy Pan Ludwik. Każdy mówi to, co jemu dogadza: ci, co prawią, że Pani Nawarry jest córką króla, mają w tym swój interes, a tak samo i ci, co uważają ją za bękarta. Widać nawet, jak Dostojny Pan de Valois zmienia zdanie co miesiąc, chociaż w tej sprawie może być tylko jedna prawda. Jediną osobą, od której można było dowiedzieć się na pewno, to Pani Burgundzka, ale teraz ma ona usta pełne ziemi...

Eudelina zamilkła i spojrzała na królową.

- Troskacie się, Miłościwa Pani, czy jego Królewska Mość...

I znów zamilkła, ale Klemencja zachęciła ją wzrokiem.

- Bądźcie pewna, Miłościwa Pani - rzekła Eudelina. - Nic nie przeszkadza, aby Dostojny Pan Ludwik miał potomka, jak to plotą złe języki w królestwie, a nawet na dworze...

- Czy to wiadomo... - szepnęła Klemencja.

- Ja, ja to wiem - powoli odpowiedziała Eudelina - i bardzo dbano, żebym tylko ja jedna o tym wiedziała.

- Co chcesz powiedzieć?

- Chcę powiedzieć prawdę, Miłościwa Pani, bo i mnie ciąży na sercu tajemnica. Na pewno powinnam jeszcze zamilczeć... Ale nie obrażę takiej jak wy damy, tak wysokiego rodu i tak wielkiego miłosierdzia, kiedy wam wyznam, że moja córka jest od Dostojnego Pana Ludwika.

Królowa patrzyła na Eudelinę z bezmiernym zdziwieniem. Pierwsze małżeństwo Ludwika nie nastroczało Klemencji osobistych problemów. Ludwika ożeniono, jak wszystkich książąt zgodnie z interesami Państwa. Skandal, więzienie, następnie śmierć rozłączyły go z niewierną żoną.

Klemencja nie rozmyślała o pożyciu małżeńskim czy ukrytej niezgodzie tej pary. Ani ciekawość, ani wyimaginowane obrazy nie napastowały jej myśli. Ale oto miłość, miłość pozamałżeńska, stanęła przed nią w osobie tej kobiety różowej i jasnowłosej, przeszło trzydziestoletniej i Klemencja jeła sobie wyobrazać...

Eudelina przyjęła milczenie królowej za naganą.

- Ja tego nie chciałam, Miłościwa Pani, zapewniam was. To on na to bardzo nastawał. A jeszcze był taki młody, nie miał wcale rozeznania. Wielka dama na pewno by go spłoszyła.

Klemencja ruchem ręki zaznaczyła, że nie życzy sobie dalszych

wyjaśnień.

- Chcę zobaczyć twoją córkę.

- Możecie, Miłościwa Pani, pewnie że możecie, jesteście przecież królową. Ale ja was proszę nie róbcie tego, bo wszyscy będą wiedzieli, że wam powiedziałam. Taka jest podobna do swego ojca, że Dostojny Pan Ludwik bał się, że jej widok was urazi, i kazał ją zamknąć w klasztorze tuż przed waszym przyjazdem. Odwiedzam ją tylko raz na miesiąc, jak dorośnie złoży śluby.

Pierwszym odruchem Klemencji była zawsze wspaniałomyślność. Zapomniała na chwilę o własnym dramacie.

- Ależ dlaczego - rzekła półgłosem - po co? Jak można było sądzić, że mnie się spodoba takie postępowanie, i do jakiego rodzaju kobiet przyzwyczajeni są książęta z panującego dworu Francji? Moja Eudelino, więc z mojego powodu odebrano ci córkę! Gorąco cię proszę o przebaczenie.

- Och! Miłościwa Pani - odparła Eudelina - ja dobrze wiem, że to nie z waszej winy.

- To się stało nie z mojej winy, ale z powodu mnie - rzekła w zamyśleniu Klemencja. - Każdy z nas odpowiada nie tylko za swoje złe postęпки, ale także za całe zło, jakie spowodował, nawet nieświadomie.

- A mnie też, Miłościwa Pani - podjęła Eudelina - i mnie, co byłam pierwszą pałacową szafarką, Dostojny Pan Ludwik wysłał tutaj na gorsze stanowisko od tego, co zajmowałam w Paryżu. Nikt nie śmie się sprzeciwić woli króla, ale to naprawdę nędzne podziękowanie za milczenie, jakie zachowałam. Na pewno Dostojny Pan Ludwik mnie też chciał ukryć, nie myślał on, że wam się bardziej spodoba to mieszkanie w lasach od wielkiego pałacu na Cité.

Teraz, gdy zaczęła się zwierzać, już nie mogła się powstrzymać.

- Mogę wam wyznać szczerze - mówiła dalej - że po waszym przybyciu myślałam tylko wam służyć z obowiązku, ale na pewno nie z przyjemności. Musicie być bardzo szlachetną panią i mieć tak samo dobre serce, jak macie piękną twarz, bo czułam, jak was zaczynam kochać. Wy wcale nie wiecie, jak was kochają prości ludzie. Trzeba posłuchać, co mówią o królowej w kuchniach, w stajniach, w pralniach. Tam macie oddane wam dusze, daleko więcej jak pośród baronów. Zdobyliście serca nas wszystkich, a nawet moje, co było przed wami najbardziej zamknięte: Nie macie teraz służki bardziej do was przywiązanej ode mnie - zakończyła Eudelina chwytając dłoń królowej, by ją przycisnąć do ust.

- Twoja córka zostanie ci oddana i ja się nią zaopiekuję. Porozmawiam o tym z królem - rzekła Klemencja.

- Nie róbcie tego, Miłościwa Pani, proszę was - zawołała Eudelina.

- Król obsypuje mnie darami, jakich nie pragnę; może mi raz podarować to, co się mnie podoba.

- Nie, nie, błagam was, nie róbcie tego - powtórzyła Eudelina. - Wole widywać córkę w welonie, niż zobaczyć ją w ziemi.

Klemencja po raz pierwszy od początku rozmowy uśmiechnęła się, prawie roześmiała.

- Czy we Francji ludzie twego stanu aż tak się boją króla? Czy też cięży

na was pamięć o królu Filipie, o którym mówiono, że był bez miłosierdzia?

Chociaż Eudelina naprawdę miłowała królową, zachowała jednakże zacieklą urazę do Kłótliwego. Nadarzała się piękna sposobność zadowolić naraz oba uczucia.

- Nie znacie wy jeszcze Miłościwego Pana Ludwika, jak każdy z nas go tutaj zna, nie pokazał się wam jeszcze od podszewki. Nikt nie zapomniał - mówiła zniżając głos - jak kazał torturować sługi ze swego pałacu po procesie Pani Małgorzaty i że osiem trupów okaleczonych z połamanymi kośćmi wyłowiono pod wieżą Nesle. Czy myślicie, że wpadli tam przez przypadek? Nie chciałabym, żeby przypadek pchnął mnie i moją córkę w to samo miejsce.

- To plotki, które rozpuszczają wrogowie króla...

Ale wymawiając te słowa przypomniawszy sobie jednocześnie aluzje kardynała Dueze w Awinionie.

- Czyżbym poślubiła okrutnika? - zapytała siebie.

- Przepraszam, że za dużo powiedziałam - podjęła Eudelina. - Oby Bóg pozwolił, abyście się nie dowiedziały nic gorszego, a wasze wielkie miłosierdzie ochroniło was od takich wiadomości.

- Czegóż gorszego mogłabym się dowiedzieć?... Czy to tyczy zgonu Pani Małgorzaty...?

Eudelina ze smutkiem wzruszyła ramionami.

- Wy jedna na dworze nie domyślałyście się tego, Miłościwa Pani. Jeżeli jeszcze nikt wam o tym nie powiedział, to pewno dlatego, że jacyś czekają na złą chwilę, żeby wam zaszkodzić. Kazał ją zadusić, dobrze wiadomo, w okolicy Zamku Gaillard nie boją się o tym mówić... Ale poznawszy was, pochwaliliby się króla.

- Mój Boże, mój Boże, czy to możliwe... czy to możliwe, że mordowano, żeby mnie poślubić - jęknęła Klemencja chowając twarz w dłoniach.

- Ach, nie płaczcie znowu, Miłościwa Pani - rzekła Eudelina. - Zaraz nadejdzie pora wieczerzy, a wy nie możecie pokazać się w takim stanie. Trzeba wam twarz odświeżyć.

Poszła po miskę z chłodną wodą i lustro, przycisnęła zwilżony ręcznik do twarzy królowej i upięła rozpleciony warkocz. Miała bardzo delikatne ruchy i tkliwość jakby opiekuńczą.

Twarze obu kobiet ukazały się na chwilę obok siebie w lustrze, dwie twarze o takiej samej karnacji złocistych blondynek, o takich samych oczach dużych i niebieskich.

- Czy wiesz, że jesteśmy do siebie podobne - rzekła królowa.

- To najpiękniejszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam, i bardzo bym chciała, żeby to była prawda - odpowiedziała Eudelina.

Ponieważ obie były głęboko wzruszone i równie pragnęły przyjaźni, ten sam odruch pchnął je ku sobie i przez chwilę trwały w uścisku.







## V

### Widelec i kłęcznik

Ludwik X, z podniesionym podbródkiem, z uśmiechem na ustach, w szacie podbitej futrem narzuconej na nocną koszulę, wkroczył do komnaty.

Już w czasie wieczery zauważył, że królowa jest dziwnie osowiała, daleka, prawie nieobecna, nie nadaża za tokiem rozmowy, ledwie odpowiada na skierowane ku niej słowa; lecz się tym nie zaniepokoił. „Kobiety miewają swoje humory - mówił sobie - a ten podarunek, który jej przynoszę, na pewno ją rozweseli.” Kłótniwy bowiem należał do tych mężów bez polotu, co nie dość cenią kobiety i sądzą, że prezencikiem wszystko da się załatwić. Przeto wchodząc starał się wyglądać jak najpowabniej i niósł podłużne puzderko w dłoni.

Był nieco zdziwiony zobaczywszy Klemencję na kłęczniku. Zazwyczaj kończyła odmawiać wieczorne pacierze przed jego przybyciem. Dał jej znak ręką, co oznaczało: „Nie troszczcie się o mnie, kończcie spokojnie”, i stał w przeciwległym końcu komnaty obracając w palcach puzderko.

Minuty upływały, z czarki stojącej koło łoża wziął i schrupał osmażony w cukrze migdał. Klemencja wciąż kłęczała. Ludwik zbliżył się ku niej i spostrzegł, że się nie modli. Wpatrywała się w niego.

- Patrzcie, moja duszko - powiedział - spójrzcie jaką mam dla was niespodziankę. Och! to nie klejnot, to raczej rarytas, wynalazek złotnika. Patrzcie...

Otworzył puzderko i wyjął długi, lśniący przedmiot o dwóch ostrzach. Klemencja odruchowo cofnęła się na kłęczniku.

- Ależ, moja miła - wykrzyknął śmiejąc się Ludwik - nie bójcie się, nie zrobiono tego, by ranić. To małe widelki, aby jeść gruszki. Patrzcie, jaka misterna robota.

Położył na drewnianym kłęczniku widelec o dwóch stalowych, bardzo ostrych widelkach, osadzonych na rękojeści z kości słoniowej cyzelowanej złotem.

Królowa jakby naprawdę nie okazywała wielkiego zaciekawienia podarunkiem ani też nie doceniała wynalazku. Ludwik poczuł się rozczarowany.

- Kazałem go specjalnie zamówić przez Tolomeia u złotnika we Florencji. Zdaje się, że jest tylko pięć takich widelców na świecie, i chciałem wam dać jeden, żebyście nie brudziły waszych ślicznych paluszków jedząc owoce. To cacko dla dam. Mężczyźni nigdy nie śmieliby ani potrafili posługiwać się takim drogim narzędziem, chyba mój szwagier w Anglii, który - jak mnie mówiono - ma taki widelczyk i nie boi się ośmieszyć, używając go przy stole.

Myślał, że okazał się dowcipnym mówiąc ostatnie słowa, i oczekiwał uśmiechu, ale Klemencja nie ruszyła się z kłęcznika i uparcie patrzyła na

męża. Nigdy nie była tak piękna: złociste włosy spływały jej aż na biodra.

Ludwik podjął:

- Aha! Tolomei właśnie powiedział, że wyzdrowiał jego młody siostrzeniec, którego wysłałem razem z Bouville'em po was do Neapolu; wkrótce uda się on w drogę do Paryża. W każdym liście pisze do swego wuja o dobroci, jakiej od was zaznał.

Nie otrzymał odpowiedzi.

„Co się jej właściwie stało? - zapytywał siebie. - Mogłaby przynajmniej jednym słówkiem podziękować.” Uniósłby się już gniewem na każdego, lecz nie na Klemencję, nie chciał, aby scena małżeńska tak szybko zaćmiła jego szczęście. Opanował się i ponowił usiłowania.

- Zaprawdę wierzę, że tym razem sprawy w Artois nie zostaną pomyślnie załatwione. Wszystko dobrze się zapowiada, spotkanie w Compiègne - w waszym miłym towarzystwie - dało wyniki, jakich oczekiwałem i wkrótce rozsądzę spór. Wszystko się uspokaja, kiedy jesteście przy mnie.

- Ludwiku - rzekła nagle Klemencja - w jaki sposób umarła wasza pierwsza małżonka?

Ludwik pochylił się do przodu, jakby otrzymał cios w żołądek, i chwilę wpatrywał się w nią osłupiały.

- Małgorzata umarła... ona umarła - odparł wymachując rękami - ...z gorączki piersiowej, co ją zadusiła, wedle tego co mnie mówiono.

- Ludwiku, czy możecie przysiąc przed Bogiem...

Przerwał jej podniesionym głosem:

- Co chcecie, żebym przysiągł? Nie mam nic do przysięgania. Do czego zmierzacie? Co chcecie wiedzieć? Powiedziałem wam to, co powiedziałem, i proszę tym się zadowolić. Nic więcej nie potrzeba wam wiedzieć.

Jął biegać po komnacie kaczym krokiem. Z wycięcia nocnej szaty wyglądała zaczerwieniona szyja. W wypukłych oczach lśniły niepokojące błyski.

- Nie chcę - krzyczał - nie chcę, żeby mnie o niej mówiono. Nigdy! A wy bardziej niż ktokolwiek. - Zabraniam wam, Klemencjo, wymawiać kiedykolwiek w mojej obecności imię Małgorzaty...

Przerwał mu atak kaszlu.

- Czy możecie mi przysiąc przed Bogiem - powtórzyła z determinacją Klemencja - czy możecie mi przysiąc, że wasza wola w niczym nie zaważyła na jej zgonie?

Ludwikowi gniew szybko mącił rozum. Zamiast po prostu zaprzeczyć i wzruszyć ramionami, jak wobec niedorzecznego i obraźliwego przypuszczenia, odpowiedział:

- A gdyby tak było, wy ostatnia miałybyście prawo mnie to wymawiać. To raczej powinniście mieć za złe waszej babce!

- Moja babka? - szepnęła Klemencja. - Co z tym może mieć wspólnego moja babka?

Kłótniwy wnet pojął, że popełnił głupstwo, co tylko wzmogło jego gniew. Było za późno, żeby się wycofać.

- Oczywiście, że to вина Pani Węgierskiej! Żądała, by nasz ślub został zawarty przed latem. Więc, życzyłem sobie... dobrze pojmijcie, ja tylko

sobie życzyłem... żeby Małgorzata umarła przed tym terminem. I zostałem wysłuchany, oto i wszystko. Gdybym nie wyraził tego życzenia, wy nie byłobyście dzisiaj królową Francji. Więc nie róbcie z siebie takiego niewiniątka i nie gańcie mnie za to, co wam tak dogadza i co wyniosło was ponad wszystkich krewniaków.

- Nigdy bym się nie zgodziła - zawołała Klemencja - gdybym wiedziała, że to nastąpi za taką cenę. Z powodu tej oto zbrodni, Ludwiku, Bóg nam nie daje dziecka!

Ludwik zrobił pół obrotu i znieruchomiał w osłupieniu.

- Tak, z powodu tej zbrodni, a także wszystkich innych coście popełnili - mówiła królowa wstając z klęcznika. - Kazaliście powiesić pana de Marigny. Trzymacie wciąż w ciemnicy legistów waszego ojca. Kazaliście torturować wasze własne sługi. Nastawialiście na życie i wolność bożych stworzeń. Dlatego teraz Bóg was karze i nie pozwala wam spłodzić nowych istot.

Ludwik pełen zdumienia patrzył jak się zbliża. Istniała więc trzecia osoba, która nie przejmowała się jego atakami gniewu, powściągała jego furię i brała nad nim górę. Ojciec jego, Filip Piękny, panował nad nim monarszym majestatem; brat jego, hrabia de Poitiers, panował nad nim swą inteligencją, a oto jego nowa małżonka panowała nad nim wiarą. Nigdy by nie mógł sobie wyobrazić, że jego sędzia pojawi się przed nim w małżeńskiej komnacie w postaci tej kobiety tak pięknej, o włosach drżących, podobnych złocistej komecie.

Twarz Ludwika skurczyła się; przypominał dziecko, które się wnet rozpłacze.

- I co chcecie, żebym teraz zrobił? - zapytał piskliwym głosem. - Nie mogę wskrzesić zmarłych. Wy nie wiecie, co to znaczy być królem! Nie wszystko się dzieje za moją wolą; a właśnie mnie obwiniacie za wszystko. Co chcecie uzyskać? Na co się zda zarzucać mi to, czego nie można naprawić? Rozstańcie się więc ze mną, wracajcie do Neapolu, jeżeli nie możecie patrzeć na mnie. I czekajcie, aż będzie papież, żeby go prosić o unieważnienie związku!... Ach! ten papież, ten papież! - dorzucił ściskając pięści. - Nic z tego by się nie stało, gdyby był papież.

Klemencja położyła mu ręce na ramionach. Była trochę od niego wyższa.

- Nie potrafiłabym myśleć o rozłące z wami - rzekła. - Jestem waszą małżonką, by dzielić każdy wasz los, wasze nieszczęścia, jak i radości. Ratować waszą duszę, oto czego chcę, i natchnąć ją skrucą, bez której nie ma przebaczenia.

Spojrzał w jej oczy i ujrzał w nich tylko dobroć i wielkie napięcie współczucia. Odetchnął głębiej i przyciągnął ją ku sobie.

- Moja miła, moja miła, jesteś lepsza ode mnie, o ileż lepsza! Nie mógłbym żyć bez ciebie. Obiecuję ci ukorzyć się i bardzo żałować za zło, jakie mogłem być wyrządzić.

Jednocześnie wtulił głowę w ramię Klemencji i muskał wargami nasadę jej szyi.

- Ach! moja droga - mówił - jaka jesteś dobra, jak cię kochać miło! Takim będę, obiecuję ci, będę takim, jakim tylko chcesz. Oczywiście mam

wyrzuty sumienia i napawają mnie one często wielkim strachem! Zapominam się tylko w twoich ramionach. Chodź, moja ukochana, chodź, żeby się pokochać.

Usiłował zaciągnąć ją do łóża, lecz ona stała nieruchoma i czuł, że się kurczy i opiera.

- Nie, Ludwiku, nie - szepnęła. - Musimy odbyć pokutę.

- Ależ odbędziemy pokutę, moja miła. Będziemy pościć trzy dni w tygodniu, jeśli chcesz. Chodź, za bardzo cię pożadam!

Oswobodziła się, a ponieważ chciał ją zatrzymać siłą, pękł szew w jej nocnej szacie. Trzask prutej tkaniny przestraszył Klemencję. Zasłoniła ręką obnażone ramię i pobiegła schować się za klęcznik. Ten odruch lęku ponownie rozjuszył Kłótliwego.

- Czego wreszcie chcesz - wrzasnął - co mam zrobić, żeby się tobie spodobać?

- Nie chcę do was należeć, zanim nie odbędziemy razem pielgrzymki. Pójdziemy pieszo; dowiemy się następnie, czy Bóg nam przebaczył obdarzając nas dzieckiem.

- Najlepszą pielgrzymkę, aby mieć dziecko, odbywa się tutaj! - rzekł Ludwik pokazując na łóżko.

- Och, nie drwijcie ze spraw religii - odparła Klemencja - w taki sposób mnie nie przekonacie.

- Bardzo dziwna jest ta wasza religia, kiedy nakazuje wam opierać się woli małżonka. Czy nigdy was nie uczono, że są obowiązki, od których nie wolno wam się uchylać?

- Ludwiku, wy mnie nie rozumiecie!

- Tak, ja was rozumiem. Rozumiem, że odrzucacie mnie. Rozumiem, że wcale wam się nie podobam, że postępujecie ze mną jak Małgorzata...

Zbliżył się z wzrokiem skierowanym, jak się zdawało Klemencji, na widelczyk o dwóch zaostrzonych zębach, który leżał nadal na brzegu klęcznika. Wysunęła rękę, by schwycić narzędzie, zanim on to uczyni. On zaś nie zauważył nawet jej gestu. Na nic nie zwracał uwagi, ogarnięty wielkim lękiem i wielką rozpaczą.

Tylko przy uległym ciele Ludwik czuł się pewny swej męskiej mocy. Opór obracał ją wniwecz. To było wyłączone źródło dramatów w jego pierwszym małżeństwie. A jeśli ta słabość znów go ogarnie? Najgorsza to kara, nie mieć siły osiąść tej, której się najbardziej pożąda. Jak wytłumaczyć Klemencji, że w nim samym kara poprzedziła zbrodnię? Przerazała go myśl, że zazębą się i znów kolejno ruszą pochodem odmowa, impotencja i nienawiść. Powiedział jakby do siebie samego:

- Czyż jestem potępiony, czy jestem więc przeklęty, nie mogąc być kochany przez moją ukochaną?

Przymknawszy powieki, wciąż drżąca, Klemencja myślała z kolei: „A ja sądziłam, że on chce mnie zabić?”

Poddając się fali wstydu, a także i litości opuściła klęcznik i rzekła:

- Więc dobrze, będę posłuszna waszej woli.

Jęła gasić świece.

- Zostaw niech się palą - rzekł Kłótlivy.

- Naprawdę chcecie, Ludwiku...

- Zrzucić szaty.

Zdecydowana na bezwzględne posłuszeństwo, z uczuciem, że ulega szatanowi, rozebrała się do naga. Jeśli Ludwik jest potępiony, ona podzieli jego potępienie. Przyciągnął ku łożu to obrysowane cieniem piękne ciało, nad którym znów posiadał władzę. Szepnął jej w podzięcie:

- Przrzekam ci, moja duszko, przrzekam, że każę uwolnić pana de Presles i wszystkich legistów mojego ojca. Zaiste chcesz zawsze tego samego, co i mój brat Filip.

Klemencja pomyślała, że jej uległość przyczyni się do czyjegoś dobra i w braku pokuty zostaną uwolnieni więźniowie.

Tej zaś nocy głośny okrzyk wzbił się pod pułap królewskiej komnaty. Zameżna od pięciu miesięcy królowa Klemencja odkryła, że nie tylko po to jest się królową, aby być nieszczęśliwą, ale że wrota małżeńskie mogą się otworzyć na nieznane olśnienia.

Długie minuty leżała wyczerpana, zdyszana, zachwycona, jakby morze z rodzinnego wybrzeża złożyło ją na jakimś złocistym piasku. Tym razem ona oparła się o królewskie ramię, by na nim zasnąć, Ludwik zaś oszołomiony wdzięcznością za rozkosz, jaką obdarzył, przeżył pierwszą bezseną noc, której nie nawiedziła groza śmierci.

Ale ta rozkosz, niestety, już się nie powtórzyła. Nazajutrz Klemencja bez pomocy jakiegokolwiek spowiednika skojarzyła rozkosz z grzechem w nierozłączną całość. Była bardziej nerwowa, niż na pozór wyglądała, bo od tej nocy każde zbliżenie się małżonka sprawiało jej nieznośny ból, który nie zawsze była zdolna przemilczeć. Ból ten niekiedy uniemożliwiał jej przyjęcie hołdu królewskiego, nie z braku dobrej woli, lecz na skutek oporu ciała. Szczerze się tym martwiła, tłumaczyła i usiłowała, lecz na próżno, zaspokoić gorące nalegania Ludwika.

- Zapewniam was, mój słodki panie, zapewniam was - mówiła - że musimy odbyć pielgrzymkę, przedtem nie będę mogła.

- No dobrze, pójdziemy, moja miła, wkrótce pójdziemy tak daleko, jak wam się spodoba, i z powrozem na szyi, jeśli chcecie; lecz pozwólcie mi wpierw załatwić sprawy Artois.





## VI

### Sąd polubowny

Na dwa dni przed Bożym Narodzeniem, w największej sali zamku w Vincennes, zamienionej przy tej okazji w izbę sądową, zasiedli panowie, wielmoże i legiści. Czekali na króla.

Rano przybyli przedstawiciele baronów z Artois, z Gerardem Kierezem i Janem de Fiennes na czele, oraz z nierozłącznymi panami de Souastre i de Caumont. Zdawałoby się, że wszystko ułożyło się pomyślnie. Królewscy wysłannicy nie szczędzili zabiegów, aby pojednać wrogów, hrabia de Poitiers podsuwał rozsądny plan rozwiązania trudności i doradzał teściowej, aby ustąpiła w kilku sprawach i przywróciła pokój w swym państwie.

Kanclerz Etienne de Mornay przestrzegał pouczeń króla, prawdę rzekłszy dość mętnych, lecz wielkodusznych w swych intencjach: „Dość mam przelewu krwi, nie życzę sobie, aby ludzie byli niesprawiedliwie trzymeni w ciemnicach. Chcę, aby każdy otrzymał to, co mu się należy wedle prawa, aby wszędzie panowały dobra zgoda i przyjaźń”. Kanclerz zredagował długi wyrok; Kłótniwy był z niego niezmiernie dumny, gdy go mu przeczytano, jakby osobiście podyktował wszystkie paragrafy.

W tymże czasie Ludwik kazał uwolnić Raula de Presles i sześciu innych doradców swego ojca, którzy od kwietnia gnili w więzieniu. Ten poryw dobroci obejmującej wszystkich, mimo sprzeciwu Karola de Valois, doprowadził również do ułaskawienia żony i syna Enguerranda de Marigny, dotąd strzeżonych w więzieniu.

Taka zmiana postawy dziwiła dwór. Czyż król nie posunął się aż do przyjęcia Ludwika de Marigny i to w obecności królowej i kilku dostojników?

Ściskając go oświadczył:

- Mój chrześniaku, przeszłość zapomniana.

Kłótniwy używał teraz tej formuły przy każdej okazji, jakby chciał przekonać siebie oraz innych, że rozpoczął się nowy okres jego panowania.

Zwłaszcza czuł się w zgodzie ze swym sumieniem tego właśnie ranka, gdy wkładano mu koronę, a na ramiona narzucano uroczysty płaszcz ozdobiony kwiatami lilii.

Mateusz de Trye podał mu złotą dłoń sprawiedliwości z dwoma uniesionymi palcami.

- Jakaż ona ciężka! - rzekł Ludwik. - Już to zauważyłem w dniu koronacji.

- Sire, czy przyjmiecie najpierw mistrza Martina, który tylko co przybył z Paryża, czy też zobaczycie się z nim po Radzie? - spytał wielki szambelan.

- Mistrz Martin tu jest? - wykrzyknął Ludwik. - Zaraz chcę go zobaczyć.

Zostawcie mnie z nim.

Wszedł mężczyzna około pięćdziesiątki, dość okazałej tuszy, o bardzo ciemnej cerze i zamyślonych oczach. Chociaż przyodziany był bardzo skromnie, niemal jak mnich, cechowało go coś wschodniego w postawie, w gestach namaszczonych a pewnych, w ruchu, jakim zarzucał płaszcz na ramię, w pokłonie przy powitaniu. W młodości mistrz Martin wiele podróżował, dotarł aż do wybrzeży Cypru, do Konstantynopola i do Aleksandrii. Nie było całkiem pewne, czy zawsze nosił to imię Martin, pod którym był znany.

- Czyście znaleźli odpowiedź na pytania, jakie wam zadałem? - zapytał go od razu Kłótlivy.

- Uczyniłem to, Sire, uczyniłem. Wielki to dla mnie zaszczyt, że się mnie radzicie.

- Więc powiedzcie mi prawdę, jeżeli nawet jest najgorsza; nie boję się jej usłyszeć.

Astrolog tej miary co mistrz Martin wiedział, co ma myśleć o tego rodzaju zagajeniu, zwłaszcza wygłoszonym przez króla.

- Sire - odpowiedział - wiedza<sup>21</sup> nasza nie jest doskonała, a chociaż gwiazdy nigdy nie kłamią, nasze pojmowanie może błędzić w ich interpretacji. Jednakże nie widzę, aby wasz niepokój był uzasadniony. Nic, zdaje się, nie przeszkadza, abyście mieli potomstwo. Obraz nieba w dniu waszego urodzenia raczej wam jest przychylny w tej materii, a gwiazdy ustawiły się w sprzyjający sposób dla ojcostwa. W istocie Jowisz ukazuje się tu u szczytu Raka, a to jest oznaką płodności. Co więcej, tenże Jowisz w dniu waszego urodzenia tworzy przyjazny trygon z księżycem i planetą Merkury. Nie powinniście się więc wyrzekać nadziei potomstwa. O, wcale nie! Natomiast opozycja księżyca do Marsa nie zapowiada, aby życie dziecka było pozbawione trudności; należy więc otoczyć je od pierwszych dni czujną troską i wiernymi sługami.

Mistrz Martin zdobył wielki rozgłos przepowiadając długo naprzód, jakkolwiek w słowach nader zawoalowanych, śmierć Filipa Pięknego. Zgon króla miał zbiec się z zaćmieniem słońca w listopadzie 1314 roku. Astrolog napisał: „potężny monarcha Zachodu...” wystrzegając się bliższych danych; Ludwik X od tego czasu miał wielki respekt dla mistrza Martina.

- Cenię wasze zdanie, mistrzu Martin, i krzepią mnie wasze słowa. Czy mogliście wykryć, jaki czas najbardziej sprzyja poczęciu upragnionych potomków?...

Mistrz Martin wciąż wypowiadał się powoli, aby zyskać na czasie i nadać swym odpowiedziom jak najbardziej krzepiącą formę.

- Mówmy tylko o pierwszym, Sire, bo co do następnych nie mógłbym wypowiedzieć się z dostateczną pewnością... Brak mi godziny urodzenia królowej, ona jej nie zna i nikt mi jej nie mógł dostarczyć. Ale nie sądzę, bym popełnił wielki błąd, mówiąc, że urodzi się wam dziecko, zanim słońce wejdzie w znak Strzelca, co wyznacza czas poczęcia na połowę lutego.

- Trzeba mi więc pośpieszyć się z pielgrzymką do Świętego Jana w Amiens, której królowa tak pragnie. A jak myślicie, mistrzu Martin, kiedy

mam znów wszcząć wojnę z Flamandami?

- Sądzę, że w tej materii winniście, Sire, pójść za natchnieniem waszej mądrości. Czyście już wybrali datę?

- Zamierzam zebrać wojska przed sierpniem przyszłego roku.

Zamyślane spojrzenie mistrza Martina zawisło przez chwilę na królu, na jego koronie, na dłoni sprawiedliwości, która zdawała się mu ciążyć, bo trzymał ją opartą na ramieniu jak ogrodnik rydel.

- Przed sierpniem jeszcze jest czerwiec... - szepnął astrolog, po czym rzekł głośniej:

- Może się zdarzyć, że w sierpniu przyszłego roku Flamandowie przestaną was niepokoić.

- W to ja bardzo wierzę - wykrzyknął Kłótniwy - bo wzbudziłem w nich wielki strach ubiegłego lata i pewno przed ustaloną porą poddadzą się bez walki.

Dziwne sprawia wrażenie patrzeć na człowieka, kiedy wie się niemal na pewno, że umrze, zanim upłynie sześć miesięcy, i słuchać, że układa plany na przyszłość, której prawdopodobnie nie ujrzy. „Chyba, że dożyje do listopada...” - rozmyślał Martin. Oprócz bowiem groźnego okresu w czerwcu, astrolog wykrył drugi, złowieszczy aspekt, groźną dyrekcję Saturna w dwudziestym siódmym roku i czterdziestym czwartym dniu życia Ludwika. „Dwie fatalne koniunkcje odległe o sześć miesięcy. Jeżeli naprawdę spłodzi, druga zbiegnie się wtedy z narodzinami dziecka. W każdym razie nie mówi się tych rzeczy.”

Zanim jednak odszedł trzymając w garści trzos, który król mu podał, mistrz Martin czuł się zobowiązany dorzucić:

- Sire, jeszcze jedno słowo, dla zachowania waszego zdrowia strzeżcie się jadów, zwłaszcza u schyłku wiosny.

- Czy muszę się wyrzec bielaków, kurek i smardzów? - zapytał Ludwik.

- Bardzom na nie łasy, ale to prawda, że czasem wywołują u mnie niestrawność.

Po czym dodał nagle zatroskany:

- Jad... Czy myślicie o ukąszeniu żmii?

- Nie, Sire, mówię o jadle.

- No dobrze... Dziękuję wam za radę, mistrzu Martin.

Udając się do sali sądowej, natychmiast Ludwik nakazał swemu wielkiemu szambelanowi zdwoić nadzór w kuchniach, zabezpieczyć się, by używano tylko produktów z wiadomego źródła oraz próbować wszystkich potraw dwukrotnie, a nie jeden raz przed podaniem mu ich do stołu.

Następnie wszedł do wielkiej sali, gdzie zebrani powstali i czekali, aż on zajmie miejsce pod baldachimem.

Wygodnie siedząc, nasunawszy poły płaszcz na kolana i z dłonią sprawiedliwości ukośnie pochyloną w przegubie ramienia, Ludwik czuł się przez chwilę podobny Panu Niebios na kościelnych witrażach. Po prawicy i po lewicy baronowie w pięknych strojach nabożnie pochylali głowy. Istnieją jednakże przyjemne chwile w królewskim stanie i Ludwik nie spieszył się, by położyć kres swej satysfakcji.

„Oto - rozmyślał - wydam wyrok i wszyscy się mu podporządkują, i ustanowię znów pokój i zgodę między moimi poddanymi.”



Przed nim ustawiły się oba stronnictwa, które miał rozsądzić. Z jednej strony hrabina Mahaut przewyższając o głowę i o koronę zgrupowanych wokół niej doradców. Po drugiej - przedstawiciele „sojuszników” z Artois. Ci wyglądali niezbyt jednolicie, bo każdy włożył, co miał najlepszego, i stroje ich niezupełnie były wedle ostatniej mody. Ci drobni panowie tręcili prowincją. Souastre i Caumont przystroili się dziwacznie, jak na turniej, i zdawało się, że przeszkadzają im hełmy, które trzymali w dłoni przed piersią.

Wielcy baronowie wyznaczeni do asysty króla zostali mądrze dobrani w równej ilości spośród przyjaciół obu obozów. Karol de Valois, jego syn, Filip, Karol de la Marche, Ludwik de Clermont, Beraud de Mercoeur, a zwłaszcza Robert d’Artois stanowili podporę sojuszników. Natomiast było wiadome, że Mahaut popierają Filip de Poitiers, Ludwik d’Evreux, Henryk de Sully, hrabiowie Sabaudzki, de Boulogne, de Forez i pan Miles de Noyers.

- *In nomine patris et filii...* \*

Zebrani spojrzeli po sobie zdumieni. Po raz pierwszy król zagajał modlitwą posiedzenie i odwoływał się w swych postanowieniach do boskiego światła.

- Przemieniono go nam - szepnął Robert d’Artois do Filipa de Valois - oto teraz uważa się za biskupa na ambonie.

- Moi najdrożsi bracia, moi najdrożsi stryjowie, moi zacni kuzynowie i wy umiłowani wasale, oto wielce pragniemy i z Bożego rozkazu mamy obowiązek utrzymać pokój w królestwie oraz potępić podział między naszymi poddanymi...

Ludwik często się jękał przemawiając publicznie, ale tym razem mówił powoli, lecz wyraźnie, naprawdę czuł się natchniony i rozważano, słuchając go tego dnia, czy jego prawdziwym przeznaczeniem nie było zostać dobrym wikarym w jakiejś skromnej parafii.

Zwrócił się najpierw do hrabiny Mahaut i poprosił ją, by zastosowała się do jego rad. Mahaut odpowiedziała:

- Sire, niczego tak nie pragnę jak zgody i tylko chcę się we wszystkim wam przypodobać.

Następnie król z tym samym zaleceniem zwrócił się do sojuszników.

- Sire - odpowiedział Gerard Kierez - jedyną naszą wolą jest spokój i okazanie wam, Miłościwy Panie, że jesteśmy waszymi wiernymi wasalami.

Ludwik popatrzył wokół siebie na swych stryjów, braci i kuzynów: „Patrzcie - zdawał się mówić - jak dobrze potrafiłem załatwić wszystkie sprawy”.

Następnie zebrani usiedli, a kanclerz Etienne de Mornay przeczytał wyrok sądu polubownego, który rozpoczynał się oświadczeniem wyrażającym intencję arbitrażu.

Przeszłość, zgodnie z drogą królowi formułą, uległa zapomnieniu, a obie strony wybaczały sobie wzajemnie: nienawiść, obelgi i urazy. Hrabina Mahaut uznawała swe zobowiązania wobec swych poddanych, poręczała, że utrzyma zacny spokój w prowincji Artois, że nie wyrze pomsty na sojusznikach i nie będzie szukać sposobności, aby wyrządzić im zło lub

---

\* W imię Ojca i Syna...

szkodę. Położy pieczęć, jak już król to uczynił, pod obyczajami panującymi w czasach Ludwika Świętego, które to obyczaje potwierdzą przed nią ludzie godni wiary: rycerze, duchowni, mieszczanie, adwokaci...

Ludwik X słuchał jednym uchem. Przedyktowawszy pierwsze zdanie, uważał, że uczynił wszystko. Wcale go nie interesowały szczegóły rozporządzeń prawnych, opracowanie ich pozostawił Mornayowi. Myśl jego zбочzyła gdzie indziej. Liczył właśnie na palcach: „Luty, marzec, kwiecień, maj... tym sposobem około listopada ma się narodzić mój następca...”

„Jeśliby wpłynęła skarga na hrabinę - czytał Etienne de Mornay - król każe przeprowadzić śledztwo, czy skarga jest uzasadniona, a gdyby hrabina wzbraniała się zadośćuczynić sprawiedliwości, król ją ku temu przymusi. Ponadto hrabina winna określić wysokość grzywny, której żąda, za każde przestępstwo. Hrabina winna zwrócić panom ziemie, które dzierży bezprawnie...”

Mahaut jęła się gorączkować, ale uspokoili ją zgrupowani koło niej czterej bracia d’Hirson: kanclerz, skarbnik, stolnik i bajlif.

- Nigdy nie było o tym mowy w Compiegne! - mówiła Mahaut. - To podła dokładka.

- Lepiej stracić trochę niż stracić wszystko - podszepnął jej Denis.

Wspomnienie odbytej w więzach przechadzki, w dniu ścięcia sierżanta Cornillot, skłoniło go do kompromisu.

Mahaut zakasała rękawy i dalej słuchała hamując gniew.

Czytanie trwało prawie kwadrans, gdy dreszcz zainteresowania przebiegł po sali; Mornay rozpoczął lekturę ustępu dotyczącą Thierry’ego d’Hirson. Wszystkie spojrzenia skierowały się na kanclerza hrabiny i jego braci.

„...Zaś co do tego, co tyczy pana Thierry d’Hirson; którego sojusznicy żądają stawić przed sąd, król postanawia, aby oskarżenie zostało wniesione do biskupa z Therouanne, któremu podlega pan Thierry; lecz nie będzie on władny udać się do Artois w celu własnej obrony, ponieważ pomieniony pan Thierry jest wielce w kraju znienawidzony. Jego bracia, siostry, bratankowie również nie mogą tam pojechać, dopóki wyrok nie zostanie wydany przez biskupa, a przez króla potwierdzony...”

Od tej chwili bracia d’Hirson zaniechali pojednawczej postawy, którą dotychczas zachowywali.

- Spójrzcie na waszego bratanka, Dostojna Pani, widzicie jak triumfuje! - rzekł Piotr, bajlif z Arras.

W istocie Robert d’Artois wymieniał uśmieški ze swymi kuzynami Valois.

- Ostatnie słowo nie padło, moi przyjaciele, ostatnie słowo nie padło! - szepnęła zaciskając szczęki Mahaut. - Thierry, czy kiedykolwiek was opuściłam?

Kiedy czytanie wyroku sądu polubownego dobiegło końca, zbliżył się biskup ze Soissons, uczestniczący w negocjacjach. Trzymał Ewangelię, którą podał sojusznikom. Ci wszyscy powstali jednocześnie i wyciągnęli prawice, podczas gdy Gerard Kierez przysięgał w ich imieniu, że skrupulatnie będą przestrzegać wyroku królewskiego. Następnie biskup skierował się ku Mahaut.

Ludwik X w tym czasie wędrował myślą po gościńcach. „Ostatnie mile tej pielgrzymki do Amiens przejdziemy pieszo, resztę zaś odbędziemy w wozach. Potrzebne nam będą dobre, ciepłe buty... Zabiorę także moich mistrzów od kuchni i sosów, ponieważ muszę wystrzegać się jadów... Miejmy nadzieję, że Klemencja wyzwoli się z tych bólów, co jej przeszkadzają w miłości...” Marzył wpatrując się w złote palce dłoni sprawiedliwości, gdy raptem usłyszał, że Mahaut mówi podniesionym głosem:

- Odmawiam przysięgi, nigdy nie położę pieczęci pod tym podłym wyrokiem!

Wielka cisza zapadła wśród zgromadzonych. Odwaga tej odmowy, rzuconej w twarz monarsze, przerażała. Rozmyślano, jaki straszliwy wyrok padnie z ust króla.

- Co się dzieje? - spytał Ludwik pochylając się ku swemu kanclerzowi. - Dlaczego ona odmawia? Ten wyrok przecież wydawał się mnie sprawiedliwy?

Patrzył na zebranych z miną nieobecną i bardziej zdziwiony niż zagniewany.

Wtedy powstał Robert d'Artois i rzucił głośno jak na polu bitwy:

- Sire, mój kuzynie, czy zgodzicie się, aby was lekceważono i policzkowano? My, wasi krewni i wasi doradcy tego nie ścierpimy. Patrzcie na wdzięczność dla was za okazaną łaskawość. Wiecie, że ja sprzeciwiałem się wszelkiemu przyjacielskiemu pojednaniu z Panią Mahaut i wstydę się, że ma w żyłach moją krew, bo cała okazana jej życzliwość zachęca ją tylko do tym większej podłości. Czy uwierzycie mi wreszcie, Dostojni Panowie - mówił biorąc na świadków całe zgromadzenie - czy uwierzy się mnie, kiedy mówię, kiedy twierdzę, i to od tylu lat, że zostałem wyzuty z dóbr, zdradzony, okradziony przez tego potwora w kobiecej skórze, który nie szanuje ani władzy Boga, ani władzy króla. Ale czegoż można się spodziewać po tej kobiecie, co nie usłuchała woli umierającego ojca, przywłaszczyła sobie nienależne jej dobra i skorzystała, że byłem dzieckiem, aby mnie ogołocić?

Mahaut stała skrzyżowawszy ramiona i patrzyła na swego bratanka z gniewem i pogardą, zaś o dwa kroki od niej biskup ze Soissons wahał się, czy ma odłożyć ciężką Ewangelię.

- Czy wiecie, Sire - mówił dalej Robert - dlaczego Pani Mahaut odrzuca dzisiaj wasz wyrok, na który się wczoraj zgodziła? Ponieważ dorzuciliście ten ustęp dotyczący Thierry'ego d'Hirson, tej duszy sprzedajnej, potępionej, tego mistrza łajdaków, którego chciałbym, żeby rozzuto, aby zobaczyć, czy nie ma kopyta? To on tak pilnie pracował na rzecz pani Mahaut i przerobił pisma, że doprowadził mnie do utraty mojego dziedzictwa. Ich sekretna podła działalność tak ich bezwstydnie połączyła, że hrabina Mahaut musiała zaopatrzyć w beneficja wszystkich braci i krewniaków Thierry'ego, a oni obdzierają nieszczęsny lud w Artois, niegdyś taki zamożny, a dzisiaj tak znękany, że jedynym jego ratunkiem jest bunt.

Sojusznicy słuchali z twarzami jakby rozświetlonymi i czuło się, że lada chwila będą oklaskiwać Roberta. Ów zaś w porywie tegoż patosu dorzucił:

- Jeśli macie czoło, jeśli macie odwagę, Sire, ukrzywdzić adwokata Thierry'ego, ująć najdrobniejszą cząstkę jego łupom, zagrozić paznokietkowi małego palca najmłodszego jego bratanka, to Pani Mahaut już wysuwa szpony gotowa pluć w twarz Bogu. Bo śluby, które złożyła przy chrzcie, i hołd, jaki wam przykleknawszy oddała, nic nie znaczą wobec jej hołdowniczej przysięgi, wiążącej ją z adwokatem Thierry, jej prawdziwym suzerenem!

Mahaut nie drgnęła.

- Kłamstwa i oszczerstwa, Robercie, toczą się jak ślina z twoich ust - rzekła. - Uważaj, żebyś nie przegryzł języka, mógłbyś umrzeć.

- Zamilczcie, Pani - huknął nagle Kłótlivy. - Zamilczcie! Wy mnie oszukałyście! Zabraniam wam wracać do Artois, aż nie położycie pieczęci pod wyrokiem, który wam został podany do wiadomości, a to jest dobry wyrok. Wszyscy mi to mówią. Do tego czasu będziecie mieszkać w waszym domu w Paryżu albo w waszym zamku w Conflans, ale nigdzie indziej. Dość na dzisiaj, mój wyrok wydałem.

Napadł go gwałtowny atak kaszlu, który go złożył na tronie we dwoje.

„Niech zdechnie!” - wycodziła Mahaut.

Hrabia de Poitiers nie odezwał się słowem. Kiwał nogą i, zamyślony, gładził podbródek.





## CZĘŚĆ TRZECIA

# Czas komety



### I

## Nowy pan na Neauphle

**W** dzień targowy, w drugi czwartek po Trzech Królach, wielki ruch panował w banku Lombardów w Neauphle-le-Chateau. Czyszczono dom od piwnic po strychy. Wiejski malarz pokrywał świeżym pokostem masywne drzwi wejściowe. Polerowano zamczone skrzynie, aż poprzeczne metalowe listwy lśniły jaśniej srebra. Omiatano cały pułap, by zdjąć pajęczyny. Bielono ściany. Lady woskowano, a urzędnicy szukali rozrzuconych rejestrów, wag, liczydeł, z trudem ukrywając przed klientelą swe zdenerwowanie.

Młoda dziewczyna, lat około siedemnastu, wysoka, o pięknych rysach i policzkach zarumienionych chłodem, przekroczyła próg i stanęła zdumiona tym rozgardiaszem. Kamelinowy<sup>22</sup>, piaskowy płaszcz, który ją otulał, zapinka przy kołnierzu i cała postawa świadczyły, że była panną szlacheckiego rodu. Wieśniacy zdjęli czapki.

- Ach! panna Maria! - zawołał pierwszy urzędnik Ricardo. - Witajcie! Wejdźcie i ogrzejcie się. Wasza kobiałka jest przygotowana jak każdego tygodnia, ale w tym bałaganie kazałem ją odstawić w specjalne miejsce.

Wprowadził dziewczynę do sąsiedniej izby, która służyła urzędnikom bankowym jako wspólny pokój i gdzie wielki ogień płonął pod kominkiem. Wyjął ze ściennej szafy wiklinowy kosz przykryty płótnem.

- Orzechy, oliwa, świeża słoninka, korzenie, mąka pszenna, suszony groch i grube trzy kielbasy - wyliczył - Dopóki my mamy co jeść, dopóty i wam nie zabraknie. Takie są polecenia pana Guccia. Wszystko zapisałem jak zwykle na jego rachunek... Zima zaczyna być surowa, dziwiłbym się, gdyby nie zakończyła się głodem jak ubiegłego roku. Ale w tym roku to my będziemy lepiej zaopatrzeni.

Maria de Cressay wzięła koszyczek.

- Czy nie ma listu? - spytała.

Pierwszy urzędnik udając smutek, zaprzeczył ruchem głowy.

- Ach nie! piękna panienko, tym razem listu nie ma.

Uśmiechnął się z rozczarowania dziewczyny i dorzucił:

- Listu nie ma, ale jest dobra wiadomość.

- Czy wyzdrowiał? - zawołała Maria.

- A jak myślicie, dla kogo robilibyśmy te wszystkie przygotowania akurat w połowie stycznia? Przecież przed kwietniem nigdy się nie odmalowuje.

- Ricardo! To prawda? Czy wasz pan przyjeżdża?

- A tak, na Madonnę! Przyjeżdża. Jest w Paryżu i przysłał wiadomość, że już jutro tu będzie.

- Jaka jestem szczęśliwa! Jaka jestem szczęśliwa, że go zobaczę!

Po czym opanowując się, jakby wybuch radości uchybiał jej panięskiemu wstydowi, Maria uzupełniła:

- Cała moja rodzina będzie bardzo szczęśliwa, że go zobaczy.

- Kazał przygotować sobie mieszkanie. Raccie posłuchać, panno Mario, chciałbym zasięgnąć waszego zdania o tym, cośmy mu przygotowali, i powiedzcie nam, czy wam to przypada do gustu.

Zaprowadził ją na piętro i otworzył drzwi do pokoju obszernego, ale o niskim pułapie, o świeżo wywoskowanym belkowaniu. Stało tu kilka dębowych sprzętów, z grubsza ciosanych, łóżko wąskie, lecz nakryte pięknym włoskim brokatem, kilka naczyń cynowych i lichtarz. Maria obiegnęła wzrokiem izbę.

- To wszystko wydaje się bardzo ładne - rzekła. - Ale mam nadzieję, że wasz pan wkrótce zamieszka w zamku.

Ricardo znów się uśmiechnął.

- Ja też tak myślę - odpowiedział. - Wszyscy tutaj, zapewniam was, bardzo są zaciekawieni tym przyjazdem pana Guccia i wiadomością, że chce wśród nas zamieszkać. Od wczoraj ludzie wciąż przychodzą i przeszkadzają nam pod byle pozorem, jakby nikt inny w miasteczku nie mógł im rozmienić solda na dwanaście denarów. A wszystko po to, żeby skakać z radości i rozgadać po okolicy. Trzeba przyznać, że wszędzie u nas wielce kochają pana Guccia, od kiedy mu się udało przepędzić prewota Portefruit, na którego się wszyscy skarżyli. Szykuje się dlań wielkie powitanie i przewiduję, że będzie prawdziwym panem na Neauphle... po waszych braciach, oczywiście - dorzucił odprowadzając dziewczynę i wypuszczając ją przez furtkę ogrodową.

Nigdy droga z miasteczka Neauphle do zamku Cressay nie wydała się Marii krótsza. „Przyjeżdża... przyjeżdża... przyjeżdża” nuciała jak piosenkę, przeskakując z jednej koleiny w drugą. „Przyjeżdża, kocha mnie i wkrótce się pobierzemy. Będzie prawdziwym panem na Neauphle”. Koszyk z żywnością wydawał się jej lekki jak piórko.

Na podwórzu w Cressay spotkała swego brata Piotra, który wychodził ze stajni.

- Przyjeżdża! - zawołała.

- Kto przyjeżdża?

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Piotr de Cressay zobaczył, że jego siostra jest naprawdę rozradowana.

- Guccio przyjeżdża!

- O! to dobra wiadomość - rzekł młodzieniec. - Miły to kompan i z

przyjemnością go znów zobaczę.

- Zamieszka w Neauphle, gdzie jego wuj przekazuje mu kantor. A przede wszystkim...

Zamilkła, ale nie była zdolna dłużej zataić sekretu, przyciągnęła źle ogoloną twarz brata, ucałowała go i dorzuciła:

- Poprosi o moją rękę.

- Ejże! - Rzekł Piotr. - A skąd ci się wziął ten pomysł?

- To żaden pomysł, ja to wiem... ja wiem... wiem.

Ściągnięty gwarem ich starszy brat Jan de Cressay wyszedł ze stajni, gdzie osobiście opatrywał swego konia. W ręku trzymał wiecheć słomy.

- Janie, zdaje się, że szwagier przyjeżdża do nas z Paryża - wyjaśnił młodszy brat.

- Szwagier? Czyj szwagier?

- Nasza siostra znalazła sobie męża.

- Hola! To dobra wiadomość - odparł Jan.

Wesoło przyłączył się do zabawy, uważając ją za figiel podlotka.

Piotr de Cressay był blondynem jak jego siostra. Jan miał włosy ciemne i nosił brodę, brodę gęstą, skudłaconą.

- I jak się nazywa - podjął Jan - ten możny baron, co pragnie się połączyć z naszymi wieżami w ruinach i z naszym wspaniałym majątkiem składającym się z długów? Spodziewam się przynajmniej, moja siostrze, że jest on bogaty, bo bardzo tego potrzebujemy.

- Oczywiście, że tak - odparła Maria. - To Guccio Baglioni.

Ze spojrzenia, jakie jej rzucił najstarszy brat, odczuła, że wpada w tragedię. Nagle ogarnął ją chłód, a w uszach zaczęło jej szumieć.

Jan de Cressay jeszcze przez kilka sekund udawał, że traktuje sprawę jako żart, ale głos mu się zmienił. Pragnął wiedzieć, co skłoniło siostrę, że tak mówiła. Czy spotkanie z Gucciem, czy też rozmowy przekraczały granice przyzwoitości? Czy pisywał do niej w tajemnicy przed rodziną?

Na każde pytanie Maria odpowiadała niewyraźnym przeczeniem, które bardzo źle ukrywało jej wzrastające zmieszanie. Jan coraz mocniej nalegał. Piotr czuł się nieswojo. „Roztropniej postąpiłbym milcząc” - mówił do siebie.

Weszli we troje do wielkiej sali zamkowej, gdzie ich matka, dama Eliabel, przędła wełnę koło kominka. Kasztelanka odzyskała swoją zwykłą tuszę dzięki wiktuałom, które Guccio dostarczał im co tydzień od ubiegłej głodowej zimy.

- Wracaj do swego pokoju - rzekł siostrze Jan de Cressay.

Jako najstarszy miał władzę głowy rodziny. Gdy Maria odeszła i usłyszeli, że zamykają się drzwi na półpiętrze, Jan wtajemniczył matkę w to, co usłyszał.

- Czyś pewny, mój chłopcze? Czy to możliwe? - wykrzyknęła dama Eliabel - komu zaświtał ten głupi pomysł, że naszej krwi dziewczyna, której ojcowie posiadają herb od dwóch wieków, mogłaby poślubić Lombarda? Pewna jestem, że ten młody Guccio, który zresztą przyjemnie wygląda i jest dobrze ułożony, ani nawet o tym nie zamarzył.

- Nie wiem, czy o tym marzył, moja matko - odparł Jan - ale wiem, że o tym marzy Maria.

Tłuste policzki damy Eliabel zaczerwieniły się.

- To dziecko upadło na głowę! Synkowie, jeżeli ten młodzieniec kilka razy nas odwiedził i jeżeli okazuje nam tak wielką przyjaźń, to dlatego, jak sądzę, że bardziej interesuje się waszą matką niż siostrą. Och! bez żadnych nieskromności - pośpiesznie dorzuciła dama Eliabel - przez usta mu nie przeszło nigdy ani słówko, które mogłoby urazić. Ale jednak te sprawy odgadnie każda kobieta i wyraźnie odczułam, że mnie podziwia...

Mówiąc to wyprostowała się na krześle i wypięła gors.

- Nie jestem taki pewien, jak wy matko - odparł Jan de Cressay. - Przypomnijcie sobie, że w czasie ostatniego pobytu Guccia, kilka razy pozostawiliśmy go sam na sam z naszą siostrą wtedy, gdy wydawała się taka chora, a właśnie ozdrowiała od owej chwili.

- Może dlatego, że od tego czasu zaczęła jeść do syta, a my wraz z nią - zauważył Piotr.

- Tak, lecz zakonotujcie sobie, że odtąd zawsze za pośrednictwem Marii mamy wiadomości o Gucciu. Jego podróż do Italii, jego wypadek z nogą... Ricardo informuje zawsze Marię, a nikogo z nas. I jak ona bardzo nalega, żeby pójść samej po żywność do kantoru! Myślę, że za tym kryje się jakiś podstęp, którego nie zauważyliśmy.

Dama Eliabel odsunęła kądziel, strzepnęła dłonią kłaczki wełny ze spódnicy i powstając rzekła obrażonym głosem:

- Zaprawdę, wielką podłością ze strony tego młokosa byłoby używać swych nieuczciwie zdobytych pieniędzy, aby uwodzić moją córkę i zamyślać o kupieniu związku z nami za pomocą darów zjadła i odzieży, kiedy sam zaszczyt przyjaźni z nami powinien mu aż nadto wystarczać jako zapłata.

Piotr de Cressay jedyny w tej rodzinie posiadał poczucie rzeczywistości. Był skromny, prawy i bez przesądów. Rozdrażniły go oświadczenia, jakie usłyszał, utkane z nieuczciwości, zawiści i czczych uroszczeń.

- Zdaje się zapominać i jedno, i drugie - powiedział - że wciąż jesteśmy winni wujowi Guccia trzysta liwrow, których zwrotu łaskawie od nas nie żąda, jak i procentów, co wciąż rosną. Jeśli prewot Portefruit nie zajął nam ziemi i murów, zawdzięczamy to Gucciowi. Przypomnijcie także sobie, że uchronił on nas od śmierci z głodu dostarczając żywności, za którą nigdy nie zapłaciliśmy. Zanim go odsuniecie, pomyślcie trochę, czy możecie go spłacić. Guccio jest zamożny, a z czasem będzie jeszcze bogatszy. Ma duże poparcie i jeżeli król Francji uważał, że dość dobrze się prezentuje, by dołączyć go do poselstwa jadącego do Neapolu po nową królową, nie widzę, dlaczego mamy mu robić trudności.

Jan wzruszył ramionami.

- To wszystko opowiadała nam Maria - odrzekł. - Pojechał tam jako kupiec, żeby handlować.

- A jeżeli nawet król posłał go do Neapolu, to nie znaczy, że dałby jemu swoją córkę! - wykrzyknęła dama Eliabel.

- Moja biedna mamó - odparł Piotr. - Maria nie jest córką króla Francji, jak mi wiadomo. Jest bardzo piękna, to prawda...

- Nie sprzedam mojej siostry za pieniądze - krzyknął Jan de Cressay.

Oczy jego błyszczały wśród nastroszonych włosów.



- Ty byś jej nie sprzedał - odpowiedział Piotr - ale ty byś ją wyswatał z brodaczem, nie obrażając ciebie, gdyby był bogaty i pod warunkiem, że włókłby ostrogi na artretycznych piętach. Nie sprzedajesz jej, jeżeli kocha Guccia!... Ród szlachecki? Ba! wystarczy nas dwóch chłopaków, żeby go utrzymać. Muszę wam powiedzieć, że nie patrzyłbym na to małżeństwo tak złym okiem.

- I nie patrzyłbyś także złym okiem, gdyby twoja siostra rozsiadła się w Neauphle, w naszym lennie, za ladą bankową, liczyła miedziaki i handlowała korzeniami? Gadasz głupstwa, Piotrze, i pytam, skąd się u ciebie wzięło tak mało szacunku dla naszego stanu - mówiła dama Eliabel.

- W żaden sposób nie zgodzę się nigdy na taki mezalians ani też twój brat. Nieprawdaż Janie?

- Oczywiście, matko, i już dość tej gadaniny. Proszę cię, Piotrze, żebyś nigdy na ten temat nie mówił.

- Dobrze, dobrze, jesteś starszy, rób, jak uważasz - rzekł Piotr.

- Lombard! Jakiś Lombard! - podjęła dama Eliabel. - Mówicie, że ten młody Guccio przyjeżdża? Pozwólcie mi działać, synkowie. Dług i zobowiązania wobec niego nie pozwalają zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Zgoda, gościnnie go powitamy, ale jeżeli jest on podstępny, ja też będę chytra i podejmuję się odebrać mu ochotę do ponownych odwiedzin, jeżeli robi to z powodu, którego się obawiamy!





## II

### Biesiada u damy Eliabel

Dnia następnego już o świcie gorączka, panująca w kantorze w Neauphle, jakby ogarnęła zamek w Cressay. Dama Eliabel poszturchiwała służącą i sześciu niewolnych z wioski, zawezwanych na całodzienny odrodek. Nie żałując wody myto kamienne płyty, ustawiano stół, po obu stronach kominka układano polana; stajnia była wymoszczona świeżą słomą, podwórze zamiecione; w kuchni cały warchlak i cały baran obracały się już na rożnach; w piecu piekły się pasztety. Rozeszła się w wiosce pogłoska, że Cressayowie oczekują wysłannika samego króla.

Blade styczniowe słońce prześwietlało chłodne, rześkie powietrze, rozweselało nagie gałęzie i sączyło gdzieniegdzie krople światła w przydrożne kałuże.

Przed południem przybył Guccio w płaszczu podbitym futrem, w wielkim spiczastym z zielonego sukna kapturze, który mu opadał aż na ramię. Jechał na pięknym gniadoszu, dobrze wykarmionym i przystrojonym wykwinie. Towarzyszył mu pacholek. Na milę zalatywał bogactwem.

Spotkał kasztelanekę i obu jej synów w odświętnych strojach. Zgotowane mu powitanie, skwapliwość służby, uściski damy Eliabel, przybranie stołu i domu wydały mu się doskonałą wróżbą. Oczywiście Maria powiedziała rodzinie. Wiadomo po co przyjechał i już go traktowano jako narzeczonego. Piotr de Cressay był jednak jakby trochę zakłopotany.

- Moi zacni przyjaciele - zawołał Guccio - jak się cieszę, że was znowu widzę. Ale nie trzeba było tak się wykosztowywać. Traktujcie mnie po prostu jak kogoś z rodziny.

To słowo nie poszło w smak Janowi. Wymienili z matką znaczące spojrzenia.

Wygląd Guccia nieco się zmienił. Po wypadku noga prawa pozostała trochę sztywna, co nawet dodawało pewnej wyniosłej wytworności jego ruchom. Jeszcze urósł w ciągu długich tygodni, które spędził nieruchomo, leżąc na szpitalnym łóżku. Rysy mu się zaostrzyły. Wyraz twarzy wydawał się poważniejszy, bardziej dojrzały. Znikła jego chłopięcość, a pojawił się wygląd męski.

Nie stracił nic z dawnej pewności siebie i łatwiej mu się teraz udawało imponować innym. Mówił powolniej, z mniej wyraźnym cudzoziemskim akcentem, lecz wciąż tak samo gestykulował.

Patrząc wokół na ściany, jakby już był ich właścicielem, zapytał braci Cressayów, czy zamierzają dokonać w zamku jakichś przeróbek.

- Widziałem gdzieniegdzie w Italii... sufity pokryte malowidłami - powiedział - bardzo by się to tu przydało. A czy nie myślicie przebudować waszej łaźni? Dzisiaj buduje się je całkiem małe, są one bardzo wygodne i,

moim zdaniem, są niezbędne do należytej pielęgnacji ciała wykwintnych ludzi.

Należało pojąć jego ukrytą myśl: „Gotowym za to wszystko zapłacić, bo tak lubię mieszkać”. Guccio miał również pomysły dotyczące umeblowania i kobierców do zawieszenia na ścianach, aby im nadać weselszy wygląd. Jął bardzo drażnić Jana de Cressay, a nawet Piotr uważał, że zabiera się za szybko do rzeczy, mówiąc nędzarzowi, żeby restaurował cały dom.

Guccio tak gawędził o tym i o owym już od pół godziny, a Maria wciąż się nie zjawiała. „Może - pomyślał - powinienem się wpierv oświadczyć...”

- Czy będę miał przyjemność zobaczyć pannę Marię? Czy będzie nam towarzyszyć przy obiedzie?

- Oczywiście, oczywiście, przebiera się, zejdzie za chwilę - odparła dama Eliabel. - Zobaczycie ją bardzo zmienioną, jest zachwycona swoim nowym szczęściem.

Guccio wstał z bijącym sercem.

- Naprawdę? - wykrzyknął. - Och! Pani Eliabel, jaką mi sprawiacie radość!

- Tak i my się też bardzo cieszymy, mogąc się pochwalić tą dobrą nowiną przed takim przyjacielem jak wy. Nasza kochana Maria jest zaręczona...

Zamilkła na chwilę.

- ...jest zaręczona z jednym z naszych krewnych, panem de Saint-Venant, szlachcicem z Artois, z bardzo starego rodu. On się zakochał w niej, a ona w nim.

Guccio stał chwilę oszołomiony, niezdolny wykrztusić słowa, potrząsając machinalnie ofiarowanym mu przez królową Klemencję złotym relikwiarzykiem, który błyszczał na jego obcisłym, dwubarwnym kaftanie wedle ostatniej włoskiej mody. Usłyszał, że Jan de Cressay otwiera drzwi i woła siostrę.

Opanowując się z wysiłkiem Guccio powiedział głosem, który mu się wydał obcy:

- A kiedy odbędzie się wesele?

- Na początku lata - odparła dama Eliabel.

- Ale właściwie jakby się odbyło - sprecyzował Jan de Cressay - bo są już po słowie.

Dziewczyna, której Guccio poświęcał wszystkie myśli, o której tak często opowiadał Klemencji Węgierskiej, Bouville'owi, Tolomeiowi, będąca ośrodkiem jego myśli w oddaleniu i chorobie, weszła sztywna, daleka, lecz z zaczerwienionymi oczami. Szeptem pozdrowiła Guccia. Zmusił się, by jej powinszować, zaś ona zachowała się tak godnie, że zdołała przyjąć gratulacje. Była bliska łez, lecz udało się jej opanować tak dobrze, że Guccio przyjął za rzeczywistą oziębłość obawę Marii, że się zdradzi i narazi na grożące jej kary.

Posiłek zbyt obfity był przykry. Dama Eliabel delektowała się własną perfidią, udawała wesołą, zmuszała gościa, aby dobierał z każdego półmiska i kazała sługom nakładać mu na pajdy chleba nowe kęsy baraniny lub dziczyzny.

- Czy straciliście apetyt w czasie waszych długich podróży - wykrzykiwała. - Dalejże, dalejże, panie Guccio, trzeba się odżywiać w waszym wieku. Czy to wam nie smakuje?... Nałóżcie sobie więcej tego pasztetu!

Ani razu Guccio nie mógł napotkać spojrzenia Marii.

„Nie wygląda na zbyt dumną, że się zaparła wiary, którą mi przysięgła” - myślał. „Czy po to uszedłem śmierci, żeby się narazić na podobny afront! Ach! nie próżne były moje obawy, kiedy rozpaczalem w szpitalu w Marsylii. A te bzdurne listy, które do niej pisałem! Ale po co kazała Ricardowi odpisywać, że żywi te same uczucia i usycha z tęsknoty czekając... kiedy zaręczyła się z kimś innym? To jest jawna zdrada i nigdy tego nie przebaczę. Ach jaki podły obiad! Nigdy nie jadłem gorszego.”

Obmyślanie zemsty odsuwa niekiedy własne cierpienie na plan dalszy. „Mógłbym oczywiście - myślał Guccio - żądać niezwłocznej spłaty długu i może to wpakowałoby ich w takie tarapaty, że musieliby wyrzec się wesela.” Takie zachowanie wydało mu się jednak niedopuszczalnie niskie. Z mieszczanami może by w ten sposób i postąpił, ale szlachcie, która chciała go zmiążyć dostojeństwem rodu, pragnął odpowiedzieć jak szlachcic. Chciał im dowieść, że jest większym panem niż wszyscy Cressayowie i wszyscy Saint-Venantowie na świecie.

Te myśli trawiły go pod koniec posiłku. Ponieważ podawano już desery, odczepił nagle relikwiarzyk i podał go dziewczynie mówiąc:

- Śliczna Mario, miło mi wam ofiarować ten oto upominek z okazji waszego ślubu. Królowa Klemencja... tak, królowa Francji osobiście mi go zawiesiła na szyi za usługi, jakie jej oddałem, i w dowód przyjaźni, jaką mnie zaszczyca. Relikwia świętego Jana Chrzciciela w nim się znajduje. Nie myślałem, że kiedykolwiek rozstanę się z nim, ale zdaje się, że można wyzbyć się bez trudu tego, co się uważało za najdroższe dobro... Niech więc to strzeże was i wasze dzieci, których wam życzę z waszym szlachcicem z Artois.

Ten sposób tylko wynalazł, aby okazać swą pogardę, a zarazem dowieść Cressayom, że zrobili głupstwo odtrącając piękną partię w jego osobie. Droga zapłata za okazję do powiedzenia jednego zdania. Zaiste wobec ludzi, którzy nie mieli trzech denarów w kieszeni, wielkie wzburzenie Guccia kończyło się zawsze kosztownym gestem. Przybywszy, by wziąć, odchodził zawsze obdarzając.

Maria z trudem opanowała się, by nie rozpląnąć się we łzach. Drżały jej ręce, kiedy zbliżała relikwiarzyk do ust. Ale Guccio już się odwrócił.

Pod pozorem niedawnej rany i zmęczenia podróży zaraz się pożegnał, wezwał swego pachołka, włożył futrzany płaszcz, wskoczył na konia i opuścił podwórze w Cressay, pewny, że już nigdy tu noga jego nie postanie.

- Teraz naprawdę musimy napisać do kuzyna de Saint-Venant - rzekła synom dama Eliabel, kiedy Guccio wyjechał poza bramę.

Wróciwszy do kantoru w Neauphle, Guccio przez cały wieczór nie otworzył ust. Kazał podać sobie księgi i udał, że pogrąża się w kontrolę rachunków. Urzędnik Ricardo wyraźnie pojął, że coś pokrzyżowało plany jego młodego pana, ale uważał za roztropne powstrzymać się od pytań.

Guccio spędził bezsenłą noc w pokoju, który mu z taką pieczołowitością przyszykowano na długi pobyt. Teraz żałował swego relikwiarzyka, żałował swych listów, żałował wszystkiego. „Nie zasługiwała na to; jestem tylko głupcem... A wuj Spinello, jakże przyjmie mój powrót? - pytał siebie, wierząc się wśród szorstkich prześcieradeł. - Bo nie zostanę tu ani dnia dłużej, po takim upokorzeniu. Nie będę się już nigdy narażał, a los naprawdę mi nie sprzyja. Mogłem wrócić w świecie królowej, mogłem dostać stanowisko na jej dworze; nie trafiam na brzeg, bo za prędko chciałem skoczyć, i otom w szpitalu przez pół roku. Zamiast wrócić do Paryża i pomnażać mój majątek, pędzę do tego zatraconego miasteczka, żeby ożenić się z wiejską dziewczuchą, w której durzę się blisko dwa lata, jakby nie było innych kobiet na świecie!... I oto spotykam ją zaręczoną z durniem z jej rodu. Dobra robota!...”

Rano wyczerpany żalami, urazą i bezsennością kazał spakować manatki i osiodłać konia. Jadł przed wyjazdem zupę, kiedy zjawiała się w kantorze służąca, którą wczoraj widział w Cressay, i poprosiła o rozmowę w cztery oczy. Przyniosła wiadomość: Marii udało się wymknąć na godzinkę i czeka na Guccia w pół drogi między Neauphle a Cressay, nad brzegiem Mauldre’y, „w miejscu, które dobrze znacie” - dorzuciła.

Guccio pojął, że chodzi o jabłonie w sadzie nad brzegiem rzeki, gdzie Maria i on zamienili pierwszy pocałunek...

- Powiedźcie pani Marii, że jej troska jest zbędna, co do mnie, nie życzę sobie z nią się spotkać.

- Żal patrzeć na pannę Marię - mówiła służąca. - Przysięgam wam panie, że powinniście się z nią zobaczyć. Jeśli was obrażono, to nie jej wina.

Nie racząc odpowiedzię wsiadł na konia i wyjechał na gościniec. „Nabrzeże w Marsylii... nabrzeże w Marsylii... Niech mnie ono służy za lekcję - mówił do siebie. - Dość głupstw. Bóg wie, co mnie jeszcze czeka, jeżeli ją zobaczę. Niech połyka sama łzy, jeśli ma ochotę płakać!”

Ujechał tak dwieście sążni w kierunku Paryża; później nagle, ku osłupieniu pachołka, zawrócił konia, puścił się w cwał i pomknął na przełaj przez pola.

Po kilku minutach był już nad brzegiem Mauldre’y, zobaczył opłotki, a pod jabłonkami Marię, która nań czekała.





### III

## Ulica Lombardów

**K**iedy pod wieczór Guccio wjechał na dziedziniec banku Tolomeia przy ulicy Lombardów, koń jego był pokryty pianą.

Guccio rzucił wodze pachołkowi, przeszedł przez długą salę z ladami, opustoszałą o tej porze i tak szybko jak tylko pozwalało mu sztywne biodro, wbiegł po schodach wiodących do gabinetu wuja.

Otworzył drzwi. Światło zasłaniały plecy Roberta d'Artois. Hrabia odwrócił się.

- Ach! Opatrzność mi was zsyła, przyjacielu Guccio - wykrzyknął otwierając ramiona. - Właśnie prosiłem waszego wuja o sprytnego posłańca, żeby pojechał zaraz do Artois do pana de Fiennes. Ale musicie być ostrożny, mój kawalerze - dorzucił, jakby zgoda Guccia nie budziła wątpliwości - bo moi zacni przyjaciele d'Hirsonowie nie szczędzą trudu. Wypuszczają wszystkie psy gończe na każdego, kto ode mnie przybywa.

- Dostojny Panie - odparł Guccio jeszcze zdyszany - o mało nie wyrzygałem duszy na morzu w zeszłym roku, żeby oddać wam przysługę w Anglii. Przeleżałem pół roku, kiedy z polecenia króla pojechałem do Neapolu, i te wszystkie jazdy nie przyniosły mi wcale szczęścia. Pozwólcie, że tym razem nie usłucham, bo mam własne sprawy nie cierpiące zwłoki.

- Tyle wam zapłacę, że nie pożałujecie.

- Za tysiąc liwrów nie pojedę, Dostojny Panie - wykrzyknął Guccio. - A zwłaszcza do Artois.

Robert zwrócił się do Tolomeia, który stał na uboczu splótłszy ręce na brzuchu.

- Powiedzcie mnie, bankierze, czyście słyszeli kiedyś coś podobnego? Żeby Lombard odrzucał tysiąc liwrów, których mu zresztą nie proponowałem, poważne mieć musi on powody. Czy wasz siostrzeniec nie jest przypadkiem przekupiony przez pana Thierry... niech Bóg go zadusi i w dodatku jego własnymi kiszkami, jeżeli to możliwe!

Tolomei roześmiał się.

- Nie obawiajcie się, Dostojny Panie. Ja raczej podejrzewam, że mój siostrzeniec jest teraz zaplątany w romans z jakąś damą wysokiego rodu...

- Ach! Jeżeli to w służbie damy - rzekł d'Artois - jestem bezradny i wybaczam mu jego odmowę. Ale to mi wcale nie pomoże.

- Mam kogoś, kto wam się nada, nie martwcie się - odpowiedział Tolomei - doskonały posłaniec i posłuży wam tym dyskretniej, że was nie zna. A następnie... zakonny habit nie zwraca uwagi na drogach.

- Mnich? - Robert d'Artois skrzywił się.

- ...włoski - dorzucił bankier.

- O! to już lepiej... Bo widzicie Tolomei, szykuję się do wielkiego

uderzenia. Moja stryjna Mahaut bez złamania zakazu króla nie może teraz oddalić się z Paryża, więc zamierzam skłonić moich sojuszników, żeby zajęli jej zamek Hesdin, lub raczej mój zamek Hesdin. Przekupiłem - waszym złotem, zaraz powiecie - przekupiłem sumienie dwóch sierżantów tej zacnej hrabiny, dwóch łajdaków, jak wszyscy, jakimi się ona wysługuje. Sprzedadzą się każdemu, kto da więcej, i wpuszczą moich przyjaciół do warowni. Jeśli nie mogę cieszyć się tym, co do mnie należy, to przynajmniej liczę na rzetelny rabunek, a was obarczę sprzedażą łupu.

- Ejże, Dostojny Panie, wplątujecie mnie w piękne sprawy!

- Ba! Wet za wet, jeżeli coś z tego wyjdzie! Jesteście bankierem, a zatem złodziejem, paserka dla was nie nowina. Nigdy ludzi nie namawiam do zmiany zawodu.

Od czasu arbitrażu był w najlepszym w świecie humorze. Wręczył bankierowi list, który chciał wysłać do Artois.

- Panu de Fiennes - rzekł - i nikomu innemu. Souastre i Caumont są zbyt pilnowani... Żegnaj przyjacielu, bardzo cię miłuję.

Powstał, zapiał złotą agrafą płaszcz, następnie położył ręce na ramionach Guccia.

- Bawcie się, mój kawalerze, zabawiajcie się z damami wysokiego rodu, to przywilej młodości. Kiedy przybędzie wam kilka lat, przekonacie się, że to są takie same kurwy jak i wszystkie inne, a rozkosze, jakimi kupczą, ma się za dziesięć soldów w burdelu.

Wyszedł i przez kilkanaście minut jego głośny śmiech rozbrzmiewał na schodach.

- Więc, mój siostrzeńcze, kiedy wesele? - spytał Tolomei. - Nie spodziewałem się ciebie tak szybko.

- Wujku, mój wujku, musicie mi pomóc! - Wykrzyknął Guccio. - Czy wiecie, że ci ludzie to potwory, zabronili Marii zobaczyć się ze mną, a ten ich kuzyn z północy jest stary i szpetny, i ona na pewno z tego umrze!

- Jacy ludzie? jaki kuzyn? - zapytał Tolomei. - Mam wrażenie, mój chłopcze, że twoje sprawy nie posuwają się tak, jak się spodziewałeś. Opowiedz mi więc, ale po kolei.

Guccio tedy opowiedział wujowi o swych odwiedzinach w Neauphle. Z całkiem latyńskim poczuciem tragedii nie omieszkał przyczernić obrazu. Dziewczyna została uwięziona; narażała się na śmierć biegnąc na przełaj przez pola, żeby błagać Guccia o ratunek. Rodzina Cressay chciała ją siłą wydać za mąż za dalekiego kuzyna, obciążonego wszystkimi przywarami i ciała, i ducha.

- Czterdziestopięcioletni starzec! - krzyknął Guccio.

- Młody starzec... - mruknął Tolomei.

- Ale Maria kocha tylko mnie. Mówiła mi to, powtarzała. I ja dobrze wiem, że umrze, jeśli ją zmuszą do małżeństwa z innym. Wujku, musicie mi pomóc.

- Ależ w jaki sposób chcesz, żebym ci pomógł, mój przyjacielu?

- Musicie mi pomóc uprowadzić Marię. Zawiozę ją do Italii, tam zamieszkamy...

Spinello Tolomei z jednym okiem przymkniętym, drugim otwartym patrzył na siostrzeńca z miną na poły zaniepokojoną, na poły rozbawioną.

- Uprzedzałem ciebie, mój chłopcze. Trafnie myślałem, że nie będzie to łatwe i błąd popełniasz durząc się w dziewczynie ze szlacheckiej rodziny. Ci ludzie koszuli nie mają na grzbiecie, winni są nam nawet łóżko, na którym śpią, ale plują nam w twarz, jeżeli nasi chłopcy chcą się tam przespać. Zapomnij o tym romansie, wierz mi. Kiedy się nas lży, to na ogół sami podstawiamy głowę pod obelgi. Wybierz więc piękną dziewczynę z naszych rodzin, dobrze wyposażoną w złoto z naszych banków, da ci ona także ładne dzieci, a wóz jej ochlapie zabłocone nogi twojej wiejskiej dziewczuszki.

Nagle natchnienie spłynęło na Guccia.

- Saint-Venant, nieprawdaż to nazwisko jednego z sojuszników d'Artois? Gdybym zawiózł list pana Roberta, a później odnalazł tego Saint-Venanta, wyzwał go i zabił?

Już trzymał rękę na sztylcie.

- Świetny pomysł - rzekł Tolomei - i nie narobi hałasu. A później Cressayowie znajdą dla twojej ślicznotki nową partię, w Bretanii czy Poitou, i będziesz musiał pojechać, żeby go także zabić. Szykujesz sobie sporo pracy!

- Poślubię Marię albo żadną, wuju, i nikomu nie pozwolę jej poślubić.

Tolomei uniósł ręce nad głowę.

- Oto prawdziwa młodość! Za piętnaście lat w każdym razie twoja żona będzie brzydka i patrząc na nią będziesz siebie pytał, czy ta twarz zwiędła, ten duży brzuch i obwisłe piersi naprawdę były warte twojego zachodu.

- To nieprawda, to nieprawda! A poza tym wcale nie myślę, co będzie za piętnaście lat, ale o tym, co jest dzisiaj, i wiem, że nic na świecie nie może mi zastąpić Marii. Ona mnie kocha.

- Ona ciebie kocha, powiadasz? Więc mój chłopcze, jeśli ona ciebie tak bardzo kocha, to małżeństwo nie jest niezbędnym stanem do szczęścia we dwoje. Oczywiście biskup Paryża przemawiałby do ciebie innym językiem, ale ja cię zachęcam, żebyś się cieszył, że chcą wydać tę piękność za męża z podagrą, szpetnego, który traci zęby, wedle portretu, jaki mnie odmalowałeś, nie widząc go na oczy... Nic nie może być dla ciebie lepszego.

- Ach! wujku, wy nie znacie Marii, jej czystości, jej pobożnej zarliwości. Będzie moją tylko po ślubie i będzie należała tylko do tego, z kim się połączy przed Bogiem... Co do mnie, nie zgodzę się, by się nią dzielić... Jeżeli tak jest, porwę ją bez twojej pomocy, choćbyśmy musieli zebrać po drodze i umrzeć z zimna, idąc przez góry. Ale przede wszystkim pójdę do królowej Klemencji, ona mnie zna, obdarza przyjaźnią...

Tolomei stuknął leciutko opuszkami palców w stół. Oko jego zazwyczaj zamknięte, otworzyło się nagle.

- Teraz zamilcz - rzekł nie podnosząc prawie głosu. - Nie pójdziesz do nikogo, a przede wszystkim do królowej, bo od kiedy ona tu jest, nasze interesy wcale nie idą tak dobrze, abyśmy musieli zwracać na siebie uwagę skandalem. Królowa jest wcieleniem dobroci, miłosierdzia, pobożności, tak, wiem. Tymczasem, od kiedy uzyskała władzę nad królem, nas, Lombardów, goli się do krzty. Skarb rozdaje jałmużnę z naszych pieniędzy! Zarzuca się nam lichwę, wini za wszystkie grzechy królestwa.



Dostojny Pan de Valois broni nas trochę i wielce zawodzi... Królowa Klemencja obsypie cię słodkimi słówkami i wielu błogosławieństwami, ale ja znam dworaków, którym spodoba się wydać rozkaz, żeby ci wymierzono karę przewidzianą dla uwodzicieli panien ze szlacheckich rodów choćby po to, żeby zaszkodzić przez zemstę mnie, kapitanowi generalnemu Lombardów. Wiatr już nie wieje z tej samej strony, naprawdę, już nie wiadomo, skąd wieje. Przyjaciele Enguerranda de Marigny, który mnie nie obdarzał łaską, zostali uwolnieni i tworzą stronnictwo wokół hrabiego de Poitiers.

Lecz Guccio nic nie pojmował. Bimbał teraz na podatki, zarządzenia i rozkazy rządu. Nie przerażała go nawet perspektywa więzienia i procesu. Upierał się przy swoim zamiarze. Bez niczyjej pomocy porwie Marię.

- Ależ biedny głuptasie - rzekł Tolomei pukając się w czoło - nie ujedziecie dziesięciu mil, a już was pojماją. Twoją pannicę wsadzą do klasztoru, a ciebie... Chcesz ją poślubić? Dobrze. Spróbuję ci ten ślub umożliwić, bo zdaje się to jedyne dla ciebie lekarstwo...

I jego lewa powieka opadła.

- Obłąd na obłąd, ponieważ tu mam obłąkanego, to chyba będzie mniej groźne niż pozwolić ci działać samemu - dorzucił. - Ale dlaczego mam wspierać każdą głupotę mojej rodziny!

Potrząsnął dzwoneczkiem. Zjawił się urzędnik.

- Pójdź do klasztoru braci augustianów - rozkazał mu Tolomei - po fra Vicenzo, który wczoraj rano przyjechał z Perugii...





## IV

### Ślub o północy

Po dwóch dniach Guccio wracał do Neauphle; towarzyszył mu włoski zakonnik, który miał oddać list Dostojnego Pana Roberta sojusznikom w Artois. Fra Vincenzo, szczerze opłacony, chętnie się zgodził zboczyć z drogi, żeby oddać Tolomeiowi dwie przysługi zamiast jednej.

Ten wędrowny mnich, kursujący z polecenia swego zakonu między Francją a Italią, nie po raz pierwszy brał udział w intrydze. Bankier zaś upiększając rzeczywistość potrafił odmalować kłopoty swego siostrzeńca w dość patetyczny sposób. Ponieważ Guccio uwiódł młodą dziewczynę, popełniwszy z nią grzech cielesny, Tolomei nie chciał, żeby tych dwoje dzieci żyło nadal w stanie grzechu. Należałoby jednak działać dyskretnie, aby nie obudzić podejrzeń rodziny...

Guccio wraz ze swym mnichem stawili się, gdy noc zapadła, w zamku Cressay. Dama Eliabel i jej dzieci już byli gotowi do nocnego spoczynku.

Młody Lombard poprosił ich o gościnę pod pozorem, że nie ma kluczy od swego mieszkania w Neauphle; jego urzędnicy byli w Montfort, on zaś musi udzielić schronienia duchownemu, który przybył doń z wiadomościami z Toskanii. Ponieważ Guccio kilkakrotnie spał w zamku i to na usilne prośby tychże Cressayów, jego fortel nikogo nie zadziwił. Rodzina postarała się gościnnie go przyjąć.

- Fra Vincenzo i ja prześpiemy się w tym samym pokoju - rzekł Guccio.

Fra Vincenzo miał okrągłą twarz, która wzbudzała zaufanie, podobnie jak jego habit, prócz tego mówił tylko po włosku, co go uwalniało od odpowiedzi na wszelkie pytania.

Podczas skromnego posiłku podanego podróżnym nikt nie wzmiankował o rzekomych zrękowinach Marii z jej dalekim kuzynem, i wszyscy jakby unikali tego tematu.

Maria nie śmiała spojrzeć na Guccia, ale młodzieniec skorzystał, że blisko przechodziła, aby jej szepnąć:

- Tej nocy nie śpij i przygotuj się do wyjścia.

Gdy się żegnali, fra Vincenzo zwrócił się do Guccia z niezrozumiałym dla Cressayów pytaniem, w którym była mowa o *chiave* i *cappella*.

- Fra Vincenzo pyta - przetłumaczył Guccio - czy możecie mu zawierzyć klucz od kaplicy, bo jutro musi wyjechać bardzo wcześnie, a chciałby przedtem odprawić mszę.

- Czy nie pragnąłby - odparła kasztelanka - aby jeden z moich synów służył mu do mszy?

Guccio oburzył się. Fra Vincenzo naprawdę bardzo wcześnie wstanie, jeszcze przed świtem i nalega, żeby się nikt dlań nie fatygował; lecz on Guccio będzie miał zaszczyt i obowiązek jemu asystować.

Dama Eliabel wręczyła przeto mnichowi klucze od kaplicy i

tabernakulum, po czym pożegnali się.

- Stanowczo sędzę, że niesprawiedliwie osądziliśmy Guccia. Religię to on szanuje wielce - mówił Piotr de Cressay do brata, udając się do apartamentu w lewym skrzydle domostwa.

Dama Eliabel zajmowała reprezentacyjną komnatę na parterze. Maria mieszkała na półpiętrze w czworograniastej wieży, przez którą szło się do gościnnych pokoi.

Zamknawszy się wreszcie w przygotowanej dla nich izbie fra Vincenzo wezwał Guccia do spowiedzi. I raptem Guccio zachwyił się dziwnym układem losu, który przywiódł do głuchej wioski w Ile-de-France jego, małego Sieneńczyka, urodzonego w jednym z najbogatszych pałaców rodzinnego miasta, każąc mu uklęknąć na rozchwierutanej podłodze i oczyścić duszę przed ledwie poznanym mnichem z Perugii, aby poślubić nocą córkę ubogiego rycerza, z narażeniem życia w razie ujawnienia. Jedynie przyspieszone bicie serca przypominało mu, że to właśnie jego, zwykłego Guccia, spotyka ta niezwykła przygoda.

Około północy, gdy cały zamek pogrążył się w ciszy, Guccio i mnich skradając się wyszli z pokoju. Młodzieniec cicho zaskrobał do drzwi Marii: młoda dziewczyna wnet się pojawiła. Guccio bez słowa ujął jej rękę. Zeszli we troje po krętych schodach i przez kuchnię wyszli na podwórze.

- Popatrz, Mario - szepnął Guccio - gwiazdy świecą... Brat nas zaraz połączy.

Maria nie ujawniała ani zdziwienia, ani zastrzeżeń. Trzy dni wcześniej, w sadzie, pod jabłonkami, Guccio przyrzekł jej szybko powrócić i oto powrócił poślubić ją, i właśnie to czyni. Okoliczności mało ją obchodziły: była mu oddana całkowicie, bez reszty.

Pies zawarczał, później poznawszy Marię ucichł. Noc była mroźna, lecz ani Guccio, ani Maria nie odczuwali chłodu.

Weszli do kaplicy. Fra Vincenzo zapalił świecę od malutkiej lampki palącej się nad ołtarzem. Mimo, że nikt nie mógł ich słyszeć, mówili nadal szeptem. Mnich spytał, czy narzeczona wyspowiadała się. Odpowiedziała, że uczyniła to przedwczoraj i fra Vincenzo udzielił jej rozgrzeszenia z tych grzechów, które od tego czasu mogła była popełnić.

Po kilku minutach wymieniwszy dwa stłumione „tak”, siostrzeniec generalnego kapitana Lombardów paryskich i panna de Cressay zostali zaślubieni przed Bogiem, choć nie przed ludźmi.

- Chciałbym cię zaprosić na wspanialszy ślub - szepnął Guccio.

- Dla mnie, mój najśłodczy ukochany, nie może być piękniejszego - odpowiedziała Maria - bo on mnie z tobą łączy.

Powrócili bez przeszkód do domu i weszli na schody. Gdy przybyli na półpiętro, fra Vincenzo ujął Guccia za ramiona i popchnął go łagodnie do pokoju Marii...

Prawie od dwóch lat Maria kochała Guccia. Prawie od dwóch lat o nim tylko myślała i żyła tylko nadzieją, że będzie do niego należała. Teraz, gdy jej sumienie było spokojne i lęk przed potępieniem został usunięty, nic ją już nie zmuszało do hamowania namiętności.

Cierpienie dziewcząt w chwili cielesnych zaślubin wynika częściej ze strachu niż z przyczyn fizycznych. Maria pragnęła miłości, zanim ją

poznała. Oddała się jej szczerze, z olśnieniem. Guccio z kolei, chociaż miał tylko dziewiętnaście lat, posiadał dość doświadczenia, aby uniknąć niezręcznego pośpiechu. Uczynił tej nocy Marię kobietą szczęśliwą; a ponieważ w miłości otrzymuje się na miarę tego, czym się obdarza, i on został wynagrodzony.

Okolo czwartej mnich przyszedł ich obudzić i Guccio wrócił do swego pokoju. Potem fra Vicenzo zeszedł dość głośno, przeszedł przez kaplicę, wyprowadził ze stajni swojego muła i zniknął w mroku.

O brzasku dama Eliabel uchyliła drzwi od pokoju podróżnych i zajrzała do wnętrza. Guccio spał mocno, miarowo oddychając; jego czarne włosy wiły się na poduszce, na twarzy, malował się wyraz dziecięcego spokoju.





## V

### Kometa

**W** owym czasie, pod koniec stycznia, gdy Guccio Baglioni poślubiał potajemnie Marię de Cressay, francuski dwór odbywał pielgrzymkę do Amiens, aby wypełnić ślubowanie królowej Klemencji.

Gdy orszak królewski krocząc po błocie przebył ostatni odcinek drogi, a następnie śpiewając psalmy przeszedł już przez miasto, królewscy pielgrzymi wreszcie padli na kolana, przeczołgali się przez katedralną nawę i dotarli po długim i mozolnym pełzaniu przed domniemaną głowę świętego Jana Chrzciciela wystawioną w bocznej kaplicy.

Relikwii dostarczył krzyżowiec z 1202 roku, niejaki Wallon de Sartou, który stał się w Ziemi Świętej poszukiwaczem czcigodnych szczątków i przywiózł w swych skrzyniach trzy niepomierniej wartości relikwie: czaszki świętego Krzysztofa i świętego Jerzego oraz część czaszki świętego Jana.

Otoczona mnóstwem świec i tysiącami wotów nagromadzonych w ciągu stulecia, relikwia z Amiens składała się tylko z kości twarzy osadzonych w relikwiarzu z połączanego srebra. Szczyt oprawy w kształcie piuski zastępował brakującą część czaszki. To oblicze kościotrupa, całkiem czarne, w koronie z szafirów i szmaragdów, zdawało się śmiać i było wprost przerażające. Ponad lewym oczodołem widniała dziura; wedle tradycji - ślad ciosu, który zadała sztyletem Herodiada, gdy jej podano głowę zwiastuna. Całość spoczywała na misie ze złota.

Klemencja, jakby nieczuła na chłód kaplicy, zatopiła się w modłach, a nawet Ludwik X tknięty żarliwością zdołał wytrwać na klęczkach w czasie całej uroczystości, ulatując duchem w regiony, których nie zwykł dosięgać.

Pomyślne skutki pielgrzymki nastąpiły niebawem. Około połowy marca pojawiły się u królowej oznaki, które wzbudziły w niej nadzieję, że dobroczynny święty orędownik wysłuchał jej modłów.

Jednak medycy i położne nie śmieli jeszcze się wypowiedzieć i poprosili o cały miesiąc, zanim postawią ostateczną diagnozę.

W czasie tego okresu oczekiwania mistycyzm królowej zaraził jej małżonka, który ją rządzić, jakby ubiegał się o kanonizację.

Na ogół źle jest odwozić ludzi od ich przyrodzonych właściwości. Lepiej pozostawić złośliwca jego złośliwostkom, niż zmieniać go w baranka; dobroć nie leży w jego charakterze i będzie jej używał w sposób godny pożałowania.

Kłótniwy łudzając się, że w ten sposób uzyska odpuszczenie własnych grzechów, ułaskawiał i zawieszał kary wszystkim, wzruszony, że opróżnia więzienia. Przeto zbrodnia kwitła w Paryżu, gdzie popełniono więcej grabieży, napaści i mordów aniżeli oko ludzkie widziało przez czterdzieści ostatnich lat. Straż padała ze znużenia. Ponieważ wepchnięto wszeteczne dziewczki w obręb dzielnicy, jaką im wyznaczył Ludwik Święty, prostytutcja

tak dalece szerzyła się w karczmach, a zwłaszcza w łaźniach, że uczciwy mężczyzna nie mógł tam wykąpać się w gorącej wodzie, nie będąc wystawionym na cielesne pokusy, które jawiły się mu bez osłonek.

Klemencja namawiała Ludwika, aby zwrócił spadkobiercom Marigny'ego dobra byłego współrządcy, królestwa, a choćby te włości, które jej osobiście zostały nadane.

- O! tego, moja miła, nie mogę uczynić - odparł Kłótlivy - nie mogę aż tak zmieniać moich wyroków. Król nie może się mylić. Ale przyrzekam wam, że skoro tylko stan Skarbu pozwoli, wyznaczę Ludwikowi de Marigny rentę, która mu hojnie zwróci straty.

Jednakże Lombardowie, którym ukrócono przywileje, mniej chętnie obracali kluczem w swych kasach na potrzeby dworu. A byli legiści Filipa Pięknego, z Raulem de Presles na czele, utworzyli opozycyjną grupę wokół hrabiego de Poitiers; konetabl Gaucher de Chatillon wyraźnie opowiedział się po ich stronie.

Sytuacja w Artois wcale się nie polepszała. Mimo coraz częstsze namowy hrabina Mahaut zacięła się w uporze i wzbraniała się podpisać wyrok sądu polubownego. Uskarżała się, że baronowie uknuli spisek, aby zająć jej zamek Hesdin. W porę została wykryta zdrada dwóch sierżantów, którzy mieli wydać warownię sojusznikom; a teraz dwa szkielety wisiały ku przestrodze na blankach w Hesdin. Hrabina jednak zmuszona poddać się zakazom nie powróciła po Bożym Narodzeniu do Artois ani nie pojechał tam nikt z rodziny d'Hirsonów. Przeto wielki zamęt panował w okolicach Artois. Każdy uzurpował sobie władzę, jaka mu odpowiadała, zaś łagodne namowy wywierały tyleż skutku, co woda ściekająca po szkle.

- Tylko bez krwi, mój słodki panie, tylko bez krwi! - błagała Klemencja - modlitwą doprowadźcie wasz lud do rozumu.

Mimo to zawzięcie rąbano się na północnych gościńcach.

Kłótlivy rozstrzygnąłby może energiczniej sprawę, gdyby w tymże czasie, około Wielkanocy, cała jego uwaga nie była zaprzątnięta sytuacją w Paryżu.

Deszczowe lato 1315 roku, lato bagiennej wyprawy, okazało się zgubne z dwóch powodów: król wciągnął w błoto swe wojsko, lud zaś ujrzał plony gnijące na pniu. Wieśniacy jednak pouczeni zeszłorocznym doświadczeniem, mimo że ogołoceni, nie sprzedali resztek zżętego zboża. Głód przeto przeniósł się z prowincji do stolicy, gdzie pszenica rosła w cenę, w miarę jak chudli mieszkańcy.

- Mój Boże, mój Boże, dajże im jeść - mówiła królowa Klemencja widząc wygłodniałe hordy, które wlokły się aż do Vincennes, aby zebrać o jadło.

Biedaków przybyło tylu, że wojsko musiało bronić dostępu do zamku. Klemencja doradziła, aby uroczyste procesje duchowieństwa przeszły przez ulice, i nakazała, by po Wielkanocy dwór tak suszył jak w czasie Wielkiego Postu. Dostojny Pan de Valois uprzejmie się dostosował, ale handlował zbożem ze swego hrabstwa. Robert d'Artois za każdym razem, gdy musiał udać się do Vincennes, zajaadał wpierw posiłek za czterech, powtarzając jedną ze swych ulubionych sentencji: „Kto zje suto, umrze tłusty”. Po czym przy stole królowej mógł udawać skruszonego grzesznika.

W połowie tej niedobrej wiosny kometa przesunęła się po niebie Paryża, gdzie była widoczna przez trzy noce z rzędu. Nic nie hamuje przeczucia nieszczęścia. Lud zapragnął w niej ujrzeć zapowiedź wielkich klęsk, jakby mu nie wystarczyły te, co właśnie przeżywał. Panika ogarnęła tłum i w kilku miejscach wybuchły zamieszki nie wiadomo przeciw komu właściwie skierowane.

Kancelarz zachęcał gorąco króla do powrotu choćby na kilka dni do miasta i ukazania się ludowi. Kiedy więc drzewa poczęły się zielenić wokół Vincennes i Klemencja znów odczuwała urok zamku, została zmuszona przenieść się do wielkiego pałacu na wyspie Cité, który się jej wydawał tak wrogi i tak zimny.

Tu właśnie odbyła się narada położnych i medyków, którzy mieli się wypowiedzieć w sprawie jej ciąży.

Król tego dnia był bardzo podniecony i pragnąc zabić czas zorganizował rozgrywkę w piłkę w ogrodzie pałacowym o kilka sążni od Wyspy Żydowskiej. Mur i wąska odnoga rzeki oddzielały sad, gdzie Ludwik biegał za skórzaną piłką od miejsca, na którym przed dwudziestu pięciu miesiącami wielki mistrz templariuszy wił się w płomieniach...

Kłótniwy, ociekając potem, bardzo pysznił się punktem, który mu pozwolili wygrać jego dworzanie, gdy śpiesznym krokiem zbliżył się Mateusz de Trye. Ludwik przerwał grę i zapytał:

- Czy królowa jest w ciąży?

- Jeszcze nie wiadomo, Sire, medycy naradzają się, ale Dostojny Pan de Poitiers prosi, abyście raczyli spotkać się z nim w nagłej sprawie. Hrabia znajduje się w małej sali sądowej z Dostojnym Panem de Valois, Dostojnym Panem de la Marche oraz innymi panami.

- Nie chcę, żeby mnie nudzono, nie mam na razie głowy do żadnych spraw.

- Sprawa jest poważna, Sire, a Dostojny Pan de Poitiers twierdzi, że słów, które padną, winniście wysłuchać na własne uszy.

Ludwik z żalem upuścił skórzaną piłkę, otarł twarz, wciągnął szatę na koszulę, mówiąc:

- Grajcie dalej beze mnie, panowie!

Po czym wracając do pałacu polecił szambelanowi:

- Jak będzie wiadomo co do królowej, zaraz przyjdźcie mnie zawiadomić.





## VI

### Kardynał rzuca urok na króla

Mężczyzna nie był pod strażą sierzantów czy łuczników jak zwykły oskarżony; towarzyszyli mu dwaj młodzi dworzanie hrabiego de Poitiers. Obwiniony miał na sobie krótki habit, spod którego wyglądała wykręcona stopa.

Ludwik X ledwie nań zwrócił uwagę. Skinął głową braciom, stryjowi Valois i panu Milesowi de Noyers, którzy powstali, gdy wchodził.

- O co chodzi? - zapytał zajmując wśród nich miejsce i dając znak, by usiedli.

- O ciemną i zawiłą sprawę, o czary, jak się nas zapewnia - odrzekł z odcieniem ironii Karol de Valois.

- Czy nie można było powierzyć przesłuchania kanclerzowi osobiście, zamiast mnie odrywać od moich trosk?

- Właśnie na to zwróciłem uwagę waszemu bratu Filipowi - rzekł Valois. Hrabia de Poitiers splótł spokojnie palce.

- Mój bracie - powiedział - sprawa wydaje mi się wielkiej wagi, nie tyle z powodu samych czarów, co się często zdarza, ile że tymi czarami jakoby zajmowano się w łonie samego konklawe, a to nam otwiera oczy na intencje, jakie względem nas żywią niektórzy kardynałowie.

Przed rokiem słowo „konklawe” obudziłoby w Kłótliwym żywe zainteresowanie, ale wybór papieża o wiele mniej go obchodził od czasu, gdy każąc zgładzić pierwszą żonę, mógł się po raz wtóry ożenić.

- Ten człowiek zowie się Evrard - mówił dalej hrabia de Poitiers.

- Evrard... - powtórzył machinalnie król.

- Jest klerykiem w Bar-sur-Aube, ale dawniej należał do zakonu templariuszy, gdzie miał rangę rycerza.

- Templariusz, ach tak! - rzekł król.

- Przed dwoma tygodniami oddał się w Lyonie w ręce naszych ludzi, którzy go nam odesłali.

- Którzy do was go przysłali, Filipie - sprecyzował Karol de Valois.

Poitiers udał, że nie dostrzegł przycinka, i mówił dalej:

- Evrard zeznał, że winien ujawnić ważne sprawy i przyrzeczono mu, że nie spotka go nic złego, o ile wyzna szczerą prawdę, tę obietnicę tutaj potwierdzamy. Wedle jego oświadczenia...

Król wpatrywał się w drzwi czatując na pojawienie się szambelana; na razie interesowała go wyłącznie perspektywa ojcostwa. Myśl tego monarchy zawsze zaprzętało inne zagadnienie niż problem, który rozważano, i być może to właśnie stanowiło jego największą wadę. Nie potrafił kierować swą uwagą, a jest to najgorsza z nieudolności władcy.

Zadziwiony ciszą, która nastąpiła, obudził się ze swych marzeń. Dopiero wówczas spojrzął na oskarżonego, zauważył jego twarz wstrząsaną



drgawkami, wydatne chude szczęki, trochę nieprzytomne czarne oczy, dziwną postawę z wykrzywionym biodrem. Po czym zwrócił się do Filipa de Poitiers:

- A więc, mój bracie... - rzekł.

- Nie chciałem zakłócać waszych myśli, mój bracie, czekałem, aż zakończycie swe rozważania.

Kłótniwy lekko się zaczerwienił.

- Nie, nie, słucham uważnie, mówcie dalej.

- Wedle jego oświadczenia, Evrard miał przybyć do Valence, aby szukać poparcia kardynała w sprawie sporu ze swym biskupem... Trzeba będzie zresztą wyjaśnić ten szczegół - dorzucił Poitiers pochylając się ku Milesowi de Noyers, który prowadził przesłuchanie.

Evrard usłyszał, lecz nie drgnął, zaś Poitiers mówił dalej:

- W Valence Evrard zawarł znajomość przypadkową, jak twierdzi, z kardynałem Francesco Gaetanem...

- Bratankiem papieża Bonifacego - rzekł Ludwik, by dowieść, że uważa.

- Z tym właśnie... i wszedł w zażyłość z owym kardynałem, bardzo biegłym w alchemii, gdyż posiada on, wedle oświadczenia Evrarda, izbę wypełnioną tyglami, rogam i różnymi proszkami.

- Wszyscy kardynałowie są w większym czy mniejszym stopniu alchemikami, to ich mania - rzekł wzruszając ramionami Karol de Valois. - Przewielebny Dueze napisał nawet traktat na ten temat...

- Macie rację, mój stryju, lecz niniejsza sprawa nie wynika właściwie z alchemii, nauki bardzo pożytecznej i godnej szacunku... Kardynał Gaetani chciał znaleźć kogoś, kto wywołałby diabła i przystąpił do rzucenia uroku.

Karol de la Marche, naśladując ironiczną postawę stryja Valois, powiedział:

- Oto kardynał, który mocno trąci stosem.

- Więc spalić go - rzekł obojętnie Kłótniwy, znów patrząc na drzwi.

- Kogo chcecie spalić mój bracie? Kardynała?

- Ach! to kardynał?... Więc nie, nie trzeba.

Filip de Poitiers westchnął znużony, nim podjął akcentując niektóre słowa:

- Evrard odpowiedział kardynałowi, że zna kogoś, kto sporządza złoto dla hrabiego de Bar...

Usłyszawszy to nazwisko, Valois powstał oburzony i zawołał:

- Zaprawdę, bratanku, każecie nam marnować nasz czas! Dostatecznie znamy naszego krewniaka hrabiego de Bar, żeby wiedzieć, iż nie para się takimi głupstwami, jeśli nawet teraz nie jest nam zbyt przychylny. Rozpatrujemy kłamliwą denuncjację o diabelskie sprawki, jakich tyle wpływa codziennie, i nie zasługuje ona, aby nastawiać na nią ucha.

Filip stracił wreszcie cierpliwość, chociaż chciał zachować spokój:

- Wyście, mój stryju, nastawiali ucha na denuncjacje o czary, tyczące Marigny'ego, raczcie więc przynajmniej wysłuchać i tej... Przede wszystkim nie chodzi o hrabiego de Bar, jak zaraz zobaczycie. Bo Evrard nie pojechał po człowieka, o którym mówił, ale przedstawił kardynałowi niejakiego Jana du Pre, też byłego templariusza, który jak i on przebywał w Valence przypadkowo... Czy tak było, Evrard?

Przesłuchiwany potwierdził w milczeniu pochylając tak nisko głowę, aż pokazał tonsurę.

- Czy nie wydaje się wam, stryju - podjął Poitiers - że aż nadto splotło się przypadków i bardzo wielu templariuszy w pobliżu konklawe wałęsa się koło bratanka Bonifacego?

- Istotnie, istotnie... - mruknął Valois.

Poitiers zwrócił się do Evrarda, pytając go zniechęcony:

- Czy znasz Jana de Longwy?

Evrard zacisnął chude, płaskie palce na sznurze od habitu, jego kościstą twarzą wstrząsnął gwałtowniejszy tik, ale odrzekł nie zmieszany:

- Nie, Dostojny Panie. Znam go wyłącznie z nazwiska. Wiem tylko, że był siostrzeńcem naszego zgasłego wielkiego mistrza.

- Zgasły... dobre określenie - zauważył stłumionym głosem Valois.

- Czy jesteś pewny, że nigdy się z nim nie zetknąłeś? - nalegał Poitiers. - Czy nie otrzymałeś od niego za pośrednictwem twoich byłych braci żadnego polecenia?

- Słyszałem pogłoski, że pan de Longwy stara się zachować łączność z niektórymi z nas, ale nic więcej.

- A czy nie dowiedziałeś się, od tego Jana du Pre na przykład, nazwiska templariusza, który przybył do obozu we Flandrii oddać listy panu de Longwy i zawieźć jego zlecenia?

Karol de Valois uniósł brwi. Jego bratanek Filip stanowczo dużo wiedział o wielu sprawach. Ale dlaczego swoje wiadomości zawsze chował dla siebie?

Evrard począł się trząść. Filip de Poitiers nie spuszczał zeń wzroku. Wygląd mężczyzny dokładnie zgadzał się z opisem, jaki mu podano.

- Czy byłeś kiedyś torturowany?

- Moja noga, Dostojny Panie, moja noga mówi za mnie! - wykrzyknął Evrard.

Kłótniwy myślał: "Ci medycy za długo radzą. Klemencja nie jest w ciąży i nikt nie śmie mnie o tym zawiadomić". Przywołał go do rzeczywistości Evrard, który padł na kolana i błagał:

- Sire! Sire! Łaski, nie każcie mnie znów torturować! Przysięgam na Boga, że wyznam prawdę!

- Nie trzeba przysięgać, to grzech - rzekł król.

Dwóch giermków zmusiło Evrarda do powstania.

- Należałoby wyjaśnić ten szczegół dotyczący wyprawy - rzekł Poitiers. - Prowadźmy dalej przesłuchanie.

Miles de Noyers spytał:

- Więc Evrardzie, co wam oświadczył kardynał?

Były templariusz, nie ochłonawszy jeszcze z trwogi, mówił pośpiesznie:

- Kardynał nam oświadczył, Janowi du Pre i mnie, że chce pomścić pamięć swego stryja i zostać papieżem, i że dlatego musi zniszczyć wrogów, którzy mu przeszkadzają, i przyrzekł nam trzysta liwrów, gdybyśmy mu w tym pomogli. I wymienił nam swoich dwóch głównych wrogów...

Evrard zawahał się, podniósł wzrok na króla, spuścił oczy.

- Więc, mówcie dalej - polecił Miles.

- Wymienił nam króla Francji i hrabiego de Poitiers mówiąc, że byłby rad gdyby wyciągnęli kopyta.

Kłótlivy odruchowo wpatrywał się przez kilka sekund we własne trzewiki, po czym podskoczywszy wykrzyknął:

- Wyciągnąć kopyta? Ależ to na moją śmierć nastaje ten podły kardynał!

- Właśnie, mój bracie - rzekł z uśmiechem Poitiers - i na moją również.

- A wy, kulawcze, czy nie wiedzieliście, że za takie przestępstwo bylibyście spaleni na tym świecie i potępieni na tamtym? - mówił dalej Kłótlivy.

- Sire, kardynał Gaetani, zapewnił nas, że gdy zostanie papieżem, odpuści nam wszystkie grzechy.

Pochyliwszy się, z rękami na kolanach, Ludwik w osłupieniu wpatrywał się w twarz byłego templariusza. Jednocześnie przypomniał sobie przestrogi mistrza Martin.

- Czy tak bardzo mnie nienawidzą, że aż pragną mnie zabić? - rzekł. - I w jakiz sposób chciał mnie kardynał wyprawić na tamten świat?

- Powiedział nam, że zbyt was strzegą, Sire, aby można było was osiągnąć żelazem lub trucizną, i należałoby rzucić na was urok. W tym celu kazał wydać nam funt dziewiczego wosku, który w izbie z tyglami włożyliśmy do gorącej wody, by go zmiękczyć. Potem brat Jan du Pre ulepił bardzo zręcznie wizerunek mężczyzny z koroną na głowie...

Ludwik X szybko się przeżegnał.

- ...a następnie drugi mniejszy, w mniejszej koronie. W czasie naszej pracy odwiedził nas kardynał, miał minę bardzo zadowoloną, nawet się roześmiał patrząc na pierwszą figurkę; powiedział nam: „On ma bardzo duży członek”.

- A potem? - zapytał nerwowo Kłótlivy - co zrobiliście z tymi figurkami?

- Włożyliśmy do nich papierki.

- Jakie papierki?

- Papierki, które trzeba włożyć do figurki z imieniem tego, kogo wyobrażają, i z formułką zaklęcia. Ale przysięgam wam, Sire - wykrzyknął Evrard - że nie napisaliśmy waszego imienia, ani też Dostojnego Pana de Poitiers. W ostatniej chwili przestraszyliśmy się i wpisaliśmy imiona Jakuba i Piotra Colonnów...

- Dwóch kardynałów Colonnów - sprecyzował Filip de Poitiers.

- ...ponieważ kardynał wymienił ich także jako swoich wrogów. Przysięgam, przysięgam, że tak było!

Ludwik X zwrócił się do młodszego brata, jakby szukał u niego rady i oparcia:

- Czy sądzicie, Filipie, że ten człowiek mówi prawdę? Trzeba, żeby nad nim dobrze popracowali nasi oprawcy.

Na słowo „oprawcy” Evrard po raz drugi padł na kolana i dowlókł się do króla. Z załamanyh rękami przypominał, że przyrzeczono mu nie brać go na męki, jeśli złoży pełne zeznanie. Nieco białej piany ukazało się w kącikach ust, a strach nadał oczom wyraz obłąkania.

- Trzymajcie go! Nie pozwólcie, żeby mnie dotknął! - wrzasnął Ludwik X. - Ten człowiek jest opętany.

Nie można by rzec, który z nich, król czy czarownik, był bardziej drugim przerażony.

- Tortury nie zdadzą się na nic - zawył były templariusz. - To właśnie z powodu tortur zaparłem się Boga.

Miles de Noyers zapisał to mimowolne zeznanie.

- A teraz skrucha mnie tu przywiodła - mówił dalej Evrard wciąż klęcząc. - Wszystko wam wyznam... Nie mieliśmy olejów świętych do ochrzczenia figurek. Zawiadomiliśmy o tym kardynała, który znajdował się w konsystorzu przy wielkim kościele, i on kazał swemu sekretarzowi Andrieu odpowiedzieć nam, żebyśmy się zwrócili do księdza Piotra w kościele za rzeźnią i udawali, że ten olej jest przeznaczony dla chorego.

Nie trzeba było zadawać pytań. Evrard dobrowolnie dostarczał szczegółów, wydawał nazwiska ludzi w służbie kardynała.

- Później wzięliśmy oba wizerunki i dwie poświęcone świece i garnek z wodą święconą, schowaliśmy to wszystko pod habitami, a brat Bost zaprowadził nas do złotnika kardynalskiego, zwanego Baudon, który ma bardzo miłą, młodą żonę. On był chrzestnym, a jego żona chrzestną. Ochrzciliśmy figurki na tacy golibrody. Potem je zanieśliśmy do kardynała, który nam bardzo podziękował i osobiście wbił długie szpile w serce i życiodajne punkty ciała.

Otwarły się drzwi i Mateusz de Trye wsunął głowę, ale król dał mu znak ręką, żeby się wycofał.

- Następnie? - zapytał Miles de Noyers.

- Następnie kardynał poprosił nas, abyśmy przystąpili do dalszych czarów. Lecz wtedy zaniepokoiłem się, bo za dużo ludzi zostało dopuszczonych do tajemnicy, i wyjechałem do Lyonu, gdzie oddałem się w ręce królewskich ludzi, którzy mnie tutaj przysłali.

- Czy dostaliście trzysta liwrów?

- Tak, panie.

- Zaraza! - rzekł Karol de la Marche. - Na co trzysta liwrów klerykowi? Evrard pochylił głowę.

- Dziewczeta, Dostojny Panie - odparł dość cicho.

- Albo zakon... - powiedział jakby do siebie hrabia de Poitiers.

Król nic nie mówił, pogrążony w tajemnym lęku.

- Do więzienia Petit-Chatelet! - rozkazał Poitiers swym dwóm giermkom wskazując Evrarda.

Więzień dał się uprowadzić bez oporu. Wydawał się nagle u kresu sił.

- Ci byli templariusze zdają się tworzyć ładny narybek czarowników - podjął Poitiers.

- Nasz ojciec nie powinien był spalić wielkiego mistrza - szepnął Ludwik X.

- Ach! czyż nie dość przestrzegałem! - wykrzyknął Valois. - Wszystko zrobiłem, aby się przeciwstawić temu zgubnemu wyrokowi.

- Oczywiście, mój stryju, wyście mówili o tym - odparł Poitiers. - Lecz teraz nie o to chodzi. Rzuca się w oczy, że ocaleni templariusze są ze sobą związani nadal i gotowi na wszystko, by pomóc naszym wrogom. Ten Evrard nie wyznał połowy tego co wie. Z góry ułożył swoją bajeczkę, ale wszystkiego nie mógł wymyślić. Wynika z niej wyraźnie, że konklawe,

które od dwóch lat włóczy się z miasta do miasta, zniesławia tyleż chrześcijaństwo, ile szkodzi królestwu. Kardynałowie zaś z chciwości tiary zupełnie tak się na nim zachowują, jakby chcieli zasłużyć na ekskomunikę.

- Czy nie kardynał Dueze przysłał nam tego człowieka, aby zaszkodzić Gaetaniemu? - rzekł Miles de Noyers.

- To nie wykluczone - odparł Poitiers. - Ten Evrard pewnie się żywi przy wszystkich żłobach, pod warunkiem, że obrok w nich jest nadgniły.

Przerwał mu Dostojny Pan de Valois, którego oblicze przybrało wyraz bardzo poważny i zamyślony:

- Czy nie byłoby pożądane, Filipie, żebyście wy osobiście przejechali się po okolicach, gdzie przebywa konklawe, a którego sprawy, jak się okazuje, tak dobrze znacie? Wy jedyni, moim zdaniem, jesteście zdolni rozwikłać ten kłębek intryg, wykryć zbrodnicze zakusy, a także przyspieszyć konieczną elekcję.

Filip przelotnie uśmiechnął się; „Nasz stryj uważa się w tej chwili za bardzo sprytnego - pomyślał. - Wynałazł wreszcie sposób, aby usunąć mnie z Paryża i wysłać do gniazda jadowitych os...”

- Ach! jaka mądra wasza rada, mój stryju! - wykrzyknął Ludwik X. - Oczywiście, trzeba żeby Filip oddał nam tę przysługę. Bracie mój, będę wam bardzo wdzięczny, jak się zgodzicie... i osobiście dowiecie się o te ochrzczone figurki, które nas wyobrażają. Ach tak! trzeba jak najszybciej, jesteście tak samo zainteresowani tym jak i ja. Czy znacie jakiś pobożny sposób, który może obronić przed urokiem? W każdym razie Bóg jest silniejszy od Diabła...

Nie sprawiał wrażenia, aby zupełnie był tego pewny.

Hrabia de Poitiers rozważał. Kusila go poniekąd propozycja. Opuścić na kilka tygodni dwór, gdzie nie był w stanie zapobiec błędom i znajdował się w ustawicznej opozycji wobec Valois i Mornaya... Dokonać wreszcie pożytecznego dzieła. Zabrać ze sobą swych przyjaciół i wiernych popleczników, konetabla Gauchera, legistę Raula de Presles, Milesa de Noyers... wojownika, prawnika oraz wojownika i prawnika, bo Miles, nim został radcą w Parlamencie, był marszałkiem wojsk królewskich. A później, kto wie? Ten, kto wynosi na tron papieża, ma wszelkie warunki, by otrzymać koronę. Tron cesarstwa niemieckiego, o którym już ojciec dlań myślał i o który miał prawo ubiegać się jako hrabia palatyn, mógł pewnego dnia stać się wolny...

- No dobrze, niech tak będzie, mój bracie, zgadzam się, by oddać wam tę przysługę.

- Ach! jakim jesteście dobrym bratem - zawołał Ludwik X.

Powstał, by uścisnąć hrabiego de Poitiers i naraz zatrzymał się z wrzaskiem:

- Moja noga! moja noga! Już całkiem zimna, przebiegają ją dreszcze, nie czuje podłogi pod stopą.

Można by uwierzyć, ponieważ on w to wierzył, że szatan już go ucapił za łydkę.

- No cóż, mój bracie - rzekł Filip - mrówki macie po prostu w nodze. Rozetrzyjcie ją trochę.

- Ach!... tak myślicie?

I Kłótlivy wyszedł kulejąc jak Evrard.

Wracając do swych apartamentów dowiedział się, że medycy potwierdzili diagnozę i około listopada z boską pomocą zostanie ojcem. Domownicy zdziwili się widząc, że wnet nie okazał w pełni swej radości.





## VII

### Kładę rękę na Artois

Następnego dnia Filip de Poitiers złożył wizytę teściowej, aby jej oznajmić o swym bliskim wyjeździe. Mahaut de Artois przebywała wówczas w swoim nowym zamku zwanym Conflans<sup>23</sup>, ponieważ znajdował się tuż u spływu Sekwany z Marną w Charenton. Nie ukończono jeszcze meblować i przystrajać komnat.

Przy rozmowie asystowała Beatrycze d’Hirson. Gdy hrabia de Poitiers opowiedział o przesłuchaniu templariusza, myśl ta sama nawiedziła obie kobiety, zerknęły na siebie. Człowiek zatrudniony przez kardynała Gaetaniego był uderzająco podobny do rzekomego świecarza, który przed dwoma laty pomógł im otruć Wilhelma de Nogaret.

„Byłoby dziwne, gdyby istnieli dwaj templariusze o tym samym imieniu, obaj uprawiający czary. Śmierć Nogareta świetnie ułatwiła mu dostęp do bratanka Bonifacego. Poszedł i kazał się tam opłacić! Och podła to sprawa...” - mówiła sobie Mahaut.

- Jak on wygląda ten Evrard... jaką ma twarz? - zapytała Filipa.

- Chudy, czarny, z kulawą nogą, wygląda na niespełna rozumu.

Mahaut obserwowała Beatrycze. Dwórka potwierdziła mrugnięciem. Hrabina d’Artois poczuła, że wali się na nią nieszczęście. Na pewno będą dalej badać Evrarda i to narzędziami skutecznymi do wydobycia wszystkiego z pamięci. A jeśli przypadkiem wygada... Nie dlatego, żeby otoczenie Ludwika X specjalnie żałowało Nogareta, ale byłoby zachwycone posłużyć się tą zbrodnią, aby wytoczyć jej proces, właśnie jej. Jakie korzyści Robert by z tego wyciągnął! A należy się obawiać, że Evrard wygada, jeśli już tego nie zrobił... Mahaut układała plany. „Zabić więźnia zamkniętego w więzieniu królewskim, to sprawa niełatwa... Kto mi w tym dopomoże, jeśli jeszcze jest czas? Filip, tylko Filip. Muszę mu wyznać. Ale jak on to przyjmie? Niechajże mnie odmówi poparcia i leżę...”

- Czy go torturowano? - spytała.

Beatrycze również wyszło w gardle.

- Nie było czasu... - odparł Poitiers pochyliwszy się, by poprawić sprzączkę przy pantoflu. - Ale...

„Chwała Bogu - pomyślała Mahaut - nic straconego. Dalejże, skaczmy do wody!”

- Mój synu... - rzekła.

- ale to wielka szkoda - mówił dalej Poitiers wciąż pochyłony - bo teraz nic się nie dowiemy. Evrard tej nocy powiesił się w celi w Petii-Chatelet. Zapewne ze strachu, że znów go wezmą na męki.

Usłyszał dwa głębokie westchnienia, wyprostował się, trochę zdziwiony, że obie kobiety okazują tyle współczucia dla losu kogoś nieznanego i to tak podłej konduity.

- Chciałyście mi coś powiedzieć, moja matko, a ja wam przerwałem...

Mahaut instynktownie dotknęła się przez suknię relikwii, którą nosiła na piersi.

- Chciałam wam powiedzieć... Co istotnie wam chciałam powiedzieć Istotnie... Ach tak! Chciałam z wami porozmawiać o mojej córce Joannie. Otóż... czy zabieracie ją ze sobą w podróż?

Ochłonęła i odzyskała zwykły ton. Lecz, o Panie, co za niebezpieczeństwo groziło!

- Nie, matko, jej stan, wydaje mi się, na to nie pozwala - odparł Filip - i ja również pragnę z wami o niej porozmawiać. Za trzy miesiące zlegnie i byłoby nieroztropnie narażać ją na niewygody podróży. Będę musiał dużo jeździć...

Beatrycze d'Hirson w tym czasie płynęła na falach wspomnień. Widziała znów zaplecze sklepika przy ulicy Bourdonnais; oddychała wonią wosku, łożu i świec; przypominała sobie dotyk twardych rąk Evrarda na swojej skórze i to dziwne odczucie, że łączy się z diabłem. A oto diabeł powiesił się...

- Dlaczego uśmiechacie się, Beatrycze? - spytał ją hrabia de Poitiers.

- Tak sobie, Dostojny Panie... chyba dlatego, że zawsze mi miło widzieć was i was słuchać.

- W czasie mej nieobecności, matko - podjął Filip - chciałbym, aby Joanna tu przy was mieszkała. Będziecie ją mogła otoczyć należytą opieką, a nawet skuteczniej ją chronić. Szczerze mówiąc trochę się obawiam zakusów naszego kuzyna Roberta, który nie mogąc poradzić sobie z mężczyznami napada na kobiety.

- Oznacza to, mój synu, że zaliczacie mnie do mężczyzn. Jeśli to ma być komplement, bardzo mi się podoba.

- Istotnie to komplement - rzekł Filip.

- Wróćcie jednak przed połogiem Joanny?

- Bardzo tego pragnę, lecz nie jestem pewien. Konklawe jest tak chytrze pogmatwane, że wymaga cierpliwości, aby rozplątać nici.

- Ach! niepokoi mnie, że odjeżdżacie na tak długo, Filipie, bo moi wrogowie na pewno wykorzystają to w Artois.

- No cóż! Pod pretekstem mej nieobecności nie ustępujcie w niczym. To będzie najrozsądniejsze - powiedział żegnając się Filip.

W kilka dni później hrabia de Poitiers wyjechał na Południe, a Joanna zamieszkała w Conflans.

Zgodnie z przewidywaniem Mahaut sytuacja w Artois pogorszyła się prawie natychmiast. Wiosna zachęcała sojuszników do wyruszenia z zamków. Świadomi, że hrabina jest osamotniona i popadła prawie w niełaszkę, postanowili sami rządzić prowincją i czynili to fatalnie... Ale stan rozprężenia dość im dogadzał i należało się obawiać, by za ich przykładem nie poszły sąsiednie hrabstwa.

Powróciwszy do rezydencji w Vincennes, Ludwik X, zachęcony przez swego skarbnika, postanowił raz z tym skończyć, podatki bowiem z Artois wcale już nie wpływały. Mahaut miała piękną wymówkę twierdząc, że uniemożliwiono jej pobieranie opłat; baronowie zaś dawali podobną odpowiedź. Jedyne w tej sprawie przeciwnicy byli zgodni.



- Nie chcę już żadnych narad ani pertraktacji przez wysłanników parlamentu, gdzie wszyscy okłamują się nawzajem, a nic się nie posuwa naprzód - oświadczył Ludwik X. - Tym razem ja porozmawiam osobiście i zmuszę hrabinę Mahaut do ustępstw.

W ostatnich tygodniach zdrowie Kłótliwego znacznie się poprawiło. Nader rzadko odczuwał dawne dolegliwości, ataki kaszlu i bóle brzucha, do których był skłonny. Pobożne posty, nakazane przez Klemencję, były niewątpliwie zbawienne. Wywnioskował przeto, że rzucony nań urok okazał się bezskuteczny. Przezornie jednak przystępował do komunii kilka razy na tydzień.

Otaczał również brzemię królowej nie tylko najszlachetniejszymi w królestwie połoźnymi, ale wzywał także świętych z raju najbardziej znających się na rzeczy: świętego Leona, świętego Norberta, świętą Koletę, świętą Julianę, świętego Druona, świętą Małgorzatę i świętą Felicję, która miała potomków wyłącznie płci męskiej. Co dzień przybywały nowe relikwie. Piszczele i przedtrzonowce gromadziły się w królewskiej kaplicy.

Nadzieja na własne potomstwo, którego pochodzenia był pewny, ostatecznie dokonała przemiany króla. Uczyniła zeń człowieka przeciętnego, prawie normalnego.

Tego dnia, gdy zawezwał hrabinę Mahaut, był na pozór spokojny, uprzejmy, odprężony. Clarenton leżało w pobliżu Vincennes. Ludwik przyjął Mahaut w apartamentach Klemencji, by nadać rozmowie charakter rodzinnej zażyłości. Królowa haftowała. Ludwik przemówił tonem pojednawczym:

- Przyłóżcie dla formy pieczęć pod wyrokiem, pani kuzynko, bo, jak się wydaje, tylko za tę cenę możemy uzyskać pokój. A później zobaczymy! Przede wszystkim te obyczaje Ludwika Świętego nie są wyraźnie określone i zawsze będziecie mieć okazję odebrać jedną ręką to, co na pozór dałyście drugą. Wzorujcie się na moim przykładzie wobec panów z Szampanii. Kiedy hrabia Szampanii i pan de Saint-Phalle zażądali dla siebie karty, kazałem dorzucić: „za wyjątkiem spraw, które zgodnie z dawnym obyczajem podlegają panującemu księciu i li tylko jemu”. Teraz więc, jeśli sprawa okazuje się sporna, podlega zawsze zwierzchniej władzy króla.

Mówiąc to uprzejmym ruchem podsuwał hrabinie czarę, z której brał osmażane w cukrze migdały.

Mahaut powstrzymała się od przypomnienia, że Ludwik X Enguerrandowi de Marigny zawdzięczał przemyślną formułę, którą obecnie się pysznił.

- Widzicie, Miłościwy Panie Kuzynie, sprawa dla mnie nie przedstawia się w taki sam sposób - odparła - ponieważ ja udziałem księciem nie jestem.

- Cóż to znaczy, skoro ja mam władzę zwierzchnią nad wami! W razie sporu, sprawa wpłynie do mnie, a ja rozstrzygnę ją na waszą korzyść.

Mahaut wzięła z czary garść migdałów.

- Bardzo dobre, bardzo dobre... - mówiła z pełnymi ustami usiłując zyskać na czasie. - Nie jestem łasa na słodycze, ale muszę przyznać, że bardzo są smaczne.

- Moja umiłowana Klemencja wie, że lubię je chrupać o każdej porze, i dba, żeby zawsze były w jej komnacie - rzekł Ludwik z miną małżonka, który chce okazać, że niczego mu nie brak.

Klemencja podniosła oczy znad tamborka i odwzajemniła się Ludwikowi uśmiechem.

- Więc, moja kuzynko - podjął - przyłożycie pieczęć?

Mahaut skończyła chrupać migdał otoczony cukrem.

- Więc nie, Miłościwy Panie Kuzynie, nie mogę przyłożyć pieczęci. Dziś bowiem mamy w was bardzo dobrego króla i nie wątpię, że postąpilibyście zgodnie z wypowiedzianą przez was intencją. Ale wy nie będziecie żyć wiecznie, a ja jeszcze krócej. Może się zdarzyć, że po was, aby Bóg raczył jak najpóźniej... królowie nie będą sądzić równie bezstronnie. Muszę myśleć o mych spadkobiercach, nie mogę zdać ich na łaskę króla bardziej, niż mamy wobec niego powinność.

Mimo zawołanej formy odmowa była kategoryczna. Ludwik, który zapowiadał, że szybciej poradzi sobie z hrabiną drogą osobistej dyplomacji niż za pośrednictwem uroczystych, publicznych audiencji, stracił nagle cierpliwość. Zagrała jego próżność. Jął biegać po komnacie, podniósł głos, uderzył w jakiś sprzęt, ale spotkawszy wzrok Klemencji, stanął, zaczerwienił się i usiłował znów przybrać postawę królewską.

Mahaut była odeń mocniejsza w doborze argumentów.

- Wstawcie się w moją sytuację, mój kuzynie - mówiła. - Będziecie mieć spadkobiercę; czybyście ścierpieli, aby mu przekazać umniejszoną władzę?

- Otóż właśnie, Pani, nie pozostawię mu umniejszonej władzy ani wspomnienia, że miał ojca słabego. A wreszcie dość stawiacie mi czoło! Ponieważ upieracie się, aby mnie znieważać, kładę rękę na Artois! Rzekłem. Wy zaś możecie zakasywać rękawy od waszej sukni, nie napędzicie mi strachu. Odtąd waszym hrabstwem będzie rządził w moim imieniu jeden z panów, którego tam mianuję. Wam zaś wolno oddalać się tylko na dwie mile od miejsca pobytu, który wam wyznaczyłem. I nie pojawiajcie mi się na oczy, bo wasz widok nie sprawi mi wcale przyjemności.

Cios był potężny. Mahaut go nie oczekiwała. Stanowczo Kłótlivy bardzo się zmienił.

Jedno nieszczęście pociąga drugie. Tak raptownie odprawiona Mahaut wychodząc z apartamentów królowej miała jeszcze jeden migdał. Włożyła go machinalnie do ust i tak gwałtownie rozgryzła, że złamała ząb.

Przez cały tydzień Mahaut miotała się w Conflans, niby tygrys w klatce. Zamaszystym, męskim krokiem przechodziła z komnat mieszkalnych, górujących nad Sekwaną, na główny podwórzec, skąd ponad grzywą lasów Vincennes jawiły się chorągwie na zamku królewskim. Wściekłość jej osiągnęła szczyt, gdy 15 maja Ludwik X wprowadzając w czyn swe zamiary mianował rządcą Artois marszałka Szampanii Hugona de Conflans, Mahaut dostrzegła w tym wyborze chęć wystawienia jej na pośmiewisko oraz najgorszą obelgę.

- Conflans! Conflans! - powtarzała - zamyka się mnie w Conflans i mianuje Conflansa, żeby mnie okradał z mych dóbr.

Jednocześnie złamany ząb sprawiał jej okrutne cierpienia. Uformował

się wrzód. Mahaut bez ustanku kręciła językiem, nie mogąc powstrzymać się od podsycania bólu.

Gniew swój wyładowywała na domownikach. Spoliczkowała w czasie nabożeństwa mistrza Reniera, śpiewaka w kaplicy, bo głos mu się załamał. Jasio Trefniś, jej karzeł, skrywał się w najdalsze zakątki, gdy ją tylko ujrzał. Uniosła się gniewem na Thierry'ego d'Hirson, oskarżając go wraz z jego chciwą rodziną, że są przyczyną wszystkich kłopotów. Wymawiała nawet własnej córce Joannie, że nie potrafiła powstrzymać męża od jazdy na konklawe.

- Co nas obchodzi papież - krzyczała - skoro się nas teraz rabuje. Papież nie odda nam Artois.

Pewnego ranka zbesztła Beatrycze.

- A ty co, nic nie możesz zrobić, nic? Potrafisz tylko brać moje pieniądze, mizdrzyć się i kręcić zadkiem przed pierwszym lepszym trefionym psem? Czy postanowiłaś nie pomóc mi w niczym?

- Jak to, Dostojna Pani... goździki, które wam przyniosłam nie uspokoiły waszych bólów?

- Jakby chodziło o mój złamany ząb! Mam większy do wyrwania, a ty wiesz, jak się nazywa. Ach! kiedy jest mowa o napojach miłosnych, krzątasz się, zadajesz sobie trud, wynajdujesz czarownice. Ale kiedy mnie trzeba prawdziwej przysługi...

- Zapominacie, Dostojna Pani... Bardzo prędko zapomnieliście, że uwędziłam Nogareta... i na co się dla was narażałam.

- Nie zapominam, wcale nie zapominam. Ale dziś Nogaret wydaje się mi drobną zwierzyną...

O ile Mahaut nigdy się nie cofała przed myślą o zbrodni, o tyle nie dogadzało jej mówić o niej wyraźnie. Beatrycze, dobrze ją znając, z perfidią zmuszała do tego hrabinę. Patrząc na nią spod długich, czarnych rzes panna dworu odpowiedziała głosem powolnym, lekko ironicznym, rozwlekając ostatnie sylaby:

- Na prawdę, Czcigodna Pani... aż tak wysokiego zgonu pragniecie?

- A co ty sądzisz, że o czym myślę od tygodnia, setna idiotko? Co chcesz, żebym robiła, jeśli nie prosiła Boga, od świtu do zmroku i od wieczora do ranka, aby Ludwik skręcił kark padając z konia albo udławił się suszonym orzechem?

- Może są szybsze sposoby, Dostojna Pani...

- No więc poskocz i poszukaj, okażesz się bardzo sprytna! Och, w każdym razie ten król nie jest stworzony, aby długo pociągnął. Wystarczy posłuchać, jak kaszle, żeby się o tym przekonać. Ale zależałoby mi, a by teraz zdechł... Nie uspokoję się, dopóki nie odprowadzę go do Saint-Denis.

- Bo wtedy Dostojny Pan de Poitiers zostałby może regentem... i zwróciłby wam Artois.

- Otóż to! Moja mała Beatrycze, ty mnie w lot pojmujesz, lecz rozumiesz także, że to przedsięwzięcie niełatwe. Ach! nie szczędziłabym złota temu, kto by mi dostarczył dobrą receptę na uwolnienie się, zapewniam ciebie.

- Dama de Feriennes zna takie recepty...

- Magia, воск topiony, zaklęcia. Na Ludwika już rzucono urok, jak się zdaje, i spójrz nań. Nigdy nie czuł się lepiej jak tej wiosny. Wydawałoby

się, że z diabłem zawarł spółkę.

- Jeśli zawarł spółkę z diabłem, to może niewielki grzech wysłać go do piekła... za pomocą jądła stosownie przyrządzonego.

- A jak się do tego weźmiesz? Pójdiesz do niego i powiesz: „Oto pyszne ciasto z porzeczkami, które wam przysłała wasza kuzynka Mahaut, co was tak bardzo miłuje”. A on ugryzie z zamkniętymi oczami... Wiedz, że od tej zimy, z powodu jakiegoś nagłego strachu, jaki go ogarnął, każe trzy razy próbować podawane mu potrawy i dwaj zbrojni giermkowie idą przy półmisku od kuchni aż do stołu. Ach, tak samo jest lękliwy, jak podły.

Beatrycze spoglądała w górę i końcami palców gładziła się po szyi.

- Komunikuje się często, jak mi mówiono... a hostię połyka z ufnością.

- Ta sprawa przychodzi zbyt łatwo na myśl, żeby się jej nie wystrzeżać. Sam kapelan jest pod nadzorem. Mateusz de Trye stale nosi przy sobie klucz od tabernakulum w swojej jałmużniczce. Czy stamtąd go weźmiesz?

- Ba! nie wiadomo - rzekła z uśmiechem Beatrycze. - Jałmużniczkę nosi się pod paskiem... Ale w każdym razie to sposób ryzykowny.

- Jeśli uderzymy, moje dziecko, cios musi być celny i nikt nie może się dowiedzieć, kto go zadał...

Chwilę trwały w milczeniu.

- Uskarżaliście się któregoś dnia - podjęła Beatrycze - że jelenie napastują wasze lasy i objadają młode drzewka. Nie widziałabym w tym nic złego, gdyby poprosić Feriennes o jakąś skuteczną truciznę do zmaczania strzał na jelenie... Król jest łasy na dziczyznę.

- Oczywiście, i cały dwór by zdechł! Och, co do mnie, na nic się nie narażam, nie zapraszają mnie. Ale powtarzam ci, pacholkuwie próbują wszystkich potraw, zanim podadzą je na stół, a co więcej dotyczą ich rogiem jednorożca<sup>24</sup>. Szybko by się wykryło, z jakiego lasu pochodzi jeleni... Wreszcie, mieć truciznę to jedna sprawa, a podać ją to druga. Każ ją przygotować już teraz i niech działa prędko, i nie zostawia śladów... Beatrycze, ten płaszcz przetykany, który włożyłam podczas podróży jadąc na koronację, bardzo ci się podobał, jak myśle. A więc jest twój.

- Och! Dostojna Pani, moja Pani... Jakie macie dobre serce.

I Beatrycze ucałowała Mahaut.

- Ach! mój ząb! - wykrzyknęła Mahaut przykładając rękę do policzka. - I pomyśleć, że go złamałam na migdale, który mi podał Ludwik...

Urwała i jej szare oko zaiskrzyło się pod brwią.

- Osmażane w cukrze migdały... - szepnęła. - To jest to, Beatrycze, zaopatrzyć się w truciznę, mówiąc wyraźnie, że jest przeznaczona dla moich jeleni. Myślę, że będzie nam przydatna.





## VIII

### Pod nieobecność króla

**P**od koniec maja, gdy król polował z sokołem, oznajmiono królowej Klemencji o przybyciu hrabiny de Poitiers. Bratowe widywały się dość często i Joanna nigdy nie omieszkała okazać Klemencji wdzięczności za uzyskane dzięki niej ulaskawienie. Klemencja zaś czuła się związana z hrabiną de Poitiers sentymentem, jaki żywi się tak chętnie wobec osób, którym wyświadczyło się dobry uczynek.

Chociaż królowa dowiedziawszy się o ciąży Joanny odczuwała trochę zazdrości - lub raczej uczucia krzywdy wyrządzonej przez los - nastrój ten szybko się rozwiął, gdy sama znalazła się w podobnym stanie. Co więcej, ciąża jakby zbliżyła obie bratowe. Prowadziły długie rozmowy o swym zdrowiu, o trybie życia, jaki prowadzą, o zabiegach, jakie należy stosować, a Joanna, która przed uwięzieniem powiła trzy córki, użyczała Klemencji swego doświadczenia.

Podziwiano jak wytwornie pani de Poitiers po przeszło siedmiu miesiącach nosi swe brzemię. Weszła do komnat królowej z podniesioną głową, świeżą twarzą, pewnym krokiem, jak zawsze pełna harmonii w ruchach. Suknia wokół niej rozwiewała się.

Królowa powstała na powitanie, lecz uśmiech na jej wargach zgasł, gdy spostrzegła, że Joanna de Poitiers nie jest sama, za nią szła hrabina d'Artois.

- Miłościwa Pani Siostró - rzekła Joanna - chciałabym was prosić o pokazanie mej matce tych kobierców z pięknej tkaniny, którymiście ozdobiły i podzieliły niedawno waszą komnatę.

- W istocie - dodała Mahaut - córka tak mi je zachwalała, że i ja nabrałam chęci, aby je podziwiać. Wiecie, że nieźle znam się na tego rodzaju robotach.

Klemencja była zakłopotana. Przykro jej byłoby łamać postanowienie małżonka, który zabronił Mahaut wstępu na dwór, lecz wydawało się jej również niezbyt taktowne, teraz odprawiać groźną hrabinę, gdy przybyła aż tutaj zasłaniając się niby puklerzem łonem swej córki. „Wizyta jej musi na pewno mieć poważny powód - myślała Klemencja. - Może przyszła z jakimś planem i stara się wrócić do łask bez zbytowego uszczerbku dla swej dumy. Obejrzenie moich kobierców na pewno jest tylko wybiegiem.”

Udała więc, że wierzy w pretekst, i zawiodła obie damy do swej ostatnio przemeblowanej komnaty.

Kobierce nie tylko zdobiły ściany, lecz także zwisały z sufitu, dzieląc obszerną komnatę na małe pokoiki, przytulniejsze, łatwiejsze do ogrzania, ułatwiające monarszej parze odosobnienie się od otoczenia. Przywodziły na myśl namioty rozpinane przez koczowniczych książąt wewnątrz budynku.

Zbiór kobierców Klemencji przedstawiał sceny z łowów w egzotycznych

krajach, gdzie mnóstwo lwów, tygrysów oraz innych dzikich zwierząt skakało, biegało pod drzewami pomarańczowymi, gdzie ptaki o dziwnym upierzeniu trzepotały wśród kwiatów. Łowcy wraz ze swą bronią jawili się tylko w głębi obrazów, wpółukryci w listowiu, jak by artysta wstydził się pokazywać człowieka w jego krwiożerczych instynktach.

- Ach, jakie piękne rzeczy - zawołała Mahaut - i jak przyjemnie oglądać sukno przedniego gatunku tak pięknie utkane.

Zbliżyła się, pomacała i pogłaskała tkaninę.

- Spójrzcie, Joanno - podjęła - jaka osnowa jest jednolita i miękka, i patrzcie na śliczny kontrast między tłem z liści i kwiatuśzków popstrzonych szafirem z indygo<sup>25</sup> a tym pięknym z alkiermesu szkarłatem, z którego są utkane pióra tych papużek. Zaprawdę wielka sztuka tak operować wełną!

Klemencja patrzyła na nią nieco zdziwiona. Szare oczy hrabiny błyszczwały radośnie, ręka stała się pieśczołliwa. Pochyliwszy lekko głowę przystawała, wpatrując się w delikatne kontury, w kontrast barw. Ta dziwna kobieta, krzepka jak wojownik, chytra jak kanonik, nieposkromiona w swych żądzach jak i nienawisciach, uległa nagle bezbronna urokowi kobierca wysokiego gatunku. W istocie była na pewno najlepszym rzeczoznawcą, jakiego próżno by szukać w całym królestwie<sup>26</sup>.

- Zaiste piękny zbiór - podjęła - gratuluję wam, moja kuzynko. Ta tkanina najbrzydszej ścianie nadałaby odświętny wygląd. Jest to sztuka z Arras, a jednak wełny płoną goręcej na osnowie. Bardzo zręcznie rękodzielnicy wam je utkali.

- Są to wytrawni tkacze z mojej ojczyzny - wyjaśniła Klemencja - lecz muszę wam wyznać, że pochodzą z waszego kraju, przynajmniej mistrzowie. Moja babka przysyłając mi te gobeliny w zamian za ślubne dary zatopione w morzu, przysłała mi także i tkaczy. Umieściłam ich tu w pobliżu, gdzie nadal tkają dla mnie i dla dworu. Jeśli spodoba się wam albo Joannie skorzystać z ich usług, możecie nimi dysponować. Zamówicie u nich wybrany przez was rysunek, a oni własnoręcznie na wrzecionach uprzedzą wam obraz, jaki widzicie.

- Świetnie, omówiłyśmy sprawę kuzynko, z całego serca przyjmuję - oświadczyła Mahaut. - Bardzo pragnę ozdobić trochę moje mieszkanie, gdzie się nudzę... a ponieważ pan de Conflans rządzi mymi tkaczami w Arras, król mi na pewno wybaczy, że trochę pokieruję waszymi tkaczami z Neapolu.

Klemencja przyjęła przytyk z uśmiechem, jak był powiedziany. Między nią a hrabiną d'Artois wśliznęła się współwina, jaka rodzi się ze wspólnego zamiłowania do zbytku i dzieł ludzkiej sztuki.

Podczas gdy Klemencja pokazywała nadal Joannie kobierce na ścianach, Mahaut skierowała się ku gobelinom oddzielającym królewskie łoże, przy którym zauważyła czarę pełną osmażonych w cukrze migdałów.

- Czy król również otacza się gobelinami? - spytała Klemencję.

- Nie, Ludwik nie ma jeszcze zasłon w swojej komnacie. Muszę rzec, że sypia w niej bardzo rzadko.

- To dowodzi, że zasmakował bardzo w waszym towarzystwie, moja

kuzyneczko - odparła rubasznym tonem Mahaut. - Zresztą jakież mężczyzna nie doceniłby tak cudownie zgrabnego stworzenia!

- Obawiałam się - podjęła Klemencja z bezwiednym brakiem wstydu czystej istoty - aby Ludwik nie odsunął się ode mnie, ponieważ jestem w ciąży. A więc bynajmniej! I śpimy bardzo po chrześcijańsku.

- Bardzom rada, naprawdę bardzom rada - rzekła Mahaut. - Nadal z wami śpi! Dobrego małżonka w nim macie. Mój, wieczny mu odpoczynek, tak nie postępował.

Już stała przy stoliku u wezglowia.

- Czy mogę... moja kuzynko? - spytała wskazując czarke. - Czy wiecie, że napędziłyście mi apetytu na te łakocie?

Mimo bólu zębów, na który wciąż cierpiała, wzięła osmażany w cukrze migdał i schrupała go ze stoicyzmem.

- Och, ten był sporządzony z gorzkiego migdału, wezmę drugi.

Odwracając się plecami do królowej i Joanny de Poitiers, które stały przynajmniej o pięć kroków, Mahaut wyjęła ze swej jałmużniczki przyrządzony u niej migdał i wsunęła go do czarki.

„Nic nie jest tak podobne do osmażanego migdału jak drugi osmażany migdał - rzekła do siebie - a jeśli zauważy, iż ten jest trochę cierpki w smaku, pomyśli, że to gorzcy migdału.”

Powróciła do obu kobiet.

- Śmiało, Joanno - podjęła - powiedzcie teraz waszej Pani Bratowej, co macie na sercu i o czym ją chciałyście zawiadomić.

- Zaprawdę, moja siostró - rzekła z lekkim wahaniem Joanna - chciałam wam się zwierzyć z mej troski.

„Jesteśmy więc w sednie sprawy - pomyślała Klemencja - dowiem się, po co przyszły.”

- Otóż mój małżonek jest bardzo daleko - ciągnęła Joanna - i jego nieobecność niepokoi me serce. Czy nie mogłybyście uzyskać u króla, żeby Filip wrócił na czas mego położu? W tym okresie niemiła jest świadomość, że mąż przebywa daleko. Może to słabostka, ale kobieta czuje się jakby chroniona i mniej się obawia bólów, jeżeli ojciec jest blisko. Wkrótce poznacie to uczucie, moja siostró.

Mahaut wystrzegła się, aby nie wtajemniczyć Joanny w swoje przedsięwzięcie, ale posłużyła się córką, aby zrealizować swe plany. „Jeśli rzecz się uda - rozważała - należałoby, aby Filip jak najwcześniej był w Paryżu i objął regencję.”

Prośba Joanny była w sam raz pomyślana, żeby wzruszyć Klemencję. Królowa obawiając się rozmowy w sprawie Artois, odczuła niemal ulgę, że chodzi tylko o apel do jej dobroci. Przyrzekła postarać się, aby pragnienie Joanny zostało spełnione.

Joanna ucałowała jej rękę, a w ślad za nią Mahaut.

- Ach, jakie macie dobre serce! Słusznie mówiłam, że tylko w was jest nasza ucieczka!

Opuszczając Vincennes, aby powrócić do Conflans, Mahaut rozmyślała. Już się stało... Teraz musimy czekać. Kiedy go zje? Dziś wieczorem może albo za trzy dni. Chyba, że Klemencja... Ona nie jest łasa na słodycze. Lecz oby nie nawiedziła jej chęć ciężarnej kobiety i nie schrupała tego

właśnie! Ba! w każdym razie byłby to cios dla Ludwika zabrać mu żonę, a za jednym zamachem i dziecko... Może także się zdarzyć, że pokojowiec wymieni migdały, zanim się czara wypróżni. Wtedy zabieg trzeba by podjąć na nowo...

- Jesteście bardzo milcząca, moja matko - zdziwiła się Joanna. - To spotkanie minęło bardzo przyjemnie. Czy coś wam sprawiło przykrość?

- Bynajmniej, córeczko, bynajmniej - odparła Mahaut. - Dokonałyśmy pożytecznego dzieła.







## IX

### Mnich umarł

To naturalne wydarzenie, które na dworze królewskim przepełniło radością królową i hrabinę de Poitiers, w kasztelu o dziesięć mil od Paryża rozpętało równocześnie dramat zakończony klęską.

Maria de Cressay już od kilku tygodni miała twarz napiętowaną lękiem i smutkiem. Zaledwie odpowiadała na zadawane jej pytania. Liliowy cień powiększał jej szafirowe oczy. Drobną żyłką rysowała się na przeźroczyściej skroni. Postawa wyrażała zmieszanie.

- Czy nam znów nie zapadnie na tę słabość jak w ubiegłym roku? - pytał jej brat Piotr.

- Ależ nie, nie chudnie - odpowiadała dama Eliabel. - Oskoma na miłość, oto co ją trapi, i ten Guccio chodzi jej po głowie. Wielki czas wydać ją za mąż.

Ale kuzyn de Saint-Venant ponaglony przez Cressayów odpowiedział, że zbyt pochłaniają go sprawy Ligi w Artois, aby na razie mógł myśleć o małżeństwie.

- Musiał się dowiedzieć o naszych kłopotach majątkowych - rzekł Piotr de Cressay. - Zobaczycie, matko, zobaczycie, może pożałujemy, że odtrąciliśmy Guccia.

Młody Lombard nadal bywał od czasu do czasu w zamku, gdzie goszczono go na pozór przyjaźnie jak dawniej. Nie spłacony był ani dług trzystu liwrów, ani procenty. Głód się nie skończył, a Cressayowie spostrzegli się, że kantor w Neauphle bywał zaopatrzony w żywność tylko w te dni, gdy udawała się tam Maria. Jan de Cressay w trosce o godność pytał niekiedy Guccia o stan zadłużenia, lecz otrzymawszy rachunek zapominał uściścić choć drobną cząstkę. Przeto dama Eliabel pozwalała córce chodzić do Neauphle raz na tydzień, lecz teraz kazała służącej, aby jej towarzyszyła i skrupulatnie odmierzała czas.

Potajemni małżonkowie spotykali się więc rzadko. Ale młoda służąca okazała się wrażliwa na hojność Guccia, a co więcej, Ricardo, pierwszy urzędnik nie był jej obojętny. Marzyła, aby stać się mieszczańką, i chętnie przesiadywała dłużej pośród skrzyń i rejestrów, słuchając miłego brzęku srebra na szalach, w tym zaś czasie pierwsze piętro banku osłaniało pośpieszne uściski miłosne.

Minuty wykradzione spod nadzoru rodziny Cressayów i zakazów świata były początkowo jak świetlne wysepki dla tego dziwnego małżeństwa, które nie liczyło jeszcze dziesięciu godzin wspólnego pożycia. Guccio i Maria żyli wspomnieniem tych chwil przez cały tydzień. Nie zawiódł ich zachwyty nocy poślubnej. Guccio jednak spostrzegł zmianę w zachowaniu się Marii. On również jak i dama Eliabel zauważył lęk w spojrzeniu Marii, smutek i nowy cień, który wyszczuplał jej policzki.

Przypisywał te oznaki kłopotom i groźbom, jakie ciążyły nad ich bądź co bądź fałszywą sytuacją. Szczęście skąpo odmierzane i wciąż okrywane łachmanami kłamstwa rychło staje się torturą. „Ależ to ona sama sprzeciwia się, żebyśmy przerwali milczenie! - rozmyślał. - Uważa, że rodzina nigdy nie zechce uznać naszego związku i każe mnie ścigać. I wuj jest tegoż zdania. Co robić?”

- Czym się niepokoisz, moja najdroższa? - zapytał ją trzeciego czerwca. - Widzieliśmy się oto kilka razy, a ty wydajesz się mniej szczęśliwa. Czego się obawiasz? Wiesz dobrze, że jestem tu, żeby ciebie przed wszystkim bronić.

Przed oknem wśród szelestu ptaków i os rozchylała gałęzie kwitnąca wiśnia. Maria odwróciła się ze łzami w oczach.

- Przed tym, co mi się przydarzyło, mój słodki i umiłowany - odparła - nawet ty mnie nie możesz obronić.

- Co się więc tobie przydarzyło?

- Nic, tylko to, czym za sprawą Boga, miałeś mnie obdarzyć - powiedziała Maria pochylając głowę.

Chciał się jeszcze upewnić, czy dobrze zrozumiał.

- Dziecko? - szepnął.

- Obawiałam się tobie wyznać. Bałam się, żebyś mnie mniej nie kochał.

Stał kilka sekund nie mogąc wypowiedzieć słowa, bo żadne nie wypływało mu na usta. Później ujął jej twarz w dłonie i zmusił ją do spojrzenia mu w oczy.

Maria miała jedno oko troszeczkę mniejsze niż drugie, jak prawie wszystkie istoty stworzone do namiętnej miłości; ta różnica w niczym nie umniejszała jej urody, lecz akcentując zmieszanie nadawała twarzy bardziej wzruszający wyraz.

- Mario, czy nie jesteś szczęśliwa? - spytał Guccio.

- Och, na pewno będę, jeśli i ty jesteś.

- Ależ, Mario, to cudowne - wykrzyknął. - Oto szczyt szczęścia i nasz ślub ujawni się nareszcie w pełnym świetle. Twoja rodzina będzie zmuszona ugiać się tym razem. Dziecko! Dziecko!

Przejęty zachwytem oglądał ją od stóp do głów. Czuł się mężczyzną. Czuł się silny. Mało brakowało, a wychyliłby się przez okno i wykrzyczał wiadomość na cały gródek.

Ten młodzieniec w pierwszej chwili, gdy coś go spotykało, widział zawsze zdarzenie w najlepszym świetle. Dopiero nazajutrz dostrzegał kłopoty, jakie mogą wynikać z jego postępowania.

Z parteru dobiegł głos służącej, która przypominała o spóźnionej porze.

- Co ja zrobię? co ja zrobię? - pytała Maria - Nigdy się nie odważyć powiedzieć matce.

- Więc ja sam jej powiem.

- Zaczekaj, zaczekaj jeszcze tydzień.

Wyprzedził ją na wąskich, drewnianych schodach, i podając rękę pomagał schodzić stopień po stopniu, jakby stała się niezwykle krucha i musiał ją podtrzymywać na każdym kroku.

- Ależ nic jeszcze mi nie przeszkadza - powiedziała.

Czując jak śmiesznie się zachowuje, wybuchnął głośnym, szczęśliwym

śmiechem. Później wziął ją w ramiona i zamienili tak długi pocałunek, aż dech jej zaparło.

- Muszę iść, muszę iść - mówiła.

Radość Guccia była jednak zaraźliwa i Maria odeszła pokrzepiona. Odzyskała pewność siebie po prostu dlatego, że Guccio dzielił jej tajemnicę.

- Zobaczysz, zobaczysz, jakie piękne czeka nas życie! - mówił odprowadzając ją do ogrodowej furty.

Jakaż mądrość, a zarazem litość okazał Stwórca wzbraniając nam poznania przyszłości, a jednocześnie obdarzając nas słodyczą wspomnień i urokiem nadziei. Wielu ludzi dowiadując się co ich czeka, straciłoby na pewno siłę do wytrwania przy życiu. Co zrobiłoby tych dwoje małżonków, tych dwoje kochanków, gdyby tego właśnie ranka wiedziało, że się już nigdy nie zobaczą.

Maria śpiewała w czasie całej drogi powrotnej wśród kwitnących drzew i łąk usianych złotymi pąkami. Chciała się zatrzymać na brzegu Mauldre'y by narwać irysów.

- Muszę ubrać naszą kaplicę - powiedziała.

- Pospieszcie się, Pani - odpowiedziała służąca - bo spotka was połajanka.

Maria wróciła do zamku; weszła wprost do swego pokoju i tu się zatrzymała czując, że ziemia ucieka jej spod stóp. Pośrodku izby stała dama Eliabel i mierzyła zwierzchnią szatę rozprutą w talii. Maria zobaczyła rozłożoną na łóżku całą swoją skromną garderobę, którą w ten sam sposób poszerzyła sztuka po sztuce.

- Skąd wracasz tak późno? - spytała zimno dama Eliabel.

Maria milczała i wypuściła z rąk irysy, które jeszcze trzymała.

- Nie potrzeba mi twoich słów. Sama wiem - podjęła dama Eliabel. - Rozbieraj się!

- Matko!... - zdławionym głosem szepnęła Maria.

- Rozbieraj się, jak ci każe.

- Nigdy - odparła Maria.

Głośny policzek był odpowiedzią na jej odmowę.

- A teraz posłuchasz? Wyznasz swój grzech?

- Wcale nie zgrzeszyłam! - odparła gwałtownie Maria.

- A ta nowa wypukłość? Skąd ci się wzięła - krzyknęła dama Eliabel pokazując suknie.

Gniew jej wzrastał, bo zamiast córki posłusznej matczynej woli stała przed nią kobieta, która śmiała jej stawić czoło.

- A więc tak, będę matką! A więc tak, to Guccio! - mówiła Maria - i nie mam się co czerwienić, nie zgrzeszyłam. Guccio jest moim mężem.

Dama Eliabel zgoła nie uwierzyła w ślub o północy. Choćby nawet uznała, że się odbył, sytuacja w niczym by się nie zmieniła. Maria postąpiła wbrew woli rodziny, wbrew władzy ojcowskiej sprawowanej przez matkę i najstarszego syna w imieniu zmarłego ojca. Córka nie miała prawa rozporządzać sobą. A następnie, ten włoski mnich mógł być równie dobrze przebrany mnichem. Nie, dama Eliabel stanowczo nie wierzyła w nędzną bajkę o rzekomym małżeństwie.

- Do śmierci, rozumiecie, matko, do samej śmierci nie wyznam nic innego! - powtarzała Maria.

Burza trwała dobrą godzinę. Wreszcie dama Eliabel zamknęła córkę na dwa obroty klucza w zamku.

- Do klasztoru! Pójdiesz do klasztoru dla upadłych dziewcząt - rzuciła jej zza drzwi.

I Maria padła ze szlochom na rozrzucone suknie.

Dama Eliabel musiała poczekać do wieczora, aby poinformować synów, skoro tylko powrócili z pola.

Rodzinną naradę trwała krótko. Gniew ogarnął obu młodzieńców, zaś młodszy Piotr czując się niemal winny, ponieważ dotąd popierał Guccia, gwałtowniej się uniósł i bardziej był skłonny wyrzucić zemstę. Guccio zhańbił ich siostrę, ohydnie zdradził pod ich własnym dachem! Lombard! Lichwiarz! Przez brzuch go przygwoźdzą do drzwi jego kantoru.

Uzbroili się w oszczepy do łowów, osiodłali konie i popędzili do Neauphle.

W ten zaś wieczór Guccio zbyt podniecony, by zasnąć przechadzał się po ogrodzie. Noc była pachnąca, gwiazdzista. W Ile-de-France wiosna w rozkwicie przepajała powietrze świeżą wonią pąków i rosy.

W ciszy wiejskiej Guccio z rozkoszą słuchał, jak skrzypią podeszwy na żwirze... jeden krok głośny, jeden krok cichy... a pierś mu rozpierała radość.

„I rzec, że przed pół rokiem - myślał - leżałem na tym podłym łóżku szpitalnym... Jakie piękne jest życie”!

Marzył. Gdy klamka już zapadła, on marzył o przyszłym szczęściu. Już widział, jak wzrasta wokół niego liczne zrodzone z cudownej miłości potomstwo, w którego żyłach połączy się wolna krew sienneńska z szlachecką krwią Francji. Zostanie wielkim Baglionim, głową potężnego rodu. Zamyślał o przybraniu francuskiego nazwiska, będzie zwał się Balion de Neauphle. Król mu na pewno nada tytuł, a syn, którego nosi Maria - bo to niewątpliwie będzie chłopak - pewnego dnia zostanie pasowany na rycerza.

Obudził się z marzeń, dopiero gdy usłyszał na bruku Neauphle tętent cwału, który następnie urwał się przed kantorem. Gwałtownie uderzyła kołatka w drzwi.

- Gdzie ten łajdak, ten szubieniczek, ten Żyd? - krzyknął jakiś głos.

Guccio poznał Piotra de Cressay.

Ponieważ drzwi nie otworzyły się dość szybko, rękojeście oszczepów jęły walić w dębowe podwoje. Guccio uniósł rękę do pasa. Nie miał przy sobie sztyletu. Ricardo schodził ciężkim krokiem po schodach.

- Już, już! Idę! - mówił pierwszy urzędnik głosem człowieka niezadowolonego, iż go wyrwano ze snu.

Później rozległ się zgrzyt otwieranych zamków, zsuwanego drąga i wnet potem odgłos gwałtownej kłótni, z której Guccio pochwycił tylko urywki.

- Gdzie twój pan? Chcemy go widzieć natychmiast!

Guccio nie dosłyszał odpowiedzi Ricarda, lecz głosy braci Cressayów brzmiały coraz donośniej:

- Zhańbił naszą siostrę ten pies, ten lichwiarz! Nie odejdziemy, aż go nie

obedrzemy ze skóry!

Kłótnia zakończyła się głośnym okrzykiem. Ricardo na pewno został uderzony.

- Zapal światło - rozkazał Jan de Cressay.

I Guccio usłyszał jeszcze głos Piotra, który wołał na cały dom:

- Guccio! Gdzie się chowasz? Czy jesteś śmiały tylko wobec dziewcząt?

Odważ się pokazać śmierzdzący tchórz!

Na placu uchyliły się okiennice. Wieśniacy słuchali, szeptali, szydzili, ale żaden z nich się nie pokazał.

Awantura zawsze stanowi rozrywkę, a figiel wyplątany ich pankom, tym dwóm młokosom, co zadzierali nosa i wciąż ich wzywali na odrobek, dostarczał im nieco zadowolenia. Mając do wyboru woleliby w prawdzie Lombarda, ale nie narażając się dlań aż na chłostę.

Gucciowi nie brakowało zuchwalstwa, lecz pozostała w nim odrobina rozsądku. Nie mając nawet sztyletu przy boku, mało by zyskał, gdyby stawiał czoło dwóm zbrojnym szaleńcom.

Kiedy bracia Cressayowie przeszukali dom i wyładowywali swój gniew na sprzętach, Guccio pobiegł do stajni. Z głębi nocy doleciał doń jeszcze głos Ricarda, który jęczał:

- Moje księgi! moje księgi!

Guccio pomyślał: „Trudno, ale nie uda się im rozbić skrzyń”.

Księżyc świecił dość jasno, żeby mógł szybko narzucić uzdę na swego konia. Osiodłał go na oślep, schwycił za grzywę, by łatwiej go dosiąść i wymknął się przez ogrodową furkę. Tak opuścił swój bank.

Słyszając galop bracia Cressayowie rzucili się do okien.

- Ucieka, tchórz, ucieka! Jedzie na Paryż. Hejże! chłopci, za nim! Odciąć mu drogę!

Oczywiście nikt się nie ruszył.

Wtedy obaj bracia wyskoczyli z kantoru i rzucili się w pogoń za Gucciem.

Ale wierzchowiec młodego Lombarda, piękny rasowy rumak, wybiegł wypoczęty ze swej zagrody. Konie Cressayów były nędznymi, wiejskimi szkapami, które już odpracowały swoją dniówkę. Pod Rennemoulins jeden z nich jął tak gwałtownie kuleć, że bracia musieli go pozostawić i wsiedli obaj na jednego konia, który był na domiar złego dychawiczny i przez jego nozdrza dobywał się odgłos piłowanego drzewa.

Guccio przeto miał czas zyskać znaczną przewagę. Przybył na ulicę Lombardów o świcie i wyciągnął wuja z łóżka.

- Mnich! Gdzie jest mnich? - zapytał.

- Jaki mnich, mój chłopcze, co tobie się stało? Chcesz wstąpić teraz do klasztoru?

- Ależ nie, wuj ku Spinello, nie drwijcie ze mnie. Muszę odnaleźć mnicha, który mi dał ślub. Ścigają mnie. Grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jednym tchem opowiedział swoją historię. Musi koniecznie mieć poświadczenie mnicha.

Spinello Tolomei słuchał go z jednym okiem otwartym, a drugim przymkniętym. Ziewnął dwukrotnie, co rozdrażniło Guccia.

- Nie rzucaj się tak. Mnich nie żyje - rzekł wreszcie Tolomei.

- Nie żyje - sapnął Guccio.

- No tak! Twój głupi ślub oszczędził ci przynajmniej głupiej śmierci, bo gdybyś pojechał z listem do sojuszników w Artois, jak tego chciał Dostojny Pan Robert, na pewno już byś nie potrzebował się troszczyć o ciotecznych wnuków, którymi mnie obdarzasz bez żadnej zachęty z mojej strony. Fra Vincenzo został zabity pod Saint-Pol przez pacholków Thierry'ego d'Hirson. Miał przy sobie moich sto liwrów. Ach! drogo mnie kosztuje Dostojny Pan Robert!

Tolomei zadzwonił na pacholka i kazał mu przynieść miednicę z ciepłą wodą i odzież.

- Lecz co ja zrobię, wujku Spinello? Jak dowieść, że naprawdę jestem mężem Marii?

- To nie najważniejsze - rzekł Tolomei. - Gdyby nawet imiona twoje i twojej pannicy zostały wpisane akuratnie do rejestrów, niczego by to nie zmieniło. Poślubiłbyś tym niemniej córkę szlachecką bez zgody jej rodziny. Chwaty, którzy cię ścigają, mają prawo wytoczyć z ciebie krew, niczym nie ryzykując. Należą do szlachty, a ci ludzie mogą mordować bezkarnie. Co najwyżej zapłacą grzywnę należną za życie Lombarda, a ta nie jest zbyt wysoka. Może nawet ich pochwałą.

- A więc! w ładnych znalazłem się opałach.

- Słusznie mówisz - rzekł Tolomei zanurzając twarz w wodzie.

Otrząsał się minutę, osuszył ręcznikiem.

- Tak więc, nie będę miał dzisiaj czasu kazać się ogolić! Ech! Jestem taki sam głupiec jak i ty...

Wyraźnie był zatroskany.

- Przede wszystkim trzeba cię ukryć - podjął. - Nie możesz się schować u żadnego z Lombardów. Jeśli twoi prześladowcy podburzali cały gródek, równie dobrze wezwą przewota w Paryżu i nie znalazłszy ciebie tutaj poślą straż, aby przetrząsała wszystkich naszych. Ładnie będę wyglądał wobec naszych kompanii... Pozwól, niech pomyślę... Ach tak! Istnieje twój przyjaciel Boccaccio, podróżnik Bardich...

- Ależ, wujku, on jest Lombardem jak my, a prócz tego jest teraz poza Francją.

- Tak, ale podoba się pewnej damie, paryskiej mieszczce i ma z nią nieślubne dziecko. To miła osoba; wiem o tym. Przynajmniej ona zrozumie twoją sprawę. Pójdiesz do niej i poprosisz ją o nocleg... A ja się zajmę powitaniem twoich rozkosznych szwagrów, kiedy się zjawią... o ile oni mną się nie zajmą i dziś wieczór nie będzie już po twoim wuju.

- Ach! nie, wy niczego się nie bójcie. Są zapalczywi, ale szlachetni. Uszanują wasze lata.

- Piękna to zbroja - słabe nogi.

- Może nawet zmęczą się jazdą i wcale nie przybędą.

Tolomei wysunął głowę z sukni, którą właśnie włożył na dzienną koszulę.

- Bardzo by mnie to zdziwiło - odparł. - W każdym razie złożą skargę i wytoczą nam proces. Muszę zaalarmować jakąś osobę na wysokim stanowisku, aby wstrzymała sprawę, zanim narobi wielkiego hałasu...

Mogę zwrócić się do Dostojnego Pana de Valois, ale ten przyrzeka, przyrzeka i nigdy nie dotrzymuje. Dostojny Pan Robert? To samo, co nając miejskich obwoływaczy i kazać im roztrąbić wiadomość.

- Królowa Klemencja?... - spytał Guccio. - Bardzo mnie polubiła w czasie podróży...

- Już ci wyjaśniłem poprzednim razem, Królowa zwróci się do króla, ten zwróci się do kanclerza... a ten postawi cały Parlament na nogi. Ślicznej sprawy będziemy bronić!

- A dlaczego by nie Bouville?

- O! to dobry pomysł - wykrzyknął Tolomei - pierwszy, co ci przyszedł do głowy od wielu miesięcy. Tak, Bouville nie olśniewa rozumem, ale zachował kredyt jako były szambelan króla Filipa. Nie skompromitował się intrygami i sprawia wrażenie rzetelnego człowieka...

- A w dodatku bardzo mnie lubi - rzekł Guccio.

- Tak, wiemy. Oczywiście wszyscy ciebie lubią. Trochę mniej miłości bardzo by się nam przydało! Idź schowaj się u tej damy twojego przyjaciela Boccaccia, i... zmiłuj się! Niechżeż i ona ciebie jeszcze w dodatku nie pokocha. Ja zaś pędzę do Vincennes porozmawiać z Bouville'em. Widzisz, Bouville jest chyba jedynym człowiekiem, który nic mi nie jest dłużny i właśnie jego muszę prosić o pomoc.





## X

### Żałoba nastąpiła w Vincennes

Gdy messer Tolomei na szarej mulicy w towarzystwie pachółka przybył na pierwszy podwórzec zamku Vincennes, zaskoczyło go zbiegowisko ludzi różnych stanów i zawodów: urzędników, sług, giermków, możnych panów, legistów i mieszczan. Wszyscy poruszali się jednak w zupełnej ciszy. Jakby nagle ludzie, zwierzęta i rzeczy nie były w stanie wywołać najmniejszego szmeru.

Ziemia była zasłana grubą warstwą słomy, by stłumić turkot wozów i odgłos kroków. Nikt nie ważył się mówić, chyba szeptem.

- Król umiera... - rzekł do Tolomeia jeden ze znajomych panów.

Zdawałoby się, że wewnątrz zamku stało bezbronnie. Łucznicy ze straży wpuszczali każdego, kto przybył. Mordercy czy złodzieje mogliby wejść w tym rozgardiaszu, a nikomu nie przyszłoby na myśl, aby ich zatrzymać. Dosłyszał szept:

- Aptekarz, miejsce dla aptekarza.

Przeszło dwóch dworzan niosąc okrytą płótnem ciężką, cynową misę, którą podali medykom.

Lekarze, wyróżniający się strojem, naradzali się w przedpokoju. Medycy nosili brunatne peleryny narzucone na suknie z brązowej wełny, a na głowie małe piuski podobne do zakonnych; chirurdzy byli przyodziani w płócienne szaty o rękawach długich i wąskich, a spod okrągłych czapek zwisały białe szarfy, okrywające policzki, kark i ramiona.

Tolomei poinformował się, że król jeszcze wczoraj czuł się bardzo dobrze, bo grał po południu w piłkę. Później wszedł do komnaty królowej i niebawem zauważono, że składa się we dwoje i poczyną wymiotować. W nocy wijąc się w bólach sam zażądał sakramentów.

Lekarze nie byli zgodni co do natury choroby; jedni uzasadniając diagnozę napadami duszności i omdleniami zapewniali, że zimna woda, którą wypił po wysiłku, spowodowała ten atak, inni twierdzili, że woda nie mogła spalić wnętrza króla aż tak, „żeby robił pod siebie krwią”.

Więcej rozprawiali, niż działali, nawzajem osłabiając swe twierdzenia; za wielu ich było bowiem u wezglowia tak dostojnego pacjenta, doradzali tylko leki łagodne, które ich nie obarczały odpowiedzialnością.

Dworscy panowie poszeptywali o „zauroczeniu” udając, iż wiedzą więcej, niż mówią. Po czym już roztrząsali inne problemy. Kto obejmie regencję? Niektórzy żalowali, że Dostojny Pan de Poitiers był nieobecny, inni na odwrót, chwalili to sobie. Czy król wyraził formalnie wolę w tej materii? Nie wiadomo. Lecz zawezwał kanclerza, aby mu podyktować kodycył uzupełniający jego testament.

Posuwając się wśród tego głuchego zamieszania Tolomei zdołał dotrzeć aż do progu komnaty, gdzie konał monarcha, w otoczeniu szambelanów,



sług, krewniaków i panów z Rady.

Wznosząc się na palcach przełożony lombardzkich banków dojrzał ponad murem ramion wspartego na poduszkach Ludwika X; jego zapadła, wychudła twarz nosiła piętno śmierci. Z jedną ręką na piersi, drugą na brzuchu, jęczał ściskając szczęki.

Zaszeptano:

- Królowa, królowa... Król prosi królową.

Klemencja siedziała w sąsiedniej komnacie, otoczona damami dworu, obok hrabiego de Bouville i pierwszej szafarki Eudeliny, którą trzymała za rękę. Królowa nie zmrużyła oka przez całą noc. Rozpacz i bezsenność uciskały jej skronie, a Dostojny Pan de Valois kręcił się przed nią mówiąc:

- Moja droga, moja zacna bratanico, musicie przygotować się na najgorsze.

„Przecież jestem już przygotowana - myślała Klemencja - i bez niego wiem o tym. Dziesięć miesięcy szczęścia, czy to wszystko, do czego miałam prawo? Może nie dość dziękowałam Bogu, że mi ich użyczył. Najgorsze to nie śmierć, ponieważ spotkamy się w życiu wiecznym. Najgorsze czeka dziecko, które narodzi się za pięć miesięcy i Ludwik go nie pozna i ono nie pozna ojca, gdy samo przybędzie na tamten świat. Dlaczego Bóg do tego dopuszcza?”

- Złóżcie na mnie, moja bratanico, wszystkie obowiązki i kłopoty i myślcie wyłącznie, że w waszym łonie nosicie nadzieję królestwa. Stan wasz nie pozwala wam wypełniać obowiązków regentki; a następnie, Francuzi z trudem by ścierpieli rządy w ręku cudzoziemki. Powiecie mi Blanka Kastylijska?<sup>27</sup>... Oczywiście, oczywiście, ale ona dłużej była królową. Nasi baronowie nie zdołali jeszcze was poznać. Muszę odciążyć was od trosk o tron, co zresztą w niczym nie zmieni mego stanowiska, w gruncie rzeczy...

W tejże chwili wszedł szambelan, aby powiedzieć królowej, że wzywa ją konający, ale Valois powstrzymał go gestem i mówił dalej:

- Nie potrzebuję wymieniać zasług; tylko ja mogę z pożytkiem rządzić. I potrafię, bądźcie pewna, wzbudzić we Francuzach miłość do matki ich przyszłego króla, o ile z łaski Boga, oczekujecie syna.

- Mój stryju - zawołała Klemencja - Ludwik jeszcze oddycha. Raczej módlcie się, proszę, żeby cud go ocalił, albo odłóżcie wasze plany aż do jego zgonu. I zamiast mnie zatrzymywać, pozwólcie mi wrócić na moje miejsce przy jego posłaniu.

- Oczywiście, moja bratanico, oczywiście, są jednak sprawy, o których należy myśleć, kiedy się jest królową. My nie możemy oddawać się bólom spóółstwa. Ludwik w swym kodycyli przed chwilą was obdarzył wielkimi dobrami, hojną ręką wyznaczył różne pensje, w tym nawet Ludwikowi de Marigny, co jeszcze bardziej obciąży Skarb. Ale nie powziął żadnego postanowienia odnośnie regencji...

- Eudelino, nie opuszczaj mnie - szepnęła powstając królowa i zwróciła się do Bouville'a idąc już do komnaty króla:

- Przyjacielu Hugonie, przyjacielu Hugonie, nie mogę w to uwierzyć; powiedzcie, że to nie nastąpi.

To przepełniło miarę i dzielny Bouville począł szlochać.

- Kiedy myślę, kiedy myślę - mówił - że posłał mnie po was do Neapolu!

Dziwniejsza była postawa Eudeliny. Szafarka nie opuszczała królowej, a ta zwracała się do niej we wszystkich sprawach. Eudelina nic nie odczuwała wobec agonii mężczyzny, którego była pierwszą kochanką i ulegle kochała, a później tak uparcie nienawidziła. Nie myślała ani o nim, ani o sobie. Wspomnienia jej, zdałoby się, umarły przed człowiekiem, który je stworzył. Całą siłę uczucia skierowała ku królowej, swej przyjaciółce. I jeśli w tej chwili Eudelina cierpiała, to cierpieniem Klemencji.

Królowa przeszła przez pokój opierając się z jednej strony na ramieniu Eudeliny, a z drugiej na ramieniu Bouville'a.

Tolomei wciąż stał w drzwiach i spostrzegając byłego szambelana, przypomniał sobie nagle, po co przyszedł.

„Zaiste, to nie czas, aby rozmawiać z Bouville'em. A obaj Cressayowie na pewno są u mnie w tej chwili... - pomyślał. - Oj, śmierć ta wypada bardzo nie w porę.”

W tymże momencie szturchnęła go potężna postać; hrabina Mahaut zakasawszy rękawy torowała sobie drogę. Autorytet jej był tak wielki, mimo niełaski, jaka ją dotknęła, że nikt się nie sprzeciwił ani nawet zdziwił widząc ją tutaj, gdy przyszła zająć swe miejsce bliskiej krewnej i królewskiego para.

Przystroiała twarz w wyraz osłupiały i strapiony.

Na progu szepnęła, lecz bardzo wyraźnie, by co najmniej z dziesięć osób usłyszało:

- Dwóch w tak krótkim czasie! To naprawdę za wiele. Biedne królestwo!

Zbliżyła się swym żołnierskim krokiem do grupy, w której stali Karol de la Marche, Robert d'Artois i Filip de Valois.

Mahaut wyciągnęła obie ręce do Roberta, dając mu znać wzrokiem, że zbyt jest wzruszona, by mówić, że trzeba zapomnieć w takim dniu o wszelkim nieporozumieniu. Później padła na kolana przed łóżem królewskim i rzekła złamanym głosem:

- Sire, błagam was o przebaczenie mi przykrości, jakich wam przyczyniłam.

Ludwik spojrział na nią; jego wypukłe, zielono-niebieskie oczy były okrążone głębokimi sińcami śmierci. Właśnie na oczach wszystkich zmieniano pod nim misę. Starając się zachować w tej niewygodnej pozycji panowanie nad sobą, po raz pierwszy nabierał prawdziwego majestatu i jakiejś cechy nareszcie królewskiej, której mu brakowało przez całe życie.

- Przebaczam wam, moja kuzynko, jeżeli poddacie się władzy króla - odparł, gdy wsunięto pod niego nową misę.

- Sire, przysięgam wam! - odpowiedziała Mahaut.

Niejedna osoba wśród zebranych była szczerze poruszona widząc groźną hrabinę uginającą karku.

Robert d'Artois zmrużył oczy i rzucił do ucha kuzynom:

- Nie zagrałaby lepiej, gdyby to ona go zabiła.

Kłótniwy dostał nowego napadu kolki i przyłożył ręce do brzucha. Wargi jego odsłoniły zaciśnięte zęby; pot spływał mu ze skroni i lepił włosy do policzków. Po kilku sekundach wyrzekł:

- Więc to jest cierpienie? więc to jest...





## XI

### Tolomei modli się za króla

**K**iedy po południu Tolomei wrócił do domu, wnet podbiegł ku niemu pierwszy urzędnik z wiadomością, że dwaj szlachcice ze wsi oczekują nań w przedpokoju jego gabinetu.

- Mają bardzo rozgniewane miny. Są tu od nocy, nic nie zjedli i mówią, że się nie ruszą, póki was nie zobaczą.

- Tak, wiem o tym - odparł Tolomei. - Zamknijcie drzwi i zawołajcie do mego gabinetu wszystkich domowników, urzędników, pacholków, stajennych i służące. Spieszcie się! Wszyscy na górę!

Później powoli wszedł na schody krokiem starca przybitego nieszczęściem. Przystanął chwilę na podeście słuchając rozgardiaszu, jaki w całym banku wywołały jego rozkazy. Zaczekał, aż pierwsze głowy ukażą się u stóp schodów, i wreszcie wszedł do przedpokoju trzymając się za głowę.

Bracia Cressayowie powstali, a Jan, brodacz, idąc ku niemu zawołał:

- Messer Tolomei, jesteśmy...

Tolomei powstrzymał go ruchem ręki.

- Tak, wiem! - rzekł z jękiem - wiem, kim jesteście, wiem także, co chcecie mi powiedzieć, ale to jest niczym wobec tego, co nas przygnębia.

Ponieważ Jan chciał mówić dalej, odwrócił się do drzwi i rzekł do personelu, który począł wchodzić:

- Wejdźcie, moi przyjaciele, wejdźcie wszyscy do mego gabinetu. Wysłuchajcie z ust waszego pana straszliwej nowiny! Prędko, wchodźcie moje dzieci!

Komnata wkrótce się wypełniła. Gdyby nawet bracia de Cressay chcieli się pokusić o najłżejszy ruch, w jednej chwili zostaliby rozbrojeni.

- Ależ wreszcie, messer, co to znaczy - spytał zniecierpliwiony Piotr.

- Za chwilę, za chwilę - odparł Tolomei. - Wszyscy winni się dowiedzieć.

Nagle zaniepokojeni bracia Cressayowie pomyśleli, że bankier wyjawi publicznie ich hańbę. Byłoby to więcej, niżby sobie życzyli.

- Czy wszyscy są tu? - spytał Tolomei. - Więc, moi przyjaciele, posłuchajcie.

Nic potem nie nastąpiło. Zaległa długa cisza. Tolomei ukrył twarz w dłoniach. Gdy ją odsłonił, jego jedyne otwarte oko wypełnione było łzami.

- Moi drodzy przyjaciele, moje dziatki - wykrztusił wreszcie - sprawa jest zbyt okropna! Nasz król... nasz król umiłowany skonał przed chwilą.

Głos mu uwiązł w gardle. Uderzył się w pierś, jakby to on był odpowiedzialny za śmierć monarchy. Skorzystał ze zdziwienia i rozkazał:

- Więc na kolana wszyscy i módlmy się za jego duszę.

Sam osunął się ciężko na podłogę, a w ślad za nim cały personel.

- Prędko, panowie, na kolana! - rzekł z naganą w głosie do braci Cressayów, którzy ciągle stali zaskoczeni wieścią i całkiem oglupiali wobec widowiska.

- *In nomine patris ...* - rozpoczął Tolomei.

Wtedy wybuchły w jeden głos przeraźliwe zawodzenia.

Domowe służki włoskie utworzyły chór płaczek wedle ojczystej tradycji.

- *Un uomo così buono, un signore tanto generoso cielo se le presol!* (Człowiek tak dobry, pan tak szczodry. Niebo go zabrało.) - wyła kucharka.

- *Ahime, ahime. Tanto buono, tanto generoso!* (Biada, biada! Tak dobry, tak szczodry!) - podjęły dziewczęta z izby czeladnej i pralni.

Zadarłszy wierzchnie spódnice, aby okryć nimi głowy, kiwały się w obie strony wznosząc do sufitu złożone ręce.

- *Era come un padre per noi tutti! Era il protettore degli umili.* (Był dla nas ojcem. Opiekun maluczkich.)

- *Il nostro padre, il nostro protettore, L'abbiamo, perduto. Ahime! Ahime!* (Straciliśmy naszego ojca, naszego opiekuna. Biada! Biada!)

Tolomei powstał i krążył wśród personelu.

- Tak, módlcie się, módlcie gorąco. Tak, był czysty, był święty. Grzesznicy, oto kim jesteśmy, grzesznikami niepoprawnymi. Módlcie się także, młodzieńcy - mówił naciskając ręką głowy braci Cressayów. - Was także śmierć schwyta w swe szpony. Kajajcie się, kajajcie!

Przedstawienie trwało dobry kwadrans. Po czym Tolomei rozkazał:

- Zamknijcie drzwi, zamknijcie okienka. Dziś jest dzień żałoby: nie będziemy handlować dziś wieczór.

Słudzy wyszli połykając łzy. Kiedy pierwszy urzędnik przechodził koło Tolomeia, bankier mu szepnął:

- Przede wszystkim żadnych wypłat. Złoto może zmienić kurs jutro...

Kobiety jeszcze wyły zstępując po schodach:

- Był dobrodziejem ludu. Nigdy, nigdy nie będzie króla tak dobrego!  
*Ahime...*

Tolomei opuścił portierę osłaniającą wejście do komnaty.

- Otóż - mówił - Otóż tak mija chwała świata.

Obaj Cressayowie milczeli, oglupiali i zaszachowani. Ich osobisty dramat zatonął w nieszczęściu królestwa. Odczuwali poza tym zmęczenie po całonocnej konnej jeździe, i to na jakim wierzchowcu!

Przyjazd ich wczesnym rankiem do Paryża we dwóch na jednej dychawicznej szkapie, w starej odzieży, którą wkładali do pracy na polu, wzbudził śmiech na ulicach. Eskortowani przez oddział wrzaskliwych wyrostków zabłądzili w labiryncie Cité. Czuli, że mają puste brzuchy, a ich pewność siebie, jeśli nie uraza, poważnie osłabła na widok wspaniałej siedziby Tolomeia. To wszędzie rzucające się w oczy bogactwo, ta liczna służba dobrze przyodziana i zażywna, te dywany, rzeźbione sprzęty, emalie, kość słoniowa... „Zaiste - myślał każdy z nich nie śmiejąc zwierzyć się bratu - zaiste, może popełniliśmy błąd okazując się tak czuli co do krwi. Taki majątek na pewno wart jest herbu.”

- Moi zacni przyjaciele - powiedział Tolomei z poufałością, do jakiej upoważniała go wspólna modlitwa - przystąpmy więc do tej przykrej sprawy, gdyż trzeba jednak żyć i świat trwa nadal mimo tych, co odeszli.

Chcecie ze mną rozmawiać o moim siostrzeńcu, oczywiście. Bandyta, zbrodniarz! Wyrzucić to mnie, co go obsypałem dobrodziejstwami! Nędznik bezwstydnym! Trzebaż mi jeszcze dziś tego bólu... Wiem, wiem o wszystkim, przesłał mi list dziś rano. Widzicie człowieka srodze doświadczonego.

Stał przed nimi przygarbiony, z oczami wbitymi w ziemię, straszliwie zgnębiony.

- I tchórz prócz tego - podjął. - Tchórz. Wstyd mi to wyznać, moi młodzi panowie. Nie ważył się stawić czoło memu oburzeniu. Jednym tchem wyjechał do Sieny. Teraz musi być daleko. Więc, moi przyjaciele, co poczniemy?

Miał minę, jakby się na nich zdawał, prawie prosił o radę. Obaj bracia spojrzeli na niego, spojrzeli po sobie. Nic się nie działo wedle ich przewidywań.

Tolomei obserwował ich spod przymkniętej powieki. „Dobrze - mówił sobie - teraz mam ich w ręku, nie są już niebezpieczni, chodzi tylko o to, jak nic im nie dając, wyprawić ich do domu.”

Wyprostował się nagle.

- Ale ja go wydziedziczam! Słyszycie, wydziedziczam... Nie otrzymasz ode mnie ani solda, łotrzyku - wołał wymachując ręką w domniemanym kierunku Sieny - Nic! Nigdy! Wszystko pozostawię biedakom i klasztorom!... A jeśli mi wpadnie pod rękę, wydam sądowni królewskiemu. Niestety! Niestety! Król umarł!

Obaj bracia byli gotowi go pocieszać.

Tolomei osądził, że są już dostatecznie przygotowani, aby im przemówić do rozsądku. Potwierdzał wszystkie ich wymówki, wszystkie żale; pochwalał je, nawet więcej, bo je uprzedzał. Ale co teraz począć. Na co zdałby się ludziom niemającym bardzo kosztowny proces, skoro winowajca jest poza zasięgiem i nim upłynie tydzień, przekroczy granicę? Czy to zrehabilitowałyby ich siostrę? Skandal zaszkoziłby im samym. Tolomei poświęci się i postara naprawić wyrządzone zło. Posiada wielkie wpływy wśród możnych osób. Jest przyjacielem Dostojnego Pana de Valois, Dostojnego Pana d'Artois, pana de Bouville... Wynajdzie dla Marii jakieś miejsce, gdzie w największej tajemnicy wyda na świat owoc grzechu, a następnie zobaczy się, jak zapewnić jej przyszłość. W klasztorze, przez pewien czas, może mogłaby się ukryć ze swą skruchą. Należy zaufać Tolomeiowi! Nie dowiódłże Cressayom, iż jest miłosiernym człowiekiem, odkładając spłatę trzystu liwrów, które są mu dłużni...

- Gdybym chciał, wasz zamek od dwóch lat należałby do mnie. Czyż tego chciałem? Nie. Sami widzicie.

Obaj bracia już mocno wstrząśnięci z łatwością pojęli groźbę, która zawisła nad nimi, w tak ojcowskim tonie bankiera.

- Pojmijcie, nic od was nie żądam - dorzucił.

Ale na rozprawie sądowej siłą rzeczy byłby zmuszony wyliczyć się ze swych rachunków i sędziowie mogli by zdziwić się, że Cressayowie przyjmowali tyle darów od Guccia.

No więc, są dzielnymi młodzieńcami, udadzą się do jakiejś zacisznej obergerzy, by spędzić tam noc solidnie się wpiersp i nie troszcząc

się o zapłatę. Zaczekają tam, aż Tolomei w ich imieniu załatwi sprawę. Sądzi, że już nazajutrz podsunie im propozycje zadowalające ich honor. Przede wszystkim uniknąć skandalu.

Piotr i Jan de Cressay przyznali mu rację, a nawet żegnając się uścisnęli mu ręce z niejakim wylaniem.

Gdy wyszli, Tolomei opadł na krzesło. Był znużony i wydymał tłuste, ciemne policzki.

„A teraz, oby król umarł!” powiedział sobie.

Kiedy bowiem opuszczał Vincennes, Ludwik X jeszcze oddychał, ale nikt nie sądził, aby mu pozostało wiele godzin życia.





## XII

### Kto będzie regentem?

**L**udwik X Kłótny skonał w nocy z 4 na 5 czerwca 1316 roku, wkrótce po północy.

Po raz pierwszy od lat trzystu dwudziestu dziewięciu król Francji umierał nie pozostawiając męskiego potomka, któremu mogłaby przypaść korona.

Dostojny Pan de Valois, który zazwyczaj tak gorliwie zajmował się uroczystościami królewskimi czy to weselnymi, czy pogrzebowymi, okazał tym razem zupełny brak zainteresowania ostatnimi honorami należnymi swemu bratankowi.

Wezwał wielkiego szambelana Mateusza de Trye i dał mu jedyną wskazówkę:

- Czyńcie, jak ostatnim razem!

Sam zaś zajął się zwołaniem Rady już na wczesne godziny poranne, ale nie w Vincennes, gdzie takiemu zebraniu musiałaby siłą rzeczy przewodniczyć królowa, lecz w Paryżu, w Pałacu na wyspie Cité.

- Pozostawmy naszą drogą bratanicę w jej bólu - oświadczył - nie dorzucamy nic, co mogłoby zaszkodzić jej cennemu brzemienu.

Skład Rady przypominał raczej zebranie rodzinne niż organ rządu. Zasiadli tu Karol de la Marche, brat zmarłego, Karol de Valois i Ludwik d'Evreux, bracia Filipa Pięknego, Ludwik de Clermont, wnuk Ludwika Świętego, Mahaut d'Artois, wnuczka, i Robert d'Artois, prawnuk Ludwika VIII, i Filip de Valois, syn Karola. Prócz nich zostali zaproszeni: kanclerz, arcybiskup z Sens i hrabia de Bouville, jako przedstawiciele Sądownictwa, Kościoła i wielkich dostojników królewskiego dworu.

Valois musiał zaprosić hrabinę Mahaut, która wraz z nim była jedynym parem obecnym w Paryżu. Przeto morderczyni tego, po kim należało niezwłocznie ustanowić następstwo, znalazła się tutaj w pełni swych przywilejów, ciesząc się skrycie ze swego zwycięstwa.

Valois spodziewał się po Mahaut opozycji, ale się jej nie obawiał. Myślał, że go całkowicie poprze reszta krewniaków. Co więcej, kanclerz Mornay był jego człowiekiem, arcybiskup Marigny był z nim związany, Bouville zaś był znany z uległości i z braku inicjatywy.

Zaiste Valois gratulował sobie, że Filip de Poitiers i konetabl Gaucher de Chatillon byli obaj nieobecni. Z nimi sprawy nie poszłyby tak łatwo. Lecz przebywali oni na razie w Lyonie, gdzie zajmowali się godzeniem kardynałów.

Przeto Dostojny Pan de Valois miał wolne ręce, nawet zbyt wolne... Zasiadł u szczytu stołu w królewskim fotelu. Choć narzucił na twarz maskę smutku, nie potrafił ukryć satysfakcji, jaką odczuwał zajmując to miejsce.

- Zebraliśmy się w żałobie, co nas dotknęła - zagaił - aby stanąć o



palących sprawach, a mianowicie o wyborze dwóch opiekunów łona, którzy winni czuwać w naszym imieniu nad ciężą królowej Klemencji oraz wyznaczeniem regenta królestwa, czego winniście dokonać, bo nie może być przerwy w sprawowaniu sądów i władzy. Proszę was o radę.

Przemawiał jak monarcha i wyraźnie uważał, że posiada królewskie przywileje. Ta postawa uraziła jego przyrodniego brata, hrabiego d'Evreux, którego surowość ducha i prawość myśli, troska o moralność i poszanowanie ustaw nie godziły się z tego rodzaju postępowaniem. Właśnie z powodu wrażliwego i skrupulatnego sumienia Ludwik d'Evreux nie brał czynnego udziału w rządach, ale obserwował, osądzał i nie pochwalał prawie żadnych czynów, jakich dokonano w ciągu roku za podszeptem Valois.

Ponieważ Karol odpowiadając na własne pytania zaproponował, aby mianowanie opiekunów powierzyć regentowi, d'Evreux przerwał mu z nagłą brutalnością, jaka niekiedy występuje u ludzi rozważnych:

- Ścierpcie, mój bracie, byśmy również zabrali głos i nie łączcie razem, jeśli łaska, wszystkich zagadnień. Ustanowienie regencji to jedna sprawa, w której istnieją precedensy w annałach królestwa i winna być rozważona przez Radę Parów. Natomiast wyznaczenie opiekunów to całkiem inna, zależna od najbliższej rodziny i możemy ją tu rozstrzygnąć w obecności kanclerza. Czy macie kandydatury?

Zdziwiony tą interwencją, a jeszcze bardziej stanowczym tonem, jakim została wypowiedziana, Karol de Valois odparł, aby zyskać na czasie:

- A wy, mój bracie, kogo proponujecie?

Hrabia d'Evreux przesunął palcami po powiekach.

- Sądzę, że musimy wybrać ludzi o nieskazitelnej przeszłości, dostatecznie dojrzałych, abyśmy mogli zawierzyć ich rozważności, takich, co dowiedli swej lojalności wobec naszych królów i swego do nich przywiązania. Skłonny byłbym wymienić senesza de Joinville, gdyby jego sędziwy wiek, zbliża się bowiem do stu lat, nie uczynił go bardzo słabym... Ale widzę tu pana de Bouville, był on wielkim szambelanem króla Filipa, naszego brata, i służył mu z wiernością godną naszej pochwały. Przywiózł do Francji królową Klemencję, która okazuje mu przyjaźń.

Valois odetchnął głębiej; kazanie Ludwika d'Evreux zdążyło tylko do powołania Bouville'a na stanowisko opiekuna, a więc poczuł się pewniej. Pośpiesznie udzielił bratu tej satysfakcji i gorąco pochwalił propozycję twierdząc, że Bouville był właśnie tą osobą, o której sam myślał. Wszyscy wokół stołu przytaknęli; jedni słowem, inni pochylem głowy lub po prostu mruknięciem.

Gruby Bouville powstał wzruszony. Oto zostały uwieńczyte długie lata jego przywiązania do korony.

- Wielki to zaszczyt, wielki to zaszczyt, Dostojni Panowie - oświadczył.

- Przysięgam czuwać nad łonem Miłościwej Pani Klemencji i strzec ją przed wszelaką napaścią lub zakusami oraz bronić jej własnym życiem. Ale ponieważ Dostojny Pan d'Evreux wymienił pana de Joinville, pragnąłbym, aby seneszał został mianowany razem ze mną, a jeśli on nie może, to jego syn, by duch Miłościwego króla Ludwika Świętego był obecny w swym

słudze przy tej stróży, jak duch króla Filipa mego pana... we mnie, jego słudze.

Rzadko Bouville wygłaszał tak długie przemówienie w czasie Rady. Uczucia, które chciał wyrazić, były dlań nieco za subtelne. Ostatnim zdaniom zbrakło przejrzystości, lecz wszyscy zrozumieli jego intencję i podziękował mu hrabia d'Evreux.

- Teraz - rzekł Valois - możemy przystąpić do ustanowienia regencji...

Znów mu przerwano, lecz tym razem powstał Bouville mówiąc:

- Przedtem, Dostojny Panie...

- Co takiego Bouville? - spytał zyczliwie Valois.

- Przedtem, Dostojny Panie, niech mi wolno będzie was najpokorniej prosić o opuszczenie zajmowanego przez was miejsca, bo to miejsce króla, winniśmy zaś myśleć, że król na razie jest w łonie królowej Klemencji.

Zaległa cisza, słychać było jeno głos dzwonów bijących w dzwonnicach Paryża.

Valois rzucił na Bouville'a wściekłym wzrokiem, lecz zrozumiał, że winien usłuchać, a nawet udawać uprzejmego. „Patrzcie, co za durnie - mówił sobie zmieniając miejsce - i niesłusznie darzy się ich zaufaniem. Mają pomysły, które nikomu nie przysłyby do głowy.”

Wszyscy po prawej stronie musieli przesunąć się o jedno miejsce. Bouville okrążył stół, przyciągnął stołek i skrzyżowawszy ramiona zasiadł w postawie wiernego strażnika, nieco z tyłu za pustym fotelem, który stawał się łakomym celem dla tylu osób.

Valois dał znak Robertowi d'Artois, a ten siedząc wypowiedział kilka słów, ledwie uprzejmych, które wyraźnie oznaczały „dość błazeństw, przejdźmy do spraw poważnych”. Zdaniem jego czas zbyt naglił aby można było go tracić na formalności. To, co się tutaj postanowi, może być tylko potwierdzone przez Izbę Parów. Nagle zaproponował, jako rzecz oczywistą, aby powierzyć regencję Karolowi de Valois.

- Nie zmienia się ręki przy pługu w środku bruzdy - rzekł. - Dobrze wiemy, że to Karol rządził przez cały rok w imieniu naszego biednego kuzyna Ludwika, którego złożymy do grobu. Przedtem zaś zawsze zasiadał w Radzie króla Filipa i zaoszczędził mu niejednego błędu, a także wygrał dlań niejedną bitwę. Jest najstarszym w rodzie, wkrótce minie trzydzieści lat, odkąd zwykł uczestniczyć w rządach...

Dwie tylko osoby zdały się nie pochwalać tego oświadczenia: Ludwik d'Evreux myślał o Francji; Mahaut d'Artois myślała o sobie.

„Jeśli Karol zostanie regentem - mówiła sobie - nie odwoła on marszałka de Conflans i nie zdejmie sekwestru z mego hrabstwa. Działa ręka w rękę z Robertem, jak Robert z nim. Może zbyt się pośpieszyłam z wyprawieniem Ludwika i trzeba było poczekać na powrót mego zięcia. Powinnam przemówić w jego imieniu, ale czy nie ściagnę na siebie podejrzeń?”

Evreux znów się zwrócił do Valois z interwencją:

- Karolu, gdyby nasz brat umarł, kiedy nasz bratanek Ludwik był jeszcze dzieckiem, kto zostałby z tytułu prawa regentem?

- Oczywiście, że ja - odparł Valois z uśmiechem, jak gdyby leli wodę na jego młyn.

- Dlatego, że jesteście pierwszym bratem. Czyż więc nasz bratanek Filip

de Poitiers nie powinien objąć regencji?

Mahaut odzyskała nadzieję. Kiedy zaś Karol de la Marche uznał za stosowne oznajmić, że jego brat Filip nie może być wszędzie naraz i na konklawe, i w Paryżu, hrabina z impetem włączyła się w dyskusję.

- Lyon nie leży w kraju Wielkiego Chana! Wraca się stamtąd w ciągu kilku dni. Jest nas za mało, aby stanować o sprawie tak poważnej. Z parów królestwa widzę tylko dwóch na dwunastu... Ani diuka-biskupa, ani hrabiego-biskupa, nie ma tu ani konetabla, ani diuka Burgundii...

Na wzmiankę o tym nazwisku poderwali się Robert d'Artois, Filip de Valois i Ludwik de Clermont. Nowy diuk Burgundii Eudoksjusz i jego matka Agnieszka Francuska oto ci, których należy się obawiać i pospiesznie zapobiec ich zakusom<sup>28</sup>. Dziecko Klemencji ma się narodzić, o ile w ogóle się urodzi, i dopiero wtedy zobaczy się, czy jest chłopcem, czy dziewczynką. Eudoksjusz Burgundzki ma podstawy, aby żądać regencji w imieniu swej siostrzenicy małej Joanny Nawarry jako kontrkandydat tak Poitiers, jak i Valois. Dobrze zaś wiadomo, że Joanna jest bękartem!

- Ależ wy nic nie wiecie, Robercie! - zawołał Ludwik d'Evreux - domysły to jeszcze nie pewność, a Małgorzata zabrała swój sekret do grobu, do którego wyście ją złożyli.

D'Evreux rzucił to „wyście” jako określenie ogólne i niesprecyzowane, lecz olbrzym, który miał wszelkie powody, by czuć się osobiście urażonym, poprosił d'Evreux, aby wyjaśnił swe słowa, względnie je odwołał.

- Czy zapomnieliście, Ludwiku, że poślubiliście moją własną siostrę, czy mam oczekiwać od mego najbliższego krewnego, że stanie się tubą moich oszczerców? Nie mówilibyście inaczej, gdybyście byli przekupieni przez Burgundczyków.

Incydent przybierał zły obrót i przez chwilę można się było obawiać, że obaj szwagrowie zażądają zbrojnego spotkania.

Raz jeszcze skandal w wieży Nesle i jego skutki podzieliły francuską dynastię, a nawet groziły teraz podziałem królestwa.

Arcybiskup de Marigny przemówił wtedy w imieniu Kościoła i wzywając do pojednania skłonił przeciwników do poszanowania tego, co nazwał „rozejmem żalobnym”. W jego pojęciu nie należało przypisywać zniesławiającej intencji słowom Dostojnego Pana d'Evreux, a wyraz „grób” w jego ustach z pewnością oznaczał warowny Zamek Gaillard, gdzie Małgorzata została zamknięta „jak w grobie” i gdzie umarła.

Ludwik d'Evreux ani potwierdził, ani zaprzeczył. Robert zaś burknął:

- Przede wszystkim Zamek Gaillard leży bliżej Evreux niż mego zamku w Conches...

Wówczas otworzyły się drzwi i Mateusz de Trye oznajmił, że musi podać ważną wiadomość. Poproszono go, by zabrał głos.

- Kiedy balsamowano ciało króla - rzekł szambelan - wkradł się przez nikogo nie zauważony pies i polizał płótna, które służyły do wyjmowania wnętrzności.

- I co? - spytał Valois. - Czy to wasza wielka nowina?

- Otóż, Dostojni Panowie, pies wnet padł w bólach, począł jęczeć i wic się i zapadł na tę chorobę, co król, teraz może już nawet zginął.

Znów rozległ się tylko pogłos dzwonu z katedry Notre-Dame. Hrabina Mahaut nie poruszyła się, lecz straszliwa trwoga wstąpiła w jej serce: „Czyż zdradzi mnie żarłoczność psa” - mówiła sobie.

- Czy myślicie, Mateuszu, że była trucizna... - wyrzekł wreszcie Ludwik d'Evreux.

- Trzeba wszcząć śledztwo i starannie je prowadzić - powiedział Karol de Valois.

Nagle powstał Bouville, który podczas całej dyskusji siedział w milczeniu koło królewskiego fotela.

- Dostojni Panowie, jeśli ktoś poważyl się targnąć na życie króla, należy się obawiać, aby nie zechciał nastawać na życie mającego się urodzić dziecka. Proszę o straż złożoną z sześciu zbrojnych giermków, którzy czuwaliby pod moim rozkazem, dzień i noc, u drzwi królowej i zabronili dostępu jakiejkolwiek zbrodniczej dłoni.

Odpowiedziano mu, by postępował, jak uważa. Wkrótce potem Rada nie powziawszy żadnej konkretnej uchwały odłożyła posiedzenie do dnia następnego. Valois spodziewał się, że w najbliższych godzinach popchnie naprzód swe sprawy.

W progu Mahaut podeszła do Ludwika d'Evreux i cicho mu rzekła:

- Czy wyślecie jeźdźca do Filipa, aby go zawiadomić o tym, co zaszło?

- Oczywiście, moja kuzynko, uczynię to i chcę ostrzec również naszą stryjną Agnieszkę.

- Więc zdaję się na was, bo we wszystkim jesteśmy zgodni.

Do wychodzącego z posiedzenia Bouville'a podszedł Spinello Tolomei, który oczekiwał go na pałacowym podwórzu, aby poprosić o pieczęć nad siostrzeńcem.

- Ach, ten kochany chłopak, ten zacny Guccio! - odparł Bouville. - Właśnie takiego mi trzeba człowieka, by czuwał nad królową. Bystry, żwawy... Miłościwa Pani Klemencja bardzo lubiła jego towarzystwo. Jaka szkoda, że nie jest giermkim czy nawet starszym giermkim, lecz mimo wszystko trafiają się okoliczności, gdy cnota waży więcej niż dostojny ród...

- To samo właśnie myśli panna, co go zechciała poślubić - rzekł Tolomei.

- Ach! więc się ożenił?

Bankier usiłował pokrótce wyjaśnić kłopoty Guccia, lecz Bouville słuchał nieuważnie. Spieszył się. Musiał zaraz wracać do Vincennes i upierał się, by umieścić Guccia w przybocznej straży królowej. Tolomei pragnął, aby siostrzeniec objął stanowisko mniej zwracające uwagę, z dala ode dworu. Gdyby można było ukryć go w świątyni jakiegoś duchownego dostojnika, na przykład kardynała...

- Więc dobrze, mój przyjacielu, tedy wyślijmy go do Przewielebnego Pana Dueze! Powiedzcie Gucciovi, aby przyszedł do mnie do Vincennes, skąd nie mogę odtąd się ruszyć. Niech mi opowie o swym zmartwieniu... Czekać, nawet mam pomysł! Mógłby mi oddać wielką usługę, jadąc w tamte okolice. Szukałem, komu mam powierzyć poufną misję... Tak, kaźcie mu się pospieszyć, czekam nań.

W kilka godzin później trzech jeźdźców trzema różnymi drogami

pędziło do Lyonu.

Pierwszy jeździec jadąc „wielkim traktem” to znaczy przez Essonnes, Montargis i Nevers miał na szatach godła Francji. Jeździec ten wiozł list, w którym Karol de Valois oznajmił Filipowi de Poitiers o śmierci jego brata, a następnie zawiadomił, że on - Valois pod naciskiem sytuacji, w jakiej się znalazł, oraz wybrany przez Radę musi niezwłocznie objąć regencję.

Drugi jeździec z herbami hrabiego d'Evreux zdążył tak zwanym „ładnym gościńcem” przez Provins i Troyes; miał on rozkaz zatrzymać się najpierw w Dijon - u diuka Burgundii, nim uda się w dalszą drogę do hrabiego de Poitiers. Listy, które miał oddać, nie miały identycznej treści co Karola de Valois.

Wreszcie „najkrótszą drogą” przez Orlean, Bourges i Roannes pędził Guccio Baglioni, jeździec przygodny, przebrany w liberię hrabiego de Bouville. Oficjalnie Guccio został wysłany do kardynała Dueze, ale rozkazy wiodły go również do hrabiego de Poitiers, któremu miał osobiście powiedzieć, że istnieje przypuszczenie, jakoby król został otruty, opieka zaś nad królową wymaga wielkiej czujności.

Losy Francji legły na tych trzech gościńcach.





## Noty historyczne do tomu 3



<sup>1</sup> W owych czasach odprawiano na okręcie u stóp głównego masztu mszę zwaną „suchą mszą”, bez konsekracji i komunii. Ta niezwykła forma liturgiczna powstała zapewne z obawy, by chory na morską chorobę nie wypuść hostii.



<sup>2</sup> Grzywna - miara wagi równa 8 uncjom lub półfuntowi, w przybliżeniu 244 gramy.



<sup>3</sup> [Mistral - gwałtowny, suchy i zimny wiatr północny na południowym wschodzie Francji.]



<sup>4</sup> [Hospicjum - Hôtel-Dieu - Dom pod wezwaniem Bożym - było pierwotnie w średniowieczu przytułkiem, do którego przyjmowano niedołącznych i kalekich, później również i chorych, z czasem hospicjum przekształciło się w szpital.]

Zakłady lecznicze we Francji wzorowały się na ogół na statucie hospicjum w Paryżu.

Szpital był pod zarządem jednego lub dwóch prowizorów mianowanych przez kapitułę katedralną. Personel szpitala rekrutował się spośród wolontariuszy starannie dobranych przez prowizorów. W paryskim hospicjum personel ten składał się z czterech księży, czterech kleryków, trzydziestu braci i dwudziestu pięciu siostr. Nie przyjmowano na wolontariuszy ani żonatych mężczyzn, ani mężatek. Bracia nosili tonsurę taką jak templariusze, siostry miały włosy obcięte na wzór zakonnic.

Reguła obowiązująca „szpitalników” była bardzo surowa. Bracia i siostry winni byli ślubować czystość i wyrzec się wszelkich dóbr. Brat nie miał prawa rozmawiać z siostrą bez zezwolenia „przełożonego” lub „przełożonej”, mianowanych przez prowizorów na kierowników personelu. Nie wolno było siostrom myć głowy lub nóg braciom; posługi te oddawały tylko chorym leżącym. Przełożony miał prawo karać cielesnie braci, a przełożona - siostry. Brat nie mógł sam wyjść do miasta ani też z towarzyszem nie wyznaczonym przez przełożonego; podobnie i siostra. Personel szpitala nie miał prawa przyjmować gości. Bracia i siostry mogli jadać tylko dwa posiłki dziennie, natomiast musieli podawać chorym jadło, ilekroć zaszła potrzeba.

Bracia winni byli spać oddzielnie, przyodziani w lnianą lub wełnianą tunikę i w kalessony; podobnie i siostry. Jeśli brat lub siostra bez wiedzy przełożonego lub przełożonej posiadali w chwili śmierci jakąkolwiek własność lub jakiś przedmiot, nie wolno im było oddać religijnej posługi i byli grzebani jako wyklęci.

Wstęp do szpitala był wzbroniony osobom, którym towarzyszył pies lub ptak.

Każdy chory zgłaszający się do szpitala był najpierw badany przez „chirurga przy bramie”, który wpisywał go do rejestru. Później przywiązywano mu do ręki karteczkę z nazwiskiem i datą przybycia. Następnie przyjmował komunię; zanoszono go na łóżko i był traktowany „jako pan domu”.

Szpital winien był zawsze posiadać kilkanaście ciepłych szlafroków i kilkanaście par ciepłego obuwia dla „rozgrzewki” chorych.

Wróciwszy do zdrowia chory w obawie przed recydywą pozostawał przez cały tydzień w szpitalu.

Lekarze zwani medykami lub fizykami nosili jak i chirurdzy odrębny strój. Szpitalna apteka przygotowywała leki wedle wskazań medyka i chirurga.

Szpital przyjmował nie tylko chorych, lecz i niedołącznych.

Hrabina Mahaut d'Artois ufundowała w szpitalu w Arras dziesięć łóżek, zaopatrzonych w materace, poduszki, prześcieradła i kołdry dla dziesięciu niedołącznych ubogich. W inwentarzu tego szpitala figuruje kilkanaście drewnianych kadzi do kąpieli, mis „do podkładania w łóżku pod biedaków”, wiele miednic, tac do golenia itd. Taż hrabina d'Artois ufundowała szpital w Hesdin.



<sup>5</sup> Władcy Vienne używali tytułu „delfina”, gdyż wizerunek delfina zdobił ich hełm oraz tarczę herbową, stąd powstała nazwa Delfinat, nadana prowincji, którą rządzą. Obejmowała ona okręgi: Grésivaudan, Roanne Champsaur, Briançon, Embrun, Gap, Vienne, Valence, Diois, Tricasse i księstwo Orange [dzisiejsze departamenty Izera, Wysokie Alpy oraz Drôme].

W początkach XIV wieku rządziła w Delfinacie trzecia dynastia delfinów z Vienne: de la Tour du Pin. Dopiero pod koniec panowania Filipa VI de Valois, na mocy traktatów z 1343 r. i 1349 r., Humbert II odstąpił Francji Delfinat pod warunkiem, że najstarszy syn króla Francji będzie odtąd używał tytułu delfina.



<sup>6</sup> [Wojska królewskie są odpowiednikiem pospolitego ruszenia w Polsce.] Francuski termin *ost* oznaczał wojska, a zwłaszcza wojska królewskie, i pochodził od łacińskiego słowa *hostis* - wróg.



<sup>7</sup> W pierwszych dniach lipca 1315 r. Ludwik X wydał dwa zarządzenia dotyczące Lombardów. W pierwszym zastrzegł, że „zasiedziali”, czyli stali mieszkańcy włoscy, winni płacić podatek w wysokości jednego solda od jednego liwra wartości towaru; w zamian uzyskiwali zwolnienie od służby wojskowej, udziału w wyprawach oraz od wszelkich subwencji na cele wojenne. Był to więc wyjątkowy podatek pięcioprocentowy.

Drugie zarządzenie z 9 lipca wprowadzało ogólne przepisy dotyczące obowiązującego włoskich kupców prawa pobytu i handlu. Wszystkie operacje złotem i srebrem czy w kruszcu, czy w monecie, każdy akt kupna i sprzedaży, różne wymiany towarowe były obłożone podatkiem od jednego do czterech denarów od liwra zależnie od prowincji oraz tego, czy ów handel odbywał się na jarmarkach, czy poza ich obrębem. Wolno było Włochom mieć stałe miejsce pobytu tylko w czterech miastach: Paryżu, Saint-Omer, Nîmes oraz La Rochelle. Nie wydaje się, aby to ostatnie zarządzenie było ściśle przestrzegane, lecz jego uchylenie musiało nieźle wzbogacać czy to miasto, czy Skarb. Powołani przez administrację królewską maklerzy winni byli czuwać nad handlem Lombardów.



<sup>8</sup> [Karwasz - krótka pelerynka ze stalowych kółek narzucona na pancerz.]



<sup>9</sup> [Giovanni Malatesta, mąż Franceski da Rimini, przyłapał ją na zdradzie małżeńskiej ze swym bratem Paolem Malatestą i zmasakrował kochanków. Dante umieścił ich w księżce V *Piekle*.]



<sup>10</sup> Rycerska pieśń o Hugonie Kapecie (*Chanson de geste de Hugues Capet*), pamflet napisany w pierwszych latach XIV w., rozpowszechniła legendę, jakoby Kapetyngowie byli potomkami bogatego rzeźnika z Paryża. Wszyscy szybko zapomnieli o tym pamflecie prócz Dantego, a później Franciszka Villona.

Dante oskarża również Hugona Kapeta o złożenie z tronu prawego następcy i zamknięcie go w klasztorze. Jest to splątanie końca panowania Merowingów i Karolingów. W istocie ostatni król pierwszej dynastii, Chilperyk III, został zamknięty w klasztorze. Ostatnim prawym potomkiem Karola Wielkiego, po śmierci Ludwika V Leniwego, był diuk Karol Lotaryński, który wiódł spór o tron z Hugonem Kapetem. Diuk Lotaryński zmarł nie w klasztorze, lecz w więzieniu, gdzie wtrącił go diuk Francji.

Gdy w XVI w. Franciszek I za radą siostry kazał, by przeczytano mu *Boską komedię*, i usłyszał ustęp dotyczący Kapetyngów, przerwał lektorowi krzyżując: „O podły poeta, zniesławiał mój ród!”, i zabronił, by mu dalej czytano.



<sup>11</sup> Wkroczywszy 1 listopada 1301 r. do Florencji, którą wstrząsały walki między gwelfami a gibelinami, Karol de Valois istotnie wydał miasto na pastwę zwolennikom papieża. Później nastąpiły wyroki skazujące na banicję. Dante, znany gibelin oraz inspirator oporu, ubiegłego lata był radcą Signorii, następnie został wysłany w poselstwie do Rzymu, gdzie go uwięziono jako zakładnika. 27 stycznia 1302 r. został



skazany przez trybunał florencki na dwa lata wygnania i 5000 liwów grzywny pod kłamliwym oskarżeniem o sprzeniewierzenia poczynione w czasie pełnienia urzędu. 10 marca wytoczono mu nowy proces. Tym razem został skazany na spalenie żywcem. Na szczęście nie było go ani we Florencji, ani w Rzymie, skąd udało mu się uciec, nie miał jednak już nigdy ujrzeć swej ojczyzny. Łatwo pojąć, że zachował trwałą urazę do Karola de Valois, a w konsekwencji książąt francuskich.



<sup>12</sup> Spora ilość rozpraw naukowych oraz świadectw z owej epoki skłania do wniosku, że zakon templariuszy w ukryciu i rozsypce przetrwał jeszcze kilka wieków. Wymienia się nazwiska wielkich mistrzów aż po wiek XVIII. Wydaje się co najmniej oczywiste, że w okresie bezpośrednio po zniesieniu zakonu templariusze usiłowali połączyć się w grupy działające z ukrycia. Wodzem owej organizacji był siostrzeniec Jakuba de Molay, Jan de Longwy, który przysiągł pomścić śmierć swego wuja i działał na ziemiach hrabiego Burgundii (czyli Filipa de Poitiers).



<sup>13</sup> [Jak widzimy z podanego przez autora przepisu, konwalia (*convallaria maialis* - znany lek nasercowy) była używana w średniowieczu jako składnik napoju miłosnego. Kto wie, czy istniejący dziś we Francji zwyczaj ofiarowywania miłym sercu osobom bukiecika konwalii w dniu 1 maja nie wywodzi się ze średniowiecznych „filtrów” miłosnych?]



<sup>14</sup> Święty Druon, szczególnie czczony w Artois, Combrésis i Hainaut, urodził się w roku 1118 w Epinoy, które wtedy należało do diecezji Tournai, a następnie Arras. Święty Druon przyszedł na świat dzięki cesarskiemu cięciu, operacji wykonanej na już zmarłej matce. Od najmłodszych lat odznaczał się wielką pobożnością, lecz pastwiły się nad nim inne dzieci, traktując go jako zabójcę matki. Czując się winnym oddawał się wszelakim pobożnym praktykom, aby odpokutować nieświadomą zbrodnię. Mając lat siedemnaście wyrzekł się dworskiego życia, rozdał znaczne, odziedziczone dobra i najął się za pastucha u wdowy Elżbiety Lehaire, w wiosce Sebourg, w hrabstwie Hainaut, trzynaście kilometrów od Valenciennes. Tak bardzo kochał zwierzęta i tak je troskliwie pielęgnował, że wszyscy mieszkańcy tej wioski prosili go, aby strzegł również i ich owiec. Wtedy to aniołowie jęli pilnować jego stada, kiedy on szedł na mszę...

Później udał się z pielgrzymką do Rzymu i tak mu się ona spodobała, że odbył ją dziewięć razy z rzędu, lecz musiał zaniechać podróży na skutek „ruptury wnętrzości”; chorobę tę znosił, jak się zdaje, przez czterdzieści lat i nie zezwalał na nałożenie sobie bandaży. Mimo przykrego zapachu, jaki się wokół niego rozchodził, cnoty jego ściągały z okolicy wielu grzeszników. Poprosił, aby przy kościele w Sebourg zbudowano mu chatkę, z której mógłby widzieć tabernakulum, i ślubował nie wyjść z niej do końca życia. Wiernie dotrzymał ślubu, nawet w dniu, gdy spłonął kościół wraz z jego chatką. Ponieważ ogień go oszczędził, ludzie pojęli, że jest święty.

Umarł 16 kwietnia 1189 roku. Z okolic w promieniu kilkunastu mil lud zbiegł się z płaczem, by całować jego stopy i wziąć kilka skrawków okrywającej go nędznej odzieży. Krewniacy, panowie d'Epinoi, chcieli przywieźć jego ciało do rodzinnej wioski, lecz wóz ze zwłokami stanął w Sebourg i wszystkie konie, które sprowadzono na pomoc, nie zdołały go ruszyć z miejsca. Pozostawiono więc ciało świętego tam, gdzie zmarł.

Sława jego ogromnie wzrosła na skutek cudownego uzdrowienia hrabiego Holandii i Hainaut. Straszliwie cierpiąc na kamice odbył on pielgrzymkę do Sebourg i zaledwie ukląkł przed grobem świętego, by odmówić modlitwę, wydalil „trzy kamienie wielkości orzecha”.

Dzień świętego jest tradycyjnie obchodzony w poniedziałek, w drugi dzień Zielonych Świąt - w kościele parafialnym i przy studni świętego Druona w Carvin-Epinoy.



<sup>15</sup> [Pinta - miara równa 0,93 litra.]



<sup>16</sup> Najmłodsze dziecko i jedyny syn Mahaut, o imieniu Robert, jak i jego kuzyn, miał wtedy szesnaście lat. Nie zdążył odegrać poważniejszej roli w owym okresie, umarł



bowiem nie ukończywszy lat osiemnastu w 1317 roku. Pochowany został najpierw w Paryżu u Kapucynów, później ciało jego przeniesiono do opactwa Saint-Denis. Posąg Roberta d'Artois w Saint-Denis nie jest więc - uprzędzamy czytelników - wizerunkiem naszego bohatera, który został pochowany w Londynie, lecz syna Mahaut.



<sup>17</sup> Dokładna data drugiego ślubu Ludwika X jest sporna. Część autorów ustala ją na dzień 3 sierpnia, inni - na 13, a nawet 19. Tak samo data koronacji waha się zależnie od źródła między 19, 21 i 24 sierpnia. Zbiór zarządzeń królów Francji został wydany drukiem dopiero w XVIII wieku, a dane chronologiczne są bardzo niedokładne, dokument ten sugeruje, że król miał znajdować się w Reims 3 sierpnia, w Soissons - 6 i 7, a 18 w Arras. Otóż założywszy, że Ludwik X przejął królewski proporzec z Saint-Denis 24 lipca, wydaje się praktycznie niemożliwe, żeby wyprawa na Flandrię trwała tak krótko, by mógł on wrócić z bagiennej wyprawy i przybyć do Szampanii przed 10 sierpnia.

Przyjęliśmy datę 13 sierpnia, podaną przez Ojca Anzelma, jako najbardziej prawdopodobną. [Pierre Guibours zwany Ojcem Anzelmem (1625-1694), augustinian bosa, autor cennego dzieła: *Genealogia i chronologia panującego Domu Francji*.] Koronacja bowiem zawsze odbywała się w niedzielę lub w dzień wielkiego święta kościelnego: sądzimy, że Ludwik X był koronowany albo 15 sierpnia, albo w niedzielę 18 sierpnia. Wiemy również, że uroczystości z tej okazji trwały kilka dni, co dostatecznie wyjaśnia wahanie się dat.



<sup>18</sup> Cała rodzina d'Hirsonów piastowała stanowiska lub była zaopatrzona w synekury w administracji hrabstwa Artois lub na dworze Mahaut. Oprócz kanclerza Thierry'ego, prócz Mahaut i Beatrycze, dwóch panien dworu, znany jest Piotr d'Hirson, bajlif w Arras, Wilhelm d'Hirson, stolnik, czyli intendent hrabiny, wymienia się również jeszcze trzech d'Hirsonów, bratanków kanclerza, którzy byli zatrudnieni na dworze hrabiów d'Artois.



<sup>19</sup> [Średniowieczne biblioteki klasztorne posiadały bogate księgozbiory. Znaleźć w nich było można nie tylko *Żywoty świętych* oraz rozprawy teologiczne i filozoficzne, lecz w zaciszu murów klasztornych przechowały się również dzieła klasyków greckich i rzymskich, a nawet tak frywolne pieśni jak *Sztuka kochania* Owidiusza. Przepisywane pilną ręką skrybów, iluminowane przez artystów z Bożej łaski, stanowiły prawdziwy majątek. Taka księga warta była co najmniej jedną wieś. Hrabina Mahaut była dość bogata, by nabyć na własność aż dwanaście tomów najpopularniejszych dzieł i romansów.

Obok *Pieśni o Rolandzie* do najśłynniejszych należała *Pieśń o rycerzu Ogerze* napisana dziesięciozłogłosem pod koniec XII w. przez Raimberta z Paryża, z prologiem *O pacholęcej odwadze Ogera* (*Les enfances d'Ogier*) pióra poety Adenèse le Roi.

Bohater romansu identyfikowany jest z frankońskim rycerzem ze starych kronik Autcharem (Autgarius, Auctarius, Otgarius, Oggerius). Ów Autchar w 771 czy 772 roku towarzyszył Gerberdze, wdowie po Karlomanie, bracie Karola Wielkiego, oraz jej dzieciom na dwór króla Lombardów, Desideriusa, i z nim wyruszył na Rzym. Koniec życia spędził w klasztorze Św. Farona.

Rycerz Oger nie tylko wojował w Italii, lecz walczył także z Karolem Wielkim, z którym popadł w konflikt. Po wielu przygodach ocalił Francję od Saracenów, powrócił do łask cesarza, poślubił księżniczkę angielską i otrzymał w lennie od Karola Wielkiego Hainaut i Brabancję.

W wersji celtyckiej ów rycerz Oger nawiedzony przez wróżkę Morganę walczy na wschodzie i po dwustu latach powraca do Francji, lecz zazdrosna jego kochanka, wróżka Morgana, uprowadza go nie zezwalając mu na poślubienie królowej wdowy.

Rycerz Oger zwany w Danii *Holger Danske* jest w tym kraju bohaterem pieśni ludowej. Walczy z księciem germańskim Dietrichem z Berna. Holger z duńskiej legendy nie umiera, lecz zasypia w górach wśród innych królów i gdy naród znajdzie

się w potrzebie, ma przebudzić się i pośpieszyć z pomocą ojczyźnie. Rycerza Ogera spotykamy również w sadze skandynawskiej o Karolu Wielkim.

W *Opowieści o lisie*, dwudziestu siedmiu francuskich poematach z XII i XIII wieku, występują jako bohaterowie zwierzęta - ofiary przewrotnego lisa.

Kilku pieśniom posłużyły za wątek powieściowy bajki greckiego bajkopisarza Ezopa i rzymskiego Fedrusa, kilku innym - tradycje ludowe. Głównym jednak źródłem natchnienia dla autorów były: poemat łaciński z X wieku *Echasis captivi* zakonnika z Toul, który opowiada o walce wilka z lisem, oraz satyryczna epopeja łacińska *Ysengrinus* (1148 r.) Nivarda z Gandawy.

Znamy tylko jednego z autorów *Opowieści o lisie* i to tylko z imienia, jest nim Piotr z Saint-Cloud, autor najstarszych (ok. 1175), a zarazem najlepszych pieśni.

*Opowieść o lisie* jest poniekąd parodią pieśni rycerskich (*chansons de geste*), gdzie duch rosnącego w siłę mieszczaństwa usiłuje sztychować z rycerstwa i feudalizmu.

*Opowieść o fiołku*, czyli *Gerart de Nevers* jest jedną z najlepszych średniowiecznych opowieści przygodowych. Autor Gerbert de Montreuil dedykował ją hrabinie Marii de Ponthieu (ok. 1225). Głównymi osobami są: Gerart de Nevers, jego kochanka (później żona), Euriant, oraz Lisiart, hrabia de Forez. Ów Lisiart założył się, że uwiedzie Euriant, a następnie przechwalał, że dopiął swego. Oskarżenie rozdziela kochanków i powoduje wiele dramatycznych spięć i przygód.]



<sup>20</sup> Majątek Klemencji Węgierskiej, tak w dobrach ziemskich jak i klejnotach, składał się przede wszystkim z darów Ludwika X i był olbrzymi. W czasie swego krótkotrwałego małżeństwa Klemencja otrzymała nie mniej niż czternaście zamków. Niektóre z nich były uważane za główne rezydencje królewskie.



<sup>21</sup> [W starożytności, w średniowieczu, a również w późniejszych okresach historycznych astrologia należała do nauk otaczanych wielkim szacunkiem. Zajmowali się nią uczeni tej miary co Tacyt, Galileusz, Kepler i wielu innych.

Ojcem astronomii i astrologii hellenistycznej i średniowiecznej był Ptolemeusz (II wiek n. e.), autor słynnego *Czworoksięgu o astrologii*. Jednym z najślynniejszych astrologów był żyjący w IV wieku Firmicus Maternus, który napisał *O astrologii ksiąg osiem*.

Do opracowania horoskopu, czyli „obrazu nieba”, jak mówiono w średniowieczu, niezbędne były takie dane, jak: miejsce, data i chwila urodzenia. Stąd horoskopy stanowią cenne źródło dla historyka, który, jeśli szczęśliwie natrafi na średniowieczny horoskop, może wówczas bezbłędnie podać datę i miejsce urodzenia osoby, której biografię pisze.

Opracowanie horoskopu wymagało wówczas skomplikowanych obliczeń astronomicznych, umiejscowienia planet w poszczególnych znakach zodiaku i ustalenia między nimi odległości w stopniach i minutach, czyli tzw. aspektów. Do planet nieprzyjaznych dla człowieka - zwanych złoczyńcami - zaliczano Saturna i Marsa, do dobroczyńców - Jowisza i Wenus. Słońce i niekiedy Księżyc uważano za życiodajne ciała niebieskie, Merkury obdarzał inteligencją. Za szczęśliwy układ pochytywano trygon - odległość między planetami równa około 120°, za nieszczęśliwy - kwadrat - ok. 90°, i opozycję - ok. 180°, natomiast koniunkcja, czyli zbieg planet, zależała od tego, jakie posiadały one cechy.

Dyrekcją nazywano złowrogą lub pomyślną odległość między punktami horoskopu, powodującą nieszczęśliwe lub szczęśliwe wydarzenie w życiu właściciela horoskopu. Astrologia podawała formuły matematyczne dla obliczania tych wydarzeń.]



<sup>22</sup> [Kamelin - tkanina z wielbłądziej lub koziej wełny.]



<sup>23</sup> [Conflans - nazwa utworzona od słowa „splyw” (*confluent*). Podobnie w języku polskim - według tzw. etymologii ludowej - powstała nazwa Sandomierz - „gdzie Sandomierza do Wisły”.]



<sup>24</sup> Jednorożec - legendarne zwierzę, istniało tylko na tarczach, freskach i gobelinach. Uważano jednak, że jego jedyny róg posiada właściwość zwalczania wszelkiej trucizny. Rzekomy róg jednorożca, bardzo drogi, był w rzeczywistości kłem narwala, czyli jednorożca morskiego, dotykano nim potrawy, by wykryć obecność jadowitej substancji.



<sup>25</sup> [Indygo - barwnik roślinny (indygowe ziele - *indigofera*), kiermes lub al-kiermes - barwnik roślinny z rodziny szkarłatkowatych (*phytolacca*).]



<sup>26</sup> Rękodzielnicy z Artois i Flandrii założyli wszystkie warsztaty dywanów znane pod koniec średniowiecza w Europie, a zwłaszcza w Italii i na Węgrzech. Arras jest uważane za ośrodek tego rzemiosła rodzącego się w początkach XIV wieku. Swój rozkwit zawdzięcza ono niewątpliwie inicjatywie hrabiny Mahaut oraz poparciu, jakiego udzielała warsztatom, stanowiącym o bogactwie jej prowincji.

Gdy paryscy tkacze gobelinów jęli współzawodniczyć z warsztatami w Artois, hrabina Mahaut zachowała bezstronność i czyniła zamówienia także u rzemieślników w Paryżu.

Inwentarz dóbr królowej Klemencji jest jednym z pierwszych, gdzie znajduje się wzmianka o „ośmiu kobiercach z obrazami łowów oraz drzew”.



<sup>27</sup> [Blanka Kastylijska - żona Ludwika VIII (1187-1226) i matka Ludwika IX Świętego; rządziła Francją (1226-1236) w imieniu małoletniego syna. Ukróciła bunt wielkich baronów i traktatem zawartym w Paryżu (1229) położyła kres wojnie z albigensami.]



<sup>28</sup> Eudoksjusz Burgundzki objął tron książęcy po swym bracie Hugonie V, zmarłym w początkach maja 1315 r. i pochowanym 13 maja w Citeaux.





## Noty biograficzne do tomu 3



### **ANDEGAWENKA SYCYLIJSKA Małgorzata, hrabina de Valois (ok.1270-31 XII 1299)**

Córka Karola II Andegawena, zwanego Kulawym, i Marii Węgierskiej. Pierwsza żona Karola de Valois. Matka Filipa VI, przyszłego króla Francji.



### **ARTOIS Mahaut d', hrabina Burgundii, później Artois (?-27 XI 1329)**

Córka Roberta II d'Artois. Poślubiła w 1291 hrabiego-palatyna Burgundii, Ottona IV (zm.1303). Po arbitrażu królewskim w 1309 – par na Artois. Matka Joanny Burgundzkiej, małżonki Filipa de Poitiers, przyszłego Filipa V, oraz Blanki Burgundzkiej, małżonki Karola Francuskiego, przyszłego Karola IV.



### **ARTOIS Robert III d' (1287-1342)**

Syn Filipa d'Artois i wnuk Roberta II d'Artois, hrabia na Beaumont-le-Roger i pan na Conches od 1309. W 1318 poślubił Joannę de Valois, córkę Karola de Valois i Katarzyny de Courtenay. Od 1328, z tytułu nadania mu hrabstwa Beaumont-le-Roger, par Francji. Wygnany z Francji w 1332 schronił się na dworze króla Anglii Edwarda III. Śmiertelnie ranny pod Vannes. Pochowany w katedrze Św. Pawła w Londynie.



### **AUXOIS Jan d'**

Biskup Troyes, następnie Auxerre (1353-1359).



### **BAGLIONI Guccio (ok.1295-1340)**

Bankier sienneński, syn Mina Baglioni, spokrewniony z rodziną Tolomei. W 1315 kierował filią banku w Neauphle-le-Vieux. Poślubił potajemnie Marię de Cressay i w 1316 miał z nią syna Giannina, zamienionego w kołysce z Janem Pogrobowcem. Zmarł w Kampanii.



### **BAR Edward hrabia de (1285-?)**

Syn Henryka III, hrabiego de Bar (zm.1302). W 1310 poślubił Marię Burgundzką, siostrę Małgorzaty. Szwagier Ludwika X, Eudoksjusza Burgundzkiego i Filipa de Valois.



### **BEATRYCZE Węgierska (ok.1294-?)**

Córka Karola Martela Andegaweńskiego. Siostra Karola Roberta, króla Węgier, i Klemencji, królowej Francji. Poślubiła delfina z Viennes, Jana II de la Tour du Pin.



### **BOCCACCIO da Chellino**

Bankier florencki. Przedstawiciel kompanii Bardich. Miał z kochanką, Francuzką, nieślubnego syna (1313); był nim znakomity poeta Boccaccio, autor *Dekameronu*.



### **BONIFACY VIII (Benedykt Gaetani) (ok.1215-11 X 1303)**

Najpierw kanonik w Todi, adwokat przy konsystorzu i notariusz apostolski. W 1281 kardynał. Wybrany papieżem 24 grudnia 1293 po abdykacji Celestyna V. Padł ofiarą „zamachu” w Anagni i zmarł w miesiąc później w Rzymie.



### **BOURBON Ludwik, sire, następnie diuk de (1280- 1342)**

Najstarszy syn Roberta, hrabiego de Clermont (1256-1318), i Beatrycze Burgundzkiej, córki Jana, pana de Bourbon. Wnuk Ludwika Świętego. Od 1312 roku wielki pokojowiec Francji. Diuk i par Francji od roku 1327.



### **BOUVILLE Hugo III de, hrabia (?-1331)**

Syn Hugona II de Bouville i Marii de Chambly, szambelan Filipa Pięknego. W 1393

poślubił Małgorzatę des Barres, z którą miał syna Karola. Ten z kolei był szambelanem Karola V i zarządzał Delfinatem.

✳

**BURGUNDZKA Agnieszka, diuszesa (ok.1268-ok.1325)**

Najmłodsza z jedenaściorga dzieci Ludwika Świętego. Wydana za mąż w 1279 za Roberta II, diuka Burgundii. Matka diuków Burgundii: Hugona V i Eudoksjusza IV, Małgorzaty, żony Ludwika X Kłótliwego, króla Nawarry, a później Francji, oraz Joanny, zwanej Kulawą, żony Filipa VI de Valois.

✳

**BURGUNDZKA Blanka (ok.1296-1326)**

Młodsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii, i Mahaut d'Artois. W 1307 wydana za mąż za Karola Francuskiego, trzeciego syna Filipa Pięknego. Po skazaniu jej za cudzołóstwo w 1314 jednocześnie z Małgorzatą Burgundzką uwięziona w twierdzy Château-Gaillard, później w zamku Gournay, koło Coutances. Po unieważnieniu jej małżeństwa w 1322 roku złożyła śluby zakonne w opactwie Maubuisson.

✳

**BURGUNDZKI Eudoksjusz IV, diuk de (ok.1294-1350)**

Syn Roberta II, diuka Burgundii, i Agnieszki Francuskiej, córki Ludwika Świętego. Wstąpił na tron burgundzki w maju 1315 roku po śmierci swego brata Hugona V. Brat Małgorzaty, żony Ludwika X Kłótliwego, Joanny, żony Filipa de Valois, przyszłego króla Filipa VI, Marii, żony hrabiego de Bar, i Blanki, żony hrabiego Edwarda Sabaudzkiego. Poślubił 18 czerwca 1318 roku najstarszą córkę Filipa V, Joannę (zm.1347).

✳

**CAUMONT**

Należał do Ligi w Artois, walczącej z hrabiną Mahaut.

✳

**CHATILLON Gaucher V de, hrabia de Porcien (ok.1250-1329)**

Konetabl Szampanii (1284), a następnie Francji (1302), po bitwie pod Courtrai. Syn Gauchera IV i Izabeli de Villehardouin, zwanej Izabelą z Lizines. Odniósł zwycięstwo pod Mons-en-Pève. Kazał ukoronować Ludwika Kłótliwego na króla Nawarry w Pampelunie (1307). Kolejno wykonawca testamentu Ludwika X, Filipa V i Karola IV. Odniósł zwycięstwo pod Cassel (1328) i umarł w roku następnym. Zajmował stanowisko konetabla Francji za panowania pięciu królów. Poślubił Izabelę de Dreux, następnie Melizandę de Vergy, następnie Izabelę de Rumigny.

✳

**COLONNA Jakub (?-1318)**

Potomek sławnej rodziny rzymskiej Colonnów. Mianowany kardynałem w 1278 przez Mikołaja III. Główny doradca kurii rzymskiej za Mikołaja IV. W 1297 ekskomunikowany przez Bonifacego VIII, w 1306 przywrócony do godności kardynała.

✳

**COLONNA Piotr**

Bratanek kardynała Jakuba Colony. W 1288 mianowany kardynałem przez Mikołaja IV. W 1297 ekskomunikowany przez Bonifacego VIII, w 1306 przywrócony do godności kardynała.

✳

**CONFLANS Hugo de**

Marszałek Szampanii, mianowany gubernatorem w Artois przez Ludwika X (15 V 1316).

✳

**CORNILLOT**

Sierżant hrabiny Mahaut d'Artois. Aresztowany razem z Denisem d'Hirson przez „sojuszników” w Artois 27 września 1315 r. i tegoż dnia ścięty.

✳

**CRESSAY Eliabel de**

Kasztelanka na Cressay koło Neauphle-le-Vieux w okręgu Montfort-l'Amaury. Wdowa po Janie de Cressay, matka Jana, Piotra i Marii de Cressay.

✱

**CRESSAY Maria de (ok.1298-1345)**

Córka damy Eliabel i rycerza Jana de Cressay. W 1316 potajemnie poślubiła Guccia Baglioni; urodziła dziecko zamienione w kołysce z Janem I Pogrobowcem, którego była mamką. Pochowana w klasztorze augustianów koło Cressay.

✱

**CRESSAY Jan i Piotr**

Bracia wyżej wymienionej. Obaj pasowani na rycerzy przez Filipa VI po bitwie pod Crécy w 1346.

✱

**DUEZE Jakub → zobacz Jan XXII, papież**

✱

**EUDELINA, nieślubna córka Ludwika X (ok.1305-?)**

Zakonnica w klasztorze na przedmieściu Św. Marcelego; następnie opatka w klasztorze klarysek.

✱

**EVRARD**

Dawny templariusz, kleryk w Bar-sur-Aube. W 1316 zamieszany w sprawę o czary; wspólnie z kardynałem Gaetanem miał rzucać urok na króla Francji.

✱

**EVREUX Ludwik Francuski d', hrabia (1276-1319)**

Syn Filipa III Śmiałego i Marii Brabanckiej. Przyrodni brat Filipa Pięknego i Karola de Valois. Od 1298 hrabia d'Evreux. Poślubił Małgorzatę d'Artois, siostrę Roberta d'Artois. Miał z nią dzieci: Joannę, trzecią żonę Karola de Valois, i Filipa, męża Joanny, królowej Nawarry.

✱

**FERIENNES Izabela de (?-1317)**

Czarownica. Świadek oskarżenia w procesie wytoczonym Mahaut po śmierci Ludwika X. Żywcem spalona razem z synem po uniewinnieniu Mahaut 9 X 1317 r.

✱

**FIENNES Jan de**

Baron na Ringry, pan na Ruminghen, kasztelan na Bourbourg. Wybrany wodzem przez zbuntowaną szlachtę z Artois, był jednym z ostatnich, którzy się poddali. Poślubił Izabelę, szóstą z kolei córkę Guy de Dampierre'a, hrabiego Flandrii.

✱

**FILIP IV, zwany Pięknym, król Francji (1268-29 XI 1314)**

Syn Filipa III Śmiałego i Izabeli Aragońskiej, urodzony w Fontainebleau. W 1284 poślubił Joannę z Szampanii, królową Nawarry. Ojciec królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV oraz Izabeli Francuskiej, królowej Anglii. Ogłoszony królem w Perpignan w 1285, koronowany w Reims 6 lutego 1286 roku, zmarł w Fontainebleau. Pochowany w opactwie Saint-Denis.

✱

**FILIP (V), hrabia de Poitiers, później król Francji, zwany Długim (1291-3 I 1322)**

Syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Ludwika X i Karola IV oraz Izabeli, królowej Anglii. W 1307 jako małżonek Joanny Burgundzkiej hrabia-palatyn Burgundii i pan na Salins. W 1311 hrabia-apanażysta na Poitiers. W 1315 par Francji. Regent po śmierci Ludwika X, zaś po śmierci bratanka, Jana I Pogrobowca, w listopadzie 1316, król Francji. Zmarł w Longchamp. Pochowany w opactwie Saint-Denis.

✱

**FILIP, hrabia de Valois, później Filip VI, król Francji (1293-22 VIII 1350)**

Najstarszy syn Karola de Valois i jego pierwszej żony Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich. Bratanek Filipa IV Pięknego i brat stryjeczny Ludwika X, Filipa V i Karola IV. Po śmierci Karola IV Pięknego regent królestwa, a następnie król Francji (IV 1328) po urodzeniu się córki pogrobowej poprzedniego monarchy. Koronowany w Reims 29 maja 1328 r. Jego wstąpienie na tron spotkało się ze sprzeciwem Anglii i było przyczyną drugiej wojny stuletniej. W 1313 poślubił Joannę Burgundzką, zwana

Kulawą, siostrę Małgorzaty, a po jej śmierci w 1348 r. Blankę z Nawarry (1349), wnuczkę Ludwika X i Małgorzaty.

✱

**FLOTTE Wilhelm (?-po 1350)**

Pan na Revel i Escot. Syn Piotra Flotte'a kanclerza Francji, zabitego pod Courtrai (1302).

✱

**FOREZ Jan I d'Albon hrabia de (?-przed 1333)**

Posel na dwór papieski Filipa Pięknego i Ludwika X. Strzegł konklawe w Lyonie w 1316 r. Poślubił (1295) Alix z Vienne, córkę Humberta de la Tour du Pin.

✱

**GAETANI Francesco (?-III 1317)**

Bratanek papieża Bonifacego VIII, mianowany przez niego kardynałem w 1295. W 1316 zamieszany w sprawę rzucenia uroku na króla Francji. Zmarł w Awinionie.

✱

**HÉRON Adam**

Starszy giermek, później szambelan Filipa, hrabiego de Poitiers, przyszłego Filipa V.

✱

**HIRSON albo HIREÇON Thierry Larchier d' (ok.1270-17 XI 1328)**

Początkowo skryba u Roberta II d'Artois. Towarzyszył Nogaretowi podczas wyprawy do Anagni. Kilkakrotnie pełnił różne misje na zlecenie Filipa Pięknego. Od 1299 kanonik w Arras. Od 1303 kanclerz Mahaut d'Artois. Od kwietnia 1328 biskup Arras.

✱

**HIRSON albo HIREÇON Denis Larchier d'**

Brat poprzedniego. Skarbnik hrabiny Mahaut d'Artois.

✱

**HIRSON albo HIREÇON Thierry Beatrycze I Mahaut**

Brtanice wyżej wymienionych. Panny dworu hrabiny Mahaut d'Artois

✱

**IZABELA Francuska, królowa Anglii (1292-23 VIII 1358)**

Córka Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Siostra królów: Ludwika X, Filipa V i Karola IV. W 1308 poślubiła Edwarda II, króla Anglii. W 1325 razem z Rogerem Mortimerem stanęła na czele rewolty baronów, która doprowadziła do detronizacji jej męża. Zwana „wilczycą z Francji”. W latach 1326-1328 rządziła Anglią w imieniu syna Edwarda III. W 1330 wygnana z dworu królewskiego. Zmarła w zamku Hertford.

✱

**JAN XXII (Jakub Duèze), papież (1244-XII 1334)**

Syn mieszczanina z Cahors. Ukończył studia w Cahors i Montpellier. Proboszcz w kościele Św. Andrzeja w Cahors. Kanonik przy kościele Saint-Front w Périgueux i w Albi. Proboszcz w Sarlat. W 1289 r. wyjechał do Neapolu, gdzie niebawem pozyskał zaufanie Karola II Andegaweńskiego, który mianował go sekretarzem tajnych narad, a następnie kanclerzem. Od 1300 r. biskup we Frejus; następnie od 1310 r. w Awinionie. Sekretarz koncylium w Vienne (1311). Od 1312 r. kardynał-biskup Porto. Wybrany na papieża w sierpniu 1316 r. przybrał imię Jana XXII. Koronowany w Lyonie we wrześniu 1316. Zmarł w Awinionie.

✱

**JOANNA Burgundzka, hrabina de Poitiers, później królowa Francji (ok.1293-21 I 1330)**

Starsza córka Ottona IV, hrabiego-palatyna Burgundii, i Mahaut d'Artois. Siostra Blanki, żony Karola Francuskiego. W 1307 wydana za męża za Filipa de Poitiers, drugiego syna Filipa Pięknego. W 1314 skazana za ułatwienie cudzołóstwa siostrze i szwagierce, uwięziona w Dourdan i w 1315 uwolniona. Miał trzy córki: Joannę, późniejszą żonę diuka Burgundii, Małgorzatę, wydaną za hrabiego Flandrii, oraz Izabelę, żonę delfina we Vienne. [Delfin – od 1130 tytuł oficjalny hrabiów na Vienne, od 1394 – tytuł następcy tronu francuskiego].

✱

**JOANNA Francuska, królowa Nawarry (ok.1311-8 X 1349)**

Córka Ludwika, króla Nawarry, późniejszego Ludwika X Kłótliwego, i Małgorzaty



Burgundzkiej; podejrzana o nieślubne pochodzenie. Wydana za mąż za Filipa hrabiego d'Evreux. Matka Karola Złego, króla Nawarry, i Blanki, drugiej żony Filipa VI de Valois.

✱

**JOINVILLE Anzelm lub Anzel de**

Najstarszy syn Jana. Seneszał dziedziczny Szampanii. Członek Wielkiej Rady Filipa V i marszałek Francji.

✱

**JOINVILLE Jan de (1224-24 II 1317)**

Dziedziczny seneszał Szampanii. Brał udział w VII wyprawie krzyżowej u boku Ludwika IX i razem z nim był w niewoli. W osiemdziesiątym roku życia napisał *Historię Ludwika Świętego*, dzięki czemu został zaliczony w poczet wielkich kronikarzy.

✱

**KAROL Francuski, później KAROL IV, król Francji (1294-1 II 1328)**

Trzeci syn Filipa IV Pięknego i Joanny z Szampanii. Od 1315 hrabia-apanażysta Marchii. W 1322 wstąpił na tron po Filipie V jako Karol IV. Poślubił kolejno: w 1307 – Blankę Burgundzką, w 1322 – Marię z Luksemburga, w 1325 - Joannę d'Evreux. Zmarł w Vincennes nie pozostawiając męskiego potomka. Ostatni król w linii prostej dynastii Kapetyngów.

✱

**KAROL MARTEL, tytularny król Węgier (ok.1273-1296)**

Najstarszy syn Karola II Andegaweńskiego, króla Sycylii, zwanego Kulawym, i Marii Węgierskiej. Siostrzeniec Władysława IV, króla Węgier, a po jego śmierci pretendent do tronu węgierskiego. Tytularny król Węgier od 1291 r. do śmierci. Ojciec Klemencji Węgierskiej, drugiej żony Ludwika X, króla Francji.

✱

**KIÉREZ Gerard**

Przedstawiciel zbuntowanej szlachty z Artois przy królu Ludwiku X Kłótliwym.

✱

**KLEMENCJA Węgierska, królowa Francji (ok.1293-12 X 1328)**

Córka Karola Martela Andegaweńskiego, tytularnego króla Węgier, i Klemencji z Habsburgów. Bratanica Karola de Valois z linii jego pierwszej żony Małgorzaty z Andegawenów Sycylijskich. Siostra Karola Roberta lub Karoberta, króla Węgier, i Beatrycze, żony delfina Jana II. Poślubiła Ludwika X Kłótliwego, króla Francji i Nawarry (13 VIII 1315), koronowana wraz z nim w Reims. Owdowiała w czerwcu 1316 r., w listopadzie 1316 r. urodziła Jana I. Zmarła w Temple.

✱

**KLEMENS V, Bertrand de Got albo Goth, papież (?-20 IV 1314)**

Urodzony w Villandraut jako syn rycerza Arnolda Garsiasa de Got. W 1300 arcybiskup Bordeaux. W 1305 wybrany papieżem po Benedykcie XI. Koronowany w Lyonie. Pierwszy awinioński papież.

✱

**LIQUES baron de**

Członek Ligi w Artois. Właściciel baronii w hrabstwie Guines w Pikardii.

✱

**LONGWY Jan de**

Krewny wielkiego mistrza Jakuba de Molay. Należał do ligi feudałów burgundzkich, ukonstytuowanej w 1314.

✱

**LOOS**

Członek Ligi w Artois. Rodem z okolic Liège.

✱

**LUDWIK X zwany Kłótliwym, król Francji i Nawarry (X 1289-5 VI 1316)**

Syn Filipa Pięknego i Joanny z Szampanii. Brat królów: Filipa V i Karola IV, oraz Izabeli, królowej Anglii. Od 1307 król Nawarry, od 1314 król Francji. W 1305 poślubił Małgorzatę Burgundzką, z którą miał córkę Joannę, urodzoną około 1311. Po „skandalu wieży Nesle” i śmierci Małgorzaty ożenił się po raz drugi, z Klemencją Węgierską, i



koronował w Reims w sierpniu 1315. Zmarł w Vincennes. Syn jego, Jan I Pogrobowiec, urodził się w pięć miesięcy później w listopadzie 1316.

✱

**MAŁGORZATA Burgundzka, królowa Nawarry (ok.1293-1315)**

Córka Roberta II, diuka Burgundii, i Agnieszki Francuskiej. W 1305 poślubiła Ludwika, króla Nawarry, najstarszego syna Filipa Pięknego, późniejszego Ludwika X, z którym miała córkę Joannę. W 1314 skazana za cudzołóstwo (sprawa wieży Nesle), więziona w twierdzy Château-Gaillard, gdzie została zamordowana.

✱

**MARIGNY Enguerrand de, właściwie LE PORTIER (ok.1265-30 IV 1315)**

Urodzony w Lyons-le-Forêt. Po raz pierwszy ożeniony z Joanną de Saint-Martin, po raz drugi z Alips z Mons. Najpierw giermek hrabiego de Bouville, następnie dworzanin Joanny, żony Filipa Pięknego, i kolejno: dowódca załogi w zamku Issoudun (1298), szambelan (1304), pasowany na rycerza i obdarzony hrabstwem Longueville, zarządzający finansami i budynkami królestwa, dowódca załogi w Luwrze, koadiutor króla i rektor królestwa w ostatnim okresie panowania Filipa Pięknego. Po śmierci tego ostatniego oskarżony o nadużycia finansowe, skazany i powieszony na Montfaucon. Rehabilitowany pośmiertnie przez Filipa V i pochowany w kościele Kartuzów, skąd później ciało jego przeniesiono do kolegiaty Ecouis, którą ufundował.

✱

**MARIGNY Jan albo Filip, albo Wilhelm de (?-1325)**

Brat poprzedniego. W 1301 sekretarz króla. W 1309 arcybiskup Sens. Zasiadał w trybunale, który skazał na śmierć jego brata, Enguerranda. Trzeci brat Marigny, również o imieniu Jan, był od 1312 hrabią – biskupem w Beauvais, wchodził w skład tychże komisji sądowych i żył do 1350.

✱

**MARIGNY Ludwik de**

Pan na Mainneville i Boisroger. Najstarszy syn Enguerranda de MARigny. Ożenił się w 1309 r. z Robertą de Beaumetz.

✱

**MERCOEUR Béraud, sire de**

Pan na Gévaudan. Syn Bérauda IX i Blanki de Châlons. Poślubił (1309) Izabelę de Forez, córkę Wita, hrabiego de Forez. Wysłany w poselstwie przez Filipa Pięknego do Benedykta XI (1304). Wszedł w konflikt z królem, który rozkazał policji przeprowadzić śledztwo w jego dobrach (1309). Po wstąpieniu na tron Ludwika X ponownie zasiadł w Radzie królewskiej (1314), usunięty z niej w 1318 r. przez Filipa V.

✱

**MOLAY Jakub de (ok.1244-18 III 1314)**

Urodzony w Molay (Haute-Saône). Wstąpił do zakonu templariuszy w Beaune (1265). Wyjechał do Ziemi Świętej. Wybrany wielkim mistrzem zakonu (1295). Aresztowany w październiku 1307 r. Skazany i spalony na stosie.

✱

**MORNAY Stefan de (?-31 VIII 1332)**

Bratanek Piotra de Mornay, biskupa Orleanu i Auxerre. Kanclerz Karola de Valois, później, począwszy od stycznia 1315, kanclerz Francji. Za panowania Filipa V odsunięty od udziału w rządach, po wstąpieniu na tron Karola IV wszedł do Izby Obrachunkowej I do Parlamentu.

✱

**NÉDONCHEL Gilles de (ok.1282-ok.1336)**

Syn Wita de Nédonchel i Alix de Crèquy. Należał do Ligi Artois. Został radcą królewskim i wielkim szambelanem diuka de Bourbon.

✱

**NOGARET Wilhelm de (ok. 1256-V 1314)**

Urodzony w Saint-Félix w diecezji Tuluzy. Uczeń Piotra Flotte'a i Gillesa Aycelina. Wykładał prawo w Montpellier w 1291. Sędzia królewski w okręgu seneszala Beaucaire w 1295. Nobilitowany w 1299. Zasłynął jako prawnik w sporach między koroną francuską a Stolicą Apostolską. Dowodził wyprawą na Anagni przeciw Bonifacemu

VIII w 1303. Strażnik pieczęci od września 1307 do śmierci. Wszczął i prowadził proces przeciw templariuszom.

✱

#### **NOYERS Miles IV de, pan na Vandoeuvre (?-1350)**

Marszałek Francji (1303-1315). Z polecenia Ludwika X zawarł pokój z Ludwikiem de Nevers, hrabią Flandrii. Kolejno doradca Filipa V, Karola IV i Filipa VI. Odegrał wyjątkowo ważną rolę za panowania tych trzech królów. Wielki podczaszy Francji (1336).

✱

#### **PRESLES albo PRAYERS Raul I de (?-1331)**

Pan na Lizy-sur-Ourcq. Adwokat. W 1311 sekretarz Filipa Pięknego, po śmierci którego został uwięziony; powrócił do łask pod koniec panowania Ludwika X. Strzegł konklawe w Lyonie w 1316. Nobilitowany przez Filipa V, był przybocznym rycerzem tego króla i wchodził w skład jego Rady. Założył kolegium w Presles.

✱

#### **ROBERT, król Neapolu (ok.1278-1344)**

Trzeci syn Karola II Andegaweńskiego, zwanego Kulawym, i Marii Węgierskiej. Od 1296 r. diuk Kalabrii. Od 1304 r. książę-wikariusz generalny Królestwa Sycylii (1296). Wyznaczony na następcę tronu neapolitańskiego (1297). Wstąpił na tron w 1309 r. Koronowany w Awinionie przez papieża Klemensa V. Książę erudyta, poeta i astrolog. Poślubił po raz pierwszy Jolantę (czy Violantę) Aragońską, która zmarła w 1302 r., a następnie Sancję, córkę króla Majoroki (1304).

✱

#### **ROBERT, o nazwisku Béthune, hrabia Flandrii i Nevers (?-1322)**

Syn Wita de Dampierre, hrabiego Flandrii (zm.1305), oraz Izabeli Luksemburskiej. Poślubił Jolantę Burgundzką, hrabinę de Nevers. Ojciec Ludwika de Nevers.

✱

#### **SABAUDZKI Amadeusz V, zwany Wielkim, hrabia (1249-X 1323)**

Drugi syn Tomasza II Sabaudzkiego, hrabiego de Maurienne (zm.1259), i jego drugiej zony Beatrycze de Fiesque. Rządził Sabaudią po śmierci stryja Filipa. Poślubił Sybilę de Baugé (zm.1294), następnie Marię Brabancką (1304). Syn jego, Edward, ożenił się (1307) z Blanką Burgundzką, siostrą Małgorzaty i Eudoksjusza IV.

✱

#### **SOUASTRE**

Należał do Ligi feudałów w Artois, będącej w konflikcie z hrabiną Mahaut.

✱

#### **SULLY Henryk de (?-ok.1336)**

Syn Henryka III, pana na Sully (zm.1285), i Małgorzaty de Beaumetz. Małżonek Joanny de Vendôme. Począwszy od 1317 r. wielki podczaszy Francji.

✱

#### **TOLOMEI Spinello**

Stał na czele kompanii sienneńskiej, którą założył we Francji w XIII wieku Tolomeo Tolomei. Kompania ta szybko wzbogaciła się prowadząc handel międzynarodowy i kontrolując kopalnie srebra w Toskanii. Do dziś istnieje w Sienie pałac Tolomei.

✱

#### **VALOIS Karol de (12 III 1270-XII 1325)**

Syn Filip III Śmiałego i jego pierwszej żony Izabeli Aragońskiej. Brat Filipa IV Pięknego. Pasowany na rycerza w czternastym roku życia. W tymże roku legat papieski nadał mu prawa do korony aragońskiej, lecz Karol de Valois nigdy nie zdołał objąć tronu i w 1295 zrzekł się tytułu. Od 1285 hrabia-apanażysta na Valois i Alençon. Po ślubie z Małgorzatą z Andegawenów sycylijskich w marcu 1290 - hrabia na Andegawenii, Maine i Perche. Po zawarciu drugiego małżeństwa, w styczniu 1301, z Katarzyną de Courtenay – tytularny cesarz Konstantynopola. Bonifacy VIII nadał mu tytuł hrabiego Romanii. Po raz trzeci ożenił się z Mahaut de Châtillon-Saint-Pol. Z tych trzech małżeństw miał wiele dzieci. Jego najstarszy syn panował we Francji jako Filip VI i był pierwszym królem z dynastii Walezjuszów. W 1301 Karol de Valois dowodził wojskami w Italii jako stronnik papieża. Stał na czele dwóch wypraw do Akwitanii

(1297 i 1324). Ubiegał się o cesarską koronę niemiecką. Zmarł w Nogent-le-Roi. Pochowany w kościele Jakobitów w Paryżu. [Jakobitami zwano w średniowieczu dominikanów, bowiem ich klasztor znajdował się w Paryżu przy ul. Św. Jakuba].



**KONIEC tomu 3**

**Księgozbiór DiGG**



**2010**